

PARK NAD ODRĄ, CZYLI REZERWAT DLA POLAKÓW



OFIARA PROHIBICJI. CO DALEJ Z TRZASKOWSKIM?



SZEF OCHRONY KAROLA NAWROCKIEGO POKAZUJE BROŃ



SERGIUSZ PIASECKI: FASCYNUJĄCY ŻYWOT AWANTURNIKA

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

40 (670) 2025
29 IX – 5 X 2025
CENA: 12,90 zł
(w tym 8% VAT)



TYLKO U NAS

ONI SĄ JAK MAFIA

SĄD UMARZA SPRAWĘ SŁAWOMIRA NOWAKA PRZED ROZPOCZĘCIEM PROCESU. CZY W PAŃSTWIE DONALDA TUSKA JEST JESZCZE MIEJSCE NA JAKIEKOLWIEK ZASADY?

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
40
9 772544 269502
Numer w sprzedaży do 6 X 2025 r.

Nowe e-wydanie wSIECI HISTORII w prezencie!



- Blaski i cienie Jagiellonów
- Klejnoty wielkich kobiet historii
- Słynne karabiny w historii wojen

Zamów subskrypcję

SIECI i wPolityce.pl Premium + **50% taniej**

Zamów już dziś na **siec.wpolityce.pl/oferta**

ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

Lewica brzydko się chwyta

Rząd Donalda Tuska przyjął projekt ustawy, który ma umożliwić blokowanie nielegalnych treści w internecie. Blokowaniu będą mogły podlegać treści dotyczące 27 czynów zabronionych, zawierające np. groźby karalne, propagowanie ideologii totalitarnych, a także nawoływanie do nienawiści i znieważanie na tle różnic narodowościowych, etnicznych, rasowych i wyznaniowych. O tym, co jest nielegalne, będą decydowali prokuratorzy, policjanci, KAS, a także – uwaga – zaufany podmiot sygnalizujący. Z doświadczenia wiemy, że będą to głównie tzw. organizacje pozarządowe, nasycone zapleczem politycznym lewicy. Powstanie także aparat urzędniczy tej cenzury: przewidziano 100 nowych etatów, ale jak znamy życie, to jedynie na skromny początek. W ustawie zapisano także asystę policji w trakcie kontroli przeprowadzanych u dostawców usług internetowych i wielomilionowe kary dla firm technologicznych, które nie podporządkują się reżimowi.

W sumie: w całej historii III RP nikt jeszcze nie zaprezentował tak drakońskich rozwiązań w sferze wolności słowa. Nikt tak otwarcie nie zaproponował likwidacji konstytucyjnych swobód obywatelskich. Formalnie to implementacja unijnego prawa, ale idąca nieprawdopodobnie daleko. W istocie to zapis marzeń lewicy, przerażonej załamywaniem się porządku „lewicowo-liberalnego", coraz bardziej totalitarnego, szalonego, oderwanego od zdrowego rozsądku i coraz bardziej odrzucanego przez narody europejskie.

To desperacka próba podparcia architektury świata, który już dziś trwa wyłącznie dzięki przemocy medialnej, społecznej, a gdy trzeba – policyjnej. I który również w przeszłości, w czasach przedinternetowych, bazował na przynajmniej częściowej cenzurze oraz monopolizacji przekazu i wciąż nie może się pogodzić z tym, że tamte czasy minęły na zawsze. Nie może się pogodzić do tego stopnia, że w Wielkiej Brytanii, ojczyźnie wolności słowa, sięgnięto po twarde represje. Ludzie naprawdę siedzą w więzieniach za nawet dość niewinne wpisy, a nawet jeśli nie siedzą, to przy wyrażaniu swoich opinii ryzykują wizytę policjantów i proces w kafkowskim stylu. Nie wiedzą bowiem, kto ich zgłosił ani o jaką wypowiedź chodzi. Wystarczy, że ktoś poczuł wewnętrzny niepokój, by patrol ruszył w stronę winowajców. Być może nie potrwa to już długo, ponieważ w sondażach prowadzi Partia Reform Nigele'a Farage'a, ale sam fakt, że proces zmuszania narodu do milczenia zaszedł tak daleko, pokazuje, że od utraty wolności naprawdę dzieli nas jedno pokolenie.

Idąca w tym samym kierunku cenzorska propozycja rządu Donalda Tuska to także unikalna możliwość przyjrzenia się scenariuszowi historii alternatywnej, w której wybory prezydenckie wygrywa Rafał Trzaskowski, czyli kandydat, który otwarcie zapowiadał podpisanie umowy o walce z mową nienawiści. Jego tryumf 1 czerwca oznaczałby podjęcie próby budowy nowego społeczeństwa, bezbronnego wobec manipulacji i niezdolnego do stawienia czoła gardłowym zagrożeniom, takim jak masowa imigracja. Bo przecież ktoś, kto nie ma głosu, nie może się skutecznie bronić. Byłoby to owe „domknięcie systemu" zapowiadane przez polityków Platformy. Co ważne: nie tylko w sferze politycznej, lecz także w sferze debaty, sporu, wreszcie wartości. Polska upodobniłaby się do państw, w których – tak jak za komuny – pracuje jeden dziennikarz o tysiącu nazwisk.

To prawda, że w internecie jest bardzo wiele zła, bardzo wiele treści, które niszczą dobro, piękno, prawdę, które czynią krzywdę, które wyrastają z nienawiści, pogardy, nikczemności. Z tymi treściami trzeba walczyć, ale nie może z nimi walczyć lewica. Z tego prostego powodu, że nie wierzymy w czyste intencje środowisk, które wszędzie, gdzie mogą, budują monopol i zamordyzm. Tak jak w przypadku „edukacji zdrowotnej", którą forsują w szkołach. Choćby umieścili tam 90 proc. treści niewinnych, pożytecznych czy nawet koniecznych, wszyscy wiemy, że to jedynie wstęp do tego, co ma nastąpić, a co będzie zmierzać w stronę rozbicia resztek fundamentów, resztek normalności w życiu dzieci i młodzieży. Dokładnie o to samo chodzi w walce z „mową nienawiści". Słuszne wątki są jedynie pretekstem.

A jeśli naprawdę chcecie chronić dzieci, to zacznijcie od kwestii najbardziej oczywistej: zakażcie telefonów komórkowych w szkołach. Jeśli gdzieś bowiem można zacząć ratować cywilizację, to właśnie tam. Proste, czytelne, niezbędne.

Jacek Karnowski



Autopromocja

eprasa.pl 3d70f78a7e

SIECI spis treści



36 Współpraca z PiS jest możliwa
Rozmowa z posłem Kamilem Wnukiem



45 Klimatyczne mrzonki
Aleksandra Rybińska



57 Pożegnanie z bronią
Jolanta Gajda-Zadworna

NA POCZĄTEK

5 **PRZEMOC LEWICY**
Bronisław Wildstein

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **PILOTAŻ NA BOMBIE**
Krzysztof Feusette

9 **NAJGORSZY MINISTER W RZĄDZIE**
Dorota Łosiewicz

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **ZIELONA SMYCZ CHIN: JAK BRUKSELA SPRZEDAJE EUROPĘ ZA ZIELONE ILUZJE**
Daniel Obajtek

13 **KTO DECYDUJE W ONZ?**
Marta Kaczyńska-Zielińska

14 **WALIZKA KRZYSZTOFA „RYDZA" RADZIWONA**
Michał Korsun

16 **SKWASZONY ŻUREK I INNE EKSCESY**
Jan Pietrzak

17 **KSIĄŻĘ CHAOSU**
Samuel Pereira

18 **TU ZASZŁA ZMIANA W SCENACH MOJEGO WIDZENIA**
Lech Makowiecki

TEMAT TYGODNIA

20 **ONI SĄ JAK MAFIA**
Łukasz Wróblewski

KRAJ

24 **KOMU PARTIĘ, KOMU!**
Stanisław Janecki

27 **CZAS STRACONY**
Piotr Gursztyn

30 **OFIARA PROHIBICJI**
Konrad Kołodziejski

33 **OPERACJA „ŚLUZA", CZYLI POLSCY CELEBRYCI W ORKIESTRZE KREMLA**
Marek Budzisz

36 **WSPÓŁPRACA Z PIS JEST MOŻLIWA**
Z Kamilem Wnukiem, posłem Polski 2050 Szymona Hołowni, rozmawia Dorota Łosiewicz

39 **ODDAM POLSKĘ W OBCE RĘCE**
Piotr Filipczyk

ŚWIAT

42 **STRZELANINA NA MORZU**
Jan Rokita

45 **KLIMATYCZNE MRZONKI**
Aleksandra Rybińska

OPINIE

48 **PARAFIA I RODZINA TO NATURALNE MIEJSCA PRZEKAZYWANIA WIARY**
Z bp. Arturem Ważnym rozmawia Goran Andrijanić

HISTORIA

51 **AUSTRIA W SPRAWIE REPARACJI POWINNA SIEDZIEĆ CICHO**
Stanisław Płużański

54 **ŻYWOT AWANTURNIKA**
Maciej Walaszczyk

SIECI KULTURY

57 **POŻEGNANIE Z BRONIĄ**
Jolanta Gajda-Zadworna

60 **HITY I KITY**
Piotr Zaremba

62 **AI TWORZY NOWE FORMY MAGII**
Robert Tekieli

64 **SLAWOŃSKI BEĆAR**
Maciej Walaszczyk

64 **POLITYKA WEDŁUG KIEPSKICH**
Maciej Walaszczyk

NATURA DLA LUDZI

65 **INWAZJA ROŚLIN**
Przemysław Barszcz

GOSPODARKA

68 **BIZNES PŁACZE NAD NIEMCAMI**
Stanisław Koczot

PODRÓŻE

70 **MOJE SZLAKI I SMAKI: JOANNA PACH-ŻBIKOWSKA**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

71 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

72 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

73 **RADOŚĆ I ZŁOŚĆ**
Ryszard Czarnecki

74 **METAFIZYCZNIE**
Katarzyna Zybertowicz

eprasa.pl 3d70f78a7e

BRONISŁAW WILDSTEIN

Przemoc lewicy

Wydawać by się mogło, że ktoś, kto powiedział, że faszyzm wróci w antyfaszystowskim przybraniu, miał pełną rację. Większość aktów przemocy politycznej dokonywanych dziś na Zachodzie sprawcy uzasadniają walką z faszyzmem. Szczególnym tego przykładem jest Antifa, terrorystyczna organizacja, która za cel ma zastraszenie i fizyczne niszczenie prawicowych organizacji i jej reprezentantów, bo przecież prawica prowadzi do faszyzmu. Pokrewną ideologię i identyczne metody prezentuje w USA ruch Black Lives Matter i inne.

Cytowane na wstępie stwierdzenie stanowi jednak świadectwo triumfu lewicowej ideologii, zgodnie z którą jedynym biegunem światowego zła jest faszyzm. Określana jest tak dziś zarówno włoska ideologia, która tak siebie nazywała, jak i odmienny od niej niemiecki narodowy socjalizm, a także autorytarne ruchy o prawicowej proweniencji i coraz częściej konserwatyzm jako fundament prawicowego myślenia. Podejście to jest nie tylko świadectwem myślowej konfuzji, lecz także ideologicznego fałszu. Ani nazizm, ani faszyzm nie mają nic wspólnego z konserwatyzmem, wręcz przeciwnie – wyrastają z lewicowych, rewolucyjnych orientacji, a fakt, że naziści do końca nie porzucili „socjalistycznej" afiliacji, o czymś mówi. W trakcie swojej krótkiej historii i faszyzm, i nazizm sprzęgły się z niektórymi autorytarnymi ideami o prawicowym rodowodzie, co potwierdza ich synkretyczny charakter, ale nie znaczy, że można wiązać je z konserwatywnymi tradycjami, których są zaprzeczeniem.

Zdecydowanie ważniejsze jest jednak to, że poniosły one definitywną klęskę w 1945 r. i przestały politycznie istnieć. Dziś faszyzm (nazizm) to prawie wyłącznie zmora lewicowego bestiarium.

A komunizm to ustrój totalitarny, który do przemocy odwołuje się w tym samym stopniu co nazizm czy faszyzm. Liczba jego ofiar jest większa i w przeciwieństwie do swoich „prawicowych" przeciwników nigdy nie został definitywnie rozliczony. Uderzająca była historia „Czarnej księgi komunizmu", międzynarodowej pracy historyków, która pokazywała komunistyczne zbrodnie. Pomimo że prawie nikt nie kwestionował prawdziwości przytaczanych w niej faktów, została gwałtownie zaatakowana przez dominujący nurt opiniotwórczy głównie pod pozorem „abstrahowania od kontekstu". Wyobraźmy sobie atak na pracę o zbrodniach nazistowskich pod tym samym zarzutem.

Dominująca dziś lewicowo-liberalna ideologia emancypacji w dużej mierze jest kontynuacją komunizmu. Antypopulizm pełni w niej rolę taką jak antyfaszyzm w propagandzie komunistycznej. Jak „walka z faszyzmem" uzasadniać miała akty lewicowej przemocy, tak antypopulizm usprawiedliwiać ma praktyki zaprzeczające ideom liberalnej demokracji.

Dobitnym przykładem jest odkurzona przez Donalda Tuska doktryna „demokracji walczącej", której twórca, Karl Loewenstein, postulował zawieszenie zasad demokratycznego państwa prawa w momencie zagrożenia go nazizmem. Dziś stanowi ona legitymację dla autorytarnych rządów liberalnej lewicy. Mobilizacja przeciw populizmowi traktowanemu jako wstęp do „faszyzmu", a często wręcz z nim utożsamianym, przypomina organizację „frontów ludowych", które Stalin wymyślił jako projekt ekspansji wpływu komunistów pod hasłem walki z faszyzmem.

Komunizm jest ideologią rewolucyjną i przemoc wpisana jest w jego DNA. Lewica i w dużej mierze liberałowie przyjęli interpretację faszyzmu jako zła immanentnie obecnego w kulturze Zachodu i w konsekwencji zaczęli coraz bardziej usprawiedliwiać komunistyczny terror. Dziś walka z „populizmem" tak blisko podobno sąsiadującym z faszyzmem uzasadniać ma wszystko.

Lęki przed prawicową przemocą okazują się po prostu obawą przed prawicą, a nie przed przemocą jako taką. W III RP straszono nas „nowym zabójstwem Narutowicza", ale kiedy z powodów politycznych zabity został działacz PiS Marek Rosiak, wrażenia na opiniotwórczych środowiskach to nie zrobiło. Na ofiarę PiS wbrew faktom i zdrowemu rozsądkowi wykreowany został Paweł Adamowicz.

Syndrom ten doskonale widać w konsekwencji zabójstwa Charliego Kirka. Pomimo tego, że był on ostentacyjnym przeciwnikiem przemocy, a celem jego działania była odbudowa racjonalnej debaty w USA, dominujące liberalno-lewicowe ośrodki nie śpieszą się z potępieniem jego zabójstwa. Uczczenia go minutą ciszy odmówił Parlament Europejski.

Oglądam sondę przeprowadzoną na ulicach Stanów. Usprawiedliwienie morderstwa Kirka nie należy do rzadkości. Jedna z dziewcząt odpowiada, że wprawdzie nie zna jego poglądów, ale słyszała, że były one nieakceptowalne. Daje do zrozumienia, że zasłużył na swój los.

Jesteśmy przeciw przemocy – głoszą reprezentanci dominującej dziś mentalności – ale są przekonania, których tolerować nie sposób. Ci, którzy je głoszą muszą liczyć się z tym, co ich spotka. Nawet jeśli nie nawołują do przemocy, jako populiści, chcąc nie chcąc popadną w faszyzm. A faszystów tolerować nie można.



Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 3d70f78a7e



Sygnalista nadaje

Nareszcie! Wielki sukces w walce o praworządność (tak, jak my ją rozumiemy). Sławek Nowak wreszcie oczyszczony. Więzień polityczny reżimu kaczystowskiego, człowiek czysty jak lilija. Altruista i asceta, o którym powszechnie wiadomo, że poszedł do polityki, aby bezinteresownie czynić dobro.

Komu dziękować za tę cudowną wiadomość? Ministrowi Waldkowi Żurkowi czy może jednak młodemu asesorowi Arkowi Domasatowi? To 29-letni dobrze zapowiadający się człowiek. Być może zrobi wielką demokratyczną i praworządną karierę, ale jest jedna rzecz, która budzi nasze zaniepokojenie. Otóż nominację na asesora wręczył mu niejaki Andrzej Duda, a to znaczy, że Arek nie jest asesorem, ale tylko neoasesorem. A jak będzie chciał zostać pełnym neosędzią, to będzie musiał pójść po prośbie do niejakiego Nawrockiego. A ten bywa nieuczynny wobec prawdziwych demokratów i może mu odmówić. W każdym razie będziemy śledzić karierę Arka. Nazwisko ma charakterystyczne, więc jest małe ryzyko przeoczenia jego sukcesów.

A dzięki wielkiemu czynowi Arka Sławek Nowak dołączył do pocztu wybitnych mężów stanu, męczenników za demokrację, którzy przeszli praworządne oczyszczenie. Stanął w jednym szeregu obok Tomasza Grodzkiego aka Kopertnik, Romana Giertycha aka Lord Polnord, Włodzimierza Karpińskiego aka Ch...j z Polską Wschodnią. Teraz i on cały na biało. Czas na cudowne oczyszczenie Staszka Gawłowskiego. Niech wreszcie praworządność na mocy doktryny Sławka Neumanna oczyści i tego wybitnego polityka. Murem za Staszkiem, a nie Staszek za murem!

Zazdroszczą państwo Brytyjczykom ich słynnego Latającego Cyrku Monty Pythona? Niesłusznie, Polak potrafi! Mamy coś lepszego: latający cyrk Radka Sikorskiego i jego ministerstwo głupich kroków. To znaczy nie do końca latający, bo ten okropny Nawrocki, który ukradł prezydenturę Rafałowi, nie chciał zabrać Radka do samolotu. A kierunek był bardzo fajny, czyli Nowy Jork. Niestety ten Nawrocki, nie dość, że nieuczynny, to jeszcze nie rozumie podstawowej rzeczy. Takiej, że to Radek robi mu zaszczyt swoją obecnością, a nie na odwrót. Radek Sikorski, oksfordczyk, bywalec światowych salonów, ostatnio nawet rozmawiał kilka minut z samym Marco Rubio. I to w języku lenglidż! Na szczęście Radek jakoś tam dotarł. Nie wiemy tylko, po co siadł obok Nawrockiego? I o czym gadali. Chyba opowiadał mu jakieś dowcipy. Pewnie takie same jak przy ośmiorniczkach Kulczykowi, bo obaj się strasznie chichrali.

Szczególną rolę w Latającym Cyrku Radka Sikorskiego odgrywa aktor charakterystyczny ***Wroński Paweł***. Jest znakomity w kultowej roli Arkadiusza Czerepacha. Identyczna stylizacja grzywki, te same oprawki okularów, identyczna finezja i błyskotliwość. Jego wypowiedzi, wpisy internetowe i zachowanie budzą ten sam szacunek, co słowa i czyny Arkadiusza Czerepacha. Fajną rolę odgrywa też czołowy amant polskiej polityki – Marcin Bosacki. Szkoda, że ten Nawrocki nie zabrał go ze sobą do Nowego Jorku. Marcin już raz zrobił furorę w ONZ i na pewno zrobiłby jeszcze raz.

eprasa.pl 3d70f78a7e

Niepokojący sygnał! Niejaki ***Cenckiewicz***, osoba, która bezprawnie okupuje BBN, udzielił wywiadu. I powiedział tam niedobre rzeczy o premierze Tusku. Nawet bardzo niedobre! Tenże Cenckiewicz powiedział, że ma świetne relacje z premierem Donaldem Franciszkiem. I do tej pory nie ma żadnego oficjalnego dementi ze strony rządu Zjednoczonej Anty-Prawicy. Co gorsza, łżeszef BBN (prawdziwym – według nas, demokratów walczących – nadal jest generał szogun Koziej) dodał kilka wstrząsających informacji. Otóż odbył dziesięciominutową rozmowę z Donaldem Franciszkiem i było to przyjemne spotkanie. „Pan premier nie jest ultrasem w rodzaju Radka Sikorskiego" – rzekł Cenckiewicz.



Po tych słowach na całym świecie umarły wszystkie małe demokratyczne pandy. Nie wiemy, jak dalej żyć. A może ten Tusk jest łże-Tuskiem? Może prawdziwy Tusk został zamknięty w lochach na Nowogrodzkiej, a kaczyści podstawili w jego miejsce podobnego do niego samozwańca? Wtedy wszystko jasne: sobowtór, czyli pseudo-Tusk, wykonuje zadanie centrali z Nowogrodzkiej. Bo jak inaczej wytłumaczyć to, że zawalił wszystko, co można było zawalić, a nawet to, czego nie dałoby się normalnie zepsuć?



W związku z tym dziwna historia: to Donald Franciszek kazał Marcinowi Piotrowi Kierwińskiemu, aby ten dowalił Rafałowi Kazimierzowi Trzaskowskiemu w sprawie nocnej prohibicji w Warszawie. Rzeczywiście, po tym wszystkim Rafał wyszedł na ostatnią ciamajdę (mimo zapuszczonych wąsów), a Marcin Pogłos-Kierwiński okazał się być mocnym zawodnikiem. Nie tylko mocna głowa, lecz także mocna pozycja polityczna. Ciekawa w tej historii jest obecność Donalda. Nie wiedzieliśmy, że on też jest taki oliwa. A nie wygląda na kogoś, kto lubi zrobić nocą małpkę pod Żabką. Myśleliśmy, że on tylko czerwone wino, a tu taka niespodzianka!



Z tego powodu w „Wyborczej" histeria. Zamiast pochwalić „Kierwę", że wyszedł naprzeciw oczekiwaniom ludzkości, to tam szaleją i go krytykują. Nie nadążają za tym, że słuszną linię ma nasza władza. I teraz najlepsze potwierdzenie: Kaczyński – ten właśnie Kaczyński z PiS – powiedział, że on byłby za wprowadzeniem zakazu. Bo pijaństwo i alkoholizm. Jeśli on jest za zakazem, to my, demokraci walczący, i nasze media musimy powiedzieć mu twarde: „Nie!". Tak, panie Kaczyński, nie zabroni nam pan upijać się po nocy. Murem za małpką pod Żabką!



Homofobia na lewicy! Chcą wyrzucić z szeregów ***Roberta i Krzyśka. Biedronia i Śmiszka***. Cudowną parę gejów, którzy śladem Magellana kolejny raz okrążają kulę ziemską i rozsławiają Ten Kraj. Robert pochwalił się ostatnio, że przylatując do Chile, odwiedził już 100 krajów. Mali ludzie zazdroszczą sukcesów. A zwłaszcza tego, że obaj europosłowie tak skrzętnie potrafią gospodarować swoimi skromnymi dochodami. I nie tylko podróżują, lecz także pomnażają majątek narodowy, kupując kolejne mieszkania. W myśl zasady – mieszkania na wynajem prawem, a nie towarem. Zapamiętajcie, wy wstrętne homofoby, bezczelnością i pracą geje się bogacą! A Robertowi i Krzyśkowi do zwiedzenia zostało jeszcze tylko 95 uznanych międzynarodowo państw. Szerokiej drogi, nasi tęczowi konkwistadorzy!

Dramat ministry ***Baśki Nowackiej***. Ponad połowa bachorów nie chce być zdrowa (tak, jak my rozumiemy zdrowie). I nie chce też seksu. Zabobonni i zaściankowi rodzice wypisali swe rozwydrzone szczeniaki z lekcji edukacji zdrowotnej. Ciemnota katolicka (copyright by Przemek Witek czy też Witek Przemek. W każdym razie to ten wybitny poseł PO od „cóż szkodzi obiecać") znów triumfuje. Jesteśmy załamani, znów będąc za granicą, trzeba będzie udawać, że jesteśmy z innego kraju niż Ten Kraj. A gazety na całym prawdziwym Zachodzie napiszą o nas, że jesteśmy Ciemnogrodem. „Po prostu boją się seksu" – powiedziała gorzko acz dobitnie Baśka. Dobrze, że chociaż ona nie boi się seksu.

Niematerialne dziedzictwo ludzkości UNESCO wzbogaci się o kolejny pomnik. Do tej listy zostanie dopisany raport o okrutnych mechanizmach represji wobec społeczeństwa obywatelskiego, aktywistów, aktywistek i osób aktywistycznych w czarnych latach okupacji pisowskiej. Cenny dokument został ogłoszony przez ministra rozliczeń i praworządności (tak, jak ją rozumiemy) Waldka Żurka i bohaterkę grupy „Wejście", osobę adwokacką Sylwię Gregorczyk-Abram. To kolejny pomnik myśli intelektualnej elit Ten Kraju. Już drugi na liście UNESCO po raporcie gen. Stróżyka na temat tego, jak bardzo był penetrowany przez Rosję. Przy czym był penetrowany tak bardzo, że z powodu ochrony najbardziej intymnych danych osobowych raport nie został opublikowany. Na szczęście możemy go przeczytać, choć jego publikacja przebiegła w rytmie starego przeboju „Pojawiasz się i znikasz". Co nie zmienia faktu, że niektórzy nadal mają bzika na punkcie rozliczeń zbrodni reżimu kaczystowskiego. Może już nieliczni, ale za to na pewno bardzo zabawni.

Fot. Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor, Ludmyla Skwarczyńska x2, RMF

eprasa.pl 3d70f78a7e

Pilotaż na bombie



KRZYSZTOF FEUSETTE

Bobas: Halo? Bonżur?
Bonżur: Raczej „bonsrał”, to znaczy „bonsłar”, he, he...
Bobas: Co ty, kierwa, odwalasz?
Bonżur: Ja? Nic.
Bobas: Nic? A z tym zakazem to co ma być?
Bonżur: No, chcemy wprowadzić...
Bobas: Ale co dokładnie?
Bonżur: No, zakaz sprzedaży alkoholu...
Bobas: Nieletnim?
Bonżur: Wszystkim. Ale tylko w nocy.
Bobas: Jak w nocy?
Bonżur: No, w nocy – od 22.00 do 6.00.
Bobas: I co wtedy?
Bonżur: Kiedy?
Bobas: Jak ten zakaz wejdzie?
Bonżur: No, wtedy nie będzie można kupić alkoholu.
Bobas: Powtórz, kierwa. Bo chyba mnie zawiało i gorzej mówię. To znaczy, słyszę...
Bonżur: Co mam, kierwa, powtórzyć?
Bobas: Kierwa, o tym zakazie.
Bonżur: Dobra, powtarzam: ma być zakaz, jak w Krakowie, Wrocławiu, Olsztynie...
Bobas: A co mnie obchodzą inne miasta?
Bonżur: No, ciebie akurat powinny. Jeździsz po tej Polsce na zalane tereny...
Bobas: Tylko nie „zalane”, dobra? Powodziowe. Poza tym już nie jeżdżę, bo wszystko jest OK.
Bonżur: Co jest OK?
Bobas: Tereny zalane. To znaczy zawiane. Powodziowe.
Bonżur: Aha. Ale my mówimy o Warszawie.
Bobas: Właśnie. Czy ty uzgodniłeś te swoje fanaberie z radnymi?
Bonżur: No, nie uzgodniłem, ale mieszkańcy są za zakazem.
Bobas: A od kiedy przejmujesz się mieszkańcami?
Bonżur: Od wtedy, od kiedy sfałszowano wybory prezydenckie. „Konia” poczytaj.
Bobas: Sam konia poczytaj. Co ma koń do alkoholu? Rafale, to trzeba jeszcze przemyśleć...
Bonżur: Ale co?! Na SOR mniej pacjentów, policja rzadziej wyjeżdża...
Bobas: Już ty się policją aż tak nie przejmuj. To ja jestem policja.
Bonżur: I co wy na to jako policja?
Bobas: Jako policja to ci powiem, że mam mieszane zdanie. Ale jako strażak powiem ci, że...
Bonżur: To ty teraz gasisz pożary?
Bobas: Jako strażak ci powiem: służba. I poświęcenie. To są rzeszy najważniejsze.
Bonżur: Wiadomo.
Bobas: A ty teraz ani nie sużysz, ani się nie poświęsasz. I dlatego moi radni...
Bonżur: Twoi radni? A co ty do nich masz?
Bobas: To, że jestem szefem sruktu... struktur... na całą Warszawę. Oraz sekretarzem generalnym partii matki.
Bonżur: A ja wiceprzewodniczącym, i co?
Bobas: I jajco. Jak chcesz, to ci mogę przypomnieć twoje nominacje w ratuszu. Np. kolega Karpiński.
Bonżur: Siedzi w Brukseli.
Bobas: Ale jak wróci, to gdzie będzie siedział? Za te łapówki w wysokości 5 mln zł?
Bonżur: Nagle czepiasz się łapówek? A Nowaka broniłeś.
Bobas: Ja broniłem Nowaka? Chyba Kidawa!
Bonżur: Teraz to każda koza wskoczy na Kidawę jak na pochyłe drzewo.
Bobas: Już ty lepiej o kozach nie przypominaj. Zdechły ci na cyplu jak szprychy w CPK. Rafale, mam wrażenie, że ty sobie nie radzisz z tym miastem. I że ta cała prochybicja...
Bonżur: Z prochami to nie ma nic wspólnego. Sławek by nie pozwolił.
Bobas: Nowak?
Bonżur: Nitras.
Bobas: Co u niego?
Bonżur: Katolika w sobie piłuje. Strasznie go zabolała ta dymisja.
Bobas: A wiesz, co mnie boli? Że ty chcesz wprowadzać takie rzeczy bez żadnych konsultacji społecznych.
Bonżur: Jak bez konsultacji?
Bobas: No ze mną się nie konsultowałeś. A ja akurat miałbym coś do powiedzenia na te tematy...
Bonżur: To powiedz.
Bobas: To nie przejdzie. Radni nie poprą.
Bonżur: Jak to? Przecież mówiliście, że jestem sprawczy. Jak Tommy Lee Jones w „Ściganym”!
Bobas: W kampanii tak mówiliśmy. A teraz to sam jesteś ścigany. Ludzie się odwrócili.
Bonżur: To co mam zrobić?
Bobas: Donald uważa, że trzeba trochę odpuścić. Zróbmy np. jakiś pilotaż.
Bonżur: Na bombie chcesz pilotować?
Bobas: Sam jesteś na bombie. Wysofaj projekt, wprowadzimy pilotaż w dwóch dzielnicach.
Bonżur: Po co?
Bobas: Po to, żeby ludzie mogli się przyzwyczaić.
Bonżur: Ale do czego?
Bobas: Że muszą przejść na drugą stronę ulicy, żeby kupić nocą alkohol w stolicy.
Bonżur: I co ty wtedy zrobisz?
Bobas: Kupię wcześniej.
Bonżur: Ale co zrobisz z tym projektem?!
Bobas: A so ja mam do tego? To ty jesteś prezydentem miasta.
Bonżur: Właśnie, kierwa, miasta, nie kraju!
Bobas: I bardzo dobsze. Sam widzisz, co by było. Ciebie już nawet trzeci garnitur nie słucha. Może za dużo było tego „Prince Polo”? Przecież to się nawet na zagrychę nie nadaje...

eprasa.pl 3d70f78a7e

Najgorszy minister w rządzie

Forsowanie przedmiotu edukacja zdrowotna jako obowiązkowego to prosta droga do katastrofy wyborczej

Chyba nie ma w tym rządzie drugiego ministra, któremu udałoby się tak bardzo wkurzyć wszystkich, których teoretycznie powinien do siebie zjednać. Chodzi oczywiście o Barbarę Nowacką i jej kolejne rewolucje.

Paulina Matysiak z partii Razem tuż po rekonstrukcji nie kryła zdziwienia, że Nowacka została w rządzie. „Jest ministrem, który zirytował, zdenerwował wszystkich. Od nauczycieli po rodziców. I dlaczego Barbara Nowacka pozostała na swoim stanowisku? To chyba wie tylko ona, może jeszcze premier Tusk. Wydaje mi się, że to była osoba, której rekonstrukcji oczekiwała większość społeczeństwa" – mówiła posłanka.

Tę tajemnicę naświetlił wówczas poseł Ćwik z Polski 2050. „Każdy, kto łączy kropki, wie, dlaczego została. No i tyle" – powiedział. Na te słowa natychmiast zareagował obecny w studiu poseł PiS Jan Kanthak. „Ja mam pewne podejrzenia, ale... grubo! Ja bym się chyba tak nie odważył mówić o tym publicznie" – zareagował. Na to poseł Ćwik powtórzył: „Kto się interesuje polityką, niech łączy kropki".

Po tym występie poseł Ćwik zniknął z mediów i przestrzeni publicznej, ale Barbara Nowacka została. Na nasze nieszczęście. Wprowadzenie rozporządzenia o tym, że prace domowe mają być nieobowiązkowe i nieoceniane doprowadziło do rozleniwienia dzieci, które nabrały przekonania, że nic nie muszą, a już na pewno nie muszą się uczyć. Nauczyciele narzekają, że ograniczono im autonomię i odebrano narzędzia utrwalania wiedzy, a rodzice, że stracili kontrolę nad tym, co ich pociechy aktualnie omawiają w szkole, bo nie mają czego sprawdzać. Im więcej czasu upływało od wprowadzenia rozporządzenia, tym bardziej Nowacka irytowała. Tłumaczyła wkurzonym nauczycielom, że wcale nie wywaliła prac domowych do kosza i źle ją zrozumiano. Nauczyciele mogą zadawać, ale już nie oceniać i nie każdemu, tylko chętnym, co w praktyce oznacza to samo: prac domowych nie ma. Młodzież została zasypana kartkówkami, bo przecież wiedzę trzeba jakoś weryfikować, a rodzice usłyszeli, że nie umieją efektywnie spędzać czasu z dziećmi i porzucają je na pastwę smartfonów. A przecież zrobiła to sama Nowacka, dając dzieciakom nieograniczoną ilość czasu wolnego, który kiedyś byłby poświęcony na naukę.

Nawet współkoalicjanci krytycznie oceniają to przedsięwzięcie. „Zakaz zadawania rzeczy do domu dzieciom docelowo to jest dobry pomysł, ale najpierw trzeba przygotować: rodziców, dzieci, nauczycieli, podręczniki. Za szybko to zostało zrobione" – mówił dyplomatycznie Włodzimierz Czarzasty, współprzewodniczący Nowej Lewicy, w „Gościu Radia ZET". Poseł PSL, marszałek senior Marek Sawicki, wielokrotnie twierdził, że wszyscy krytykują zakaz prac domowych wprowadzony przez rząd Donalda Tuska, bo obowiązkowe zadania domowe są niezbędne w nauce samodzielności.

Swój błąd powoli zaczyna widzieć chyba także minister Nowacka, która na październik zapowiedziała wynik ewaluacji w tej sprawie, ale już zaczyna nieco korygować swoją postawę. Szefowa MEN stwierdziła, że jeśli zadawanie lekcji do domu wróci, to z pewnością nie w takiej formie jak kiedyś. „Będziemy rozmawiać ze środowiskami nauczycielskimi, a także rodzicami i uczniami. Postanowimy, w jaki sposób wesprzeć młodzież w efektywnym uczeniu się, nie wracając do przeładowania jej pracami domowymi" – mówiła na konferencji. Czyli być może będzie jakaś modyfikacja rozporządzenia.

A Nowacka doprowadziła rodziców do absolutnej furii, wprowadzając edukację zdrowotną z komponentem edukacji seksualnej. Pokazała to skala rezygnacji rodziców z udziału ich dzieci w lekcjach. Gdyby przedmiot był obowiązkowy, jak planowano, a z czego pod presją rodziców (a nawet polityków koalicji) pani minister się wycofała, wówczas złamano by konstytucyjne prawo rodziców do wychowania dzieci w duchu poszanowania ich wartości. Jednak Nowacka jest z siebie bardzo dumna i nie wyklucza, że od przyszłego roku przedmiot będzie obowiązkowy. Kolejny rok szkolny to 2026/2027. A już w 2027 r. mają się odbyć wybory parlamentarne. Forsowanie przedmiotu jako obowiązkowego stanowi prostą drogę do katastrofy wyborczej. A jeśli ktoś nie wierzy, to proszę sobie przypomnieć historię z wypychaniem sześciolatków do szkół i to, jakim wynikiem wyborczym sprawa się zakończyła.

Dorota Łosiewicz



Szwecja



Amunicja może poczekać

Szwedzka firma SWEBAL otrzymała od inwestorów kolejne 3 mln euro na budowę fabryki trotylu, materiału wybuchowego używanego w amunicji wojskowej – zwłaszcza pociskach artyleryjskich. Fabryka ma powstać w Nora w regionie Örebro i rozpocząć produkcję już w 2027 r. Ale nie wiadomo, czy to się uda, bo na przeszkodzie stoi ekologia.

W sumie SWEBAL zgromadziło ponad 80 mln euro. Będzie to pierwszy zakład produkcyjny tego typu w Europie na przestrzeni ostatnich dziesięcioleci. Ma on dostarczać 4,5 tys. t trotylu rocznie, co pozwoli na zmniejszenie niedoborów amunicji w Europie. Tyle w teorii, bowiem prezes firmy Joakim Sjöblom twierdzi, że unijne regulacje opóźniają inwestycję.

Firma była zmuszona przeprowadzić 14 ekspertyz na temat lokalnej przyrody, zanim rząd w Sztokholmie wydał pozwolenie na budowę. Opóźniło to realizację projektu o wiele miesięcy. „Przeprowadziliśmy pierwszą analizę w październiku, ale potem otrzymaliśmy informację od rządu: »Chwileczkę, październik to okres lęgowy ptaków«. Zostaliśmy więc zmuszeni do przeprowadzenia drugiej analizy w kwietniu, tylko po to, by otrzymać informację, że kwiecień to czas zakwitu kwiatów, więc musieliśmy przeprowadzić trzecią analizę w czerwcu" – mówił Sjöblom. Wszystkie te analizy kosztowały go miliony koron. „Jest analiza gatunków zagrożonych, wód gruntowych, starożytnych znalezisk. Próg wejścia jest więc bardzo, bardzo wysoki" – zaznaczył.

Bruksela zobowiązała się zainwestować 800 mld euro w europejską obronność w ciągu najbliższych pięciu lat. Produkcja trotylu w licznych lokalizacjach zmniejszyłaby podatność na ataki i zwiększyła możliwości skalowania produkcji. Według ekspertów rosyjski potencjał produkcyjny amunicji przewyższa europejski w stosunku 4:1, choć niektórzy uważają, że może to być nawet 6:1. Co równie ważne, Rosjanie – w przeciwieństwie do europejskich producentów – nie muszą przejmować się regulacjami.

Moskwa przestawiła swoją gospodarkę na tryb wojenny, tymczasem europejski przemysł obronny odbudowuje się bardzo powoli. UE produkuje obecnie 6 tys. t trotylu rocznie w zaledwie jednej fabryce w Polsce. Rosja z kolei ma zdolność produkcyjną ok. 20 tys. t trotylu rocznie. Oznacza to, że jest ona w stanie produkować 4–5 mln pocisków artyleryjskich rocznie, podczas gdy europejskie moce produkcyjne wynoszą 600–700 tys. Aby wyprodukować porównywalną liczbę pocisków, co Rosja, Europa potrzebowałaby co roku dostaw ok. 50 tys. t trotylu. Ale dla nas ekologia jest ważniejsza.

Aleksandra Rybińska

Kuba



Cygara pachnące niewolą

Hemingway pisał, że młode Kubanki zwijają najlepsze cygara na swoich udach. To oczywiście romantyczna mitologia, którą dziś rewiduje komunistyczna rzeczywistość. Okazuje się, że przy produkcji cygar zatrudnia się przymusowo dziesiątki tysięcy więźniów.

Cygara i inne dobra konsumpcyjne przeznaczone na eksport, zwłaszcza do Europy, są na Kubie produkowane w warunkach bliskich niewolnictwu. Taki obraz wyłania się z opublikowanego raportu organizacji Prisoners Defenders. Szacuje się, że ok. 60 tys. osadzonych, w tym więźniów politycznych, pracuje przymusowo w sieci 242 zakładów karnych oraz tzw. ośrodków poprawczych. Zadania nakładane na więźniów są różnorodne, począwszy od prac rolniczych, przemysłowych i budowlanych, a skończywszy na wywozie śmieci oraz sprzątaniu ulic, szpitali i posterunków policji.

Świadectwa zebrane w raporcie opisują ciężkie warunki pracy i codzienne życie wypełnione deprawacją, nękaniem i przemocą, a wszystko pod ścisłym nadzorem. Z relacji byłych więźniów wynika, że pracują od rana do nocy, bez ubrań roboczych, w palącym słońcu, bez wystarczającej ilości jedzenia i wody. Oprócz braku odpowiednich narzędzi, minimalnych warunków bezpieczeństwa oraz opieki medycznej zdecydowana większość świadków zgłasza poważne pogorszenie stanu zdrowia.

Jedną z najbardziej uciążliwych prac jest uprawa trzciny cukrowej oraz wypalanie węgla z drewna marabu eksportowanego m.in. do Hiszpanii, Grecji czy Turcji. Więźniowie nocują pod gołym niebem, na słomie, samemu budując prowizoryczne chaty. „Możemy pić tylko brudną wodę z koryta lub od krów z sąsiedniego gospodarstwa" – zwierzał się jeden z nich.

Najbardziej lukratywnym sektorem produkcji więziennej jest tytoń i produkcja kultowych cygar Habanos. W jednym z wiezień osadzeni pracują do 15 godzin dziennie, z wyjątkiem niedzielnych popołudni, bez przerw i posiłków, a ich wynagrodzenie wynosi nieco ponad 6 euro miesięcznie. Cygara są również kierowane do Europy, a marże sięgają blisko 100 proc. Obrońcy praw człowieka wzywają więc do wprowadzenia embarga na produkty wytwarzane w takich warunkach. Tym bardziej że w listopadzie ub.r. Rada Europejska przyjęła rozporządzenie zakazujące sprowadzania do UE produktów wytworzonych z wykorzystaniem pracy przymusowej.

Maciej Walaszczyk

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 3d70f78a7e

Rosja

Powrót Stalingradu

Czy Wołgograd znowu stanie się Stalingradem? Podczas spotkania z szefami klubów parlamentarnych w Dumie Putin obiecał „zastanowić się" nad tym pomysłem.

Z postulatem przemianowania Wołgogradu na Stalingrad wystąpił szef rosyjskich komunistów Giennadij Ziuganow. Komuniści od pewnego czasu reprezentują „twardą linię" polegającą na rehabilitacji sowieckiej przeszłości i samego Stalina. W lipcu przyjęli rezolucję potępiającą słynny referat Chruszczowa na temat kultu jednostki wygłoszony podczas XX Zjazdu KPZR w 1956 r. Został on uznany za „stronniczy i politycznie błędny". Domagają się też przywrócenia pomnika Dzierżyńskiego przed siedzibą FSB (dawniej KGB) na Łubiance, który stał tam w latach 1958–1991 i po upadku Związku Radzieckiego został przeniesiony do skansenu.

Pierwotna nazwa Wołgogradu to Carycyn. Tak nazywało się to miasto od chwili powstania w 1589 r. aż do 1925 r., gdy komunistyczne władze postanowiły je przemianować na cześć Stalina. Podczas II wojny światowej Stalingrad stał się miejscem krwawej bitwy, podczas której Armia Czerwona zdołała zniszczyć otoczone oddziały niemieckie. W sowieckiej i rosyjskiej historiografii batalia pod Stalingradem jest opisywana jako przełom, który przesądził o późniejszej klęsce Hitlera. Po objęciu władzy przez Chruszczowa miasto w ramach ograniczonej destalinizacji ponownie zmieniło nazwę, stając się w 1961 r. Wołgogradem. Od pewnego czasu nazwa Stalingrad jest symbolicznie przywracana na kilka dni w roku przy okazji różnych rocznic związanych z II wojną światową.

Stosunek Putina do stalinowskiej przeszłości jest – przynajmniej na użytek publiczny – dość ambiwalentny. Z jednej strony chwali on Stalina jako twórcę sowieckiego imperium, ale z drugiej zastrzega, że był on tyranem. Podobnie zachował się podczas niedawnego spotkania z szefami klubów parlamentarnych Dumy. „Byłoby niesprawiedliwie, gdybyśmy zapomnieli o roli, jaką odegrał ten konkretny człowiek [Stalin] w zwycięstwie narodu sowieckiego podczas wojny" – powiedział. Dodał jednocześnie, że „nie można pomijać" represji z okresu Stalina. „Kraj nie może o nich zapominać" – stwierdził.

Ziuganow już w kwietniu domagał się w Dumie debaty na temat przywrócenia nazwy Stalingrad. Wtedy jednak przewodniczący izby niższej parlamentu Wiaczesław Wołodin odparł chłodno, że komuniści powinni się najpierw pokajać, a dopiero potem debatować o Wołgogradzie. Putin okazał się bardziej wyrozumiały. „Trzeba się nad tym zastanowić" – odpowiedział Ziuganowowi. Jego zdaniem kwestię nazwy trzeba rozstrzygnąć w lokalnym referendum, a rolę Stalina w zwycięstwie nad Hitlerem „odpolitycznić". Może to wskazywać, że już wkrótce Stalingrad wróci na mapę.

Konrad Kołodziejski

Korea Południowa

Sekta chciała zamachu stanu



W grudniu 2024 r. prezydent Korei Południowej Yoon Suk-yeol ogłosił stan wojenny i oskarżył większość parlamentarną o sprzyjanie komunistom z północy. Ostatecznie zamach stanu się nie udał, a jego inicjator został pozbawiony władzy i czeka w areszcie na proces, który może się skończyć nawet karą śmierci.

Koreańscy śledczy ujawnili właśnie okoliczności zamachu, które są nie mniej bulwersujące od samego wydarzenia. Wynika z nich, że jednym z inicjatorów zamachu była Kim Keon Hee, żona byłego prezydenta, która działała w porozumieniu z Han Hak Ja [na zdj.], przywódczynią Kościoła Zjednoczeniowego znanego w Polsce jako sekta Moona.

Kim Keon Hee miała poprosić przywódczynię „kościoła" Moona, aby ta skłoniła jego wyznawców do masowego zapisywania się do konserwatywnej Partii Władzy Ludowej, by w wewnętrznych prawyborach wzrosły szanse jej męża. W efekcie z sekty liczącej 1,2 mln członków w szeregi tej formacji wstąpiło 110 tys. osób, co zdaniem śledczych miało wpłynąć na wyniki głosowania.

Jeśli ta wersja się potwierdzi, to motywy, dla których w grudniu 2024 r. Yoon Suk-yeol niespodziewanie ogłosił stan wojenny, byłyby znacznie bardziej czytelne. Sekta Moona ma bowiem coraz większe problemy. Po zabójstwie w 2022 r. premiera Japonii Shinzō Abe wyszły na jaw bliskie związki japońskiego establishmentu z przedstawicielami „kościoła". W efekcie rządząca przez lata Japonią Partia Liberalno-Demokratyczna notuje historycznie niskie wyniki wyborcze i kieruje rządem mniejszościowym, a sekta Moona została zdelegalizowana.

Zdaniem koreańskich śledczych próba zamachu stanu w Korei Południowej miała uratować pozycję sekty i oddalić ryzyko postawienia jej liderów przed sądem za łapówkarstwo i ingerencję w życie polityczne.

Marek Budzisz

Fot. karovka/Shutterstock.com Fot. Wikipedia

eprasa.pl 3d70f78a7e

Zielona smycz Chin: jak Bruksela sprzedaje Europę za zielone iluzje

Europa to jednak mistrz świata w samobójczej naiwności! Zamiast rosyjskiego gazowego sznura Bruksela zafundowała nam chiński pilot do prądu – i to wszystko w imię ratowania planety. Po co budować suwerenność, skoro można rzucać miliardy euro na stół autokratycznego Pekinu?



Chiny, ten wzór demokracji (pff!), dzierżą palmę pierwszeństwa w globalnym rynku OZE. Produkują ponad 80 proc. paneli fotowoltaicznych, które zdobią nasze dachy, podczas gdy my, frajerzy, płacimy bajeczne sumy, myśląc, że to nasz ekologiczny triumf. Każdy panel to mały chiński pomnik naszej głupoty subsydiowany przez ich partię, która śmieje się w kułak.

Turbiny wiatrowe? Chiny kontrolują 60–65 proc. światowego rynku – te śmigła na naszych polach to ich wizytówki, kręcące się w rytm pekińskiej propagandy. Samochody elektryczne? Pekin zalewa świat milionami EV, podczas gdy europejskie fabryki, zduszone biurokracją i nierealnymi dyrektywami Brukseli, walczą o oddech. Metale ziem rzadkich? Chiny mają monopol na ich wydobycie i przetwarzanie – bez nich wasze baterie to kupa złomu, a wasze zielone marzenia to mrzonki. A patenty? Chiny zgarniają ok. 75 proc. globalnych zgłoszeń w technologiach zeroemisyjnych z ponad 5 tys. patentami w 2022 r. w porównaniu do zaledwie 5 proc. w 2000 r. Ekolodzy pieją z zachwytu, bo Chiny instalują więcej OZE niż reszta świata, w 2023 r. dorzucając tyle mocy PV, ile cały świat rok wcześniej. Nie widząc, że „ludowa republika" robi nas w balona, a my bijemy brawo!

A teraz hit sezonu – bezpieczeństwo. Bruksela w swej niezmierzonej mądrości zamieniła rosyjski szantaż energetyczny na chiński. Oba reżimy to wzorce wolności – zero wyborów, pełna kontrola, a my tańczymy, jak nam zagrają. Sterowniki i oprogramowanie w panelach, wiatrakach, EV? Wszystko made in China! Pekin może wyłączyć nam prąd jednym kliknięciem, za nasze własne euro. Wyobraźcie sobie – blackout w Paryżu, bo Xi Jinping wstał lewą nogą. Albo Berlin w ciemnościach, bo chiński haker miał kaprys. Brukselscy biurokraci biadolą nad chińskimi subsydiami – dwukrotnie wyższymi w relacji do PKB niż nasze – ale ich Zielony Ład to festiwal hipokryzji. Pompujemy miliardy w chińskie panele, wiatraki i auta, niszcząc własne firmy. Cła na chińskie EV? Żart stulecia! Za późno, już chodzimy na chińskiej smyczy, którą mocno trzyma Pekin. Europejskie fabryki padają jak muchy, podatnicy płacą coraz wyższe rachunki, a chiński smok rośnie w siłę, śmiejąc się z naszej naiwności. To jak płacić za własną egzekucję, kupować popcorn i jeszcze klaskać!

Konserwatyści od lat ostrzegali przed globalistyczną pułapką, ale Bruksela woli tańczyć do chińskiej melodii, dusząc własne gospodarki regulacjami i ekofanatyzmem. Prawda jest brutalna – Europa finansuje swój upadek, podczas gdy Pekin buduje imperium na naszych pieniądzach. Zielony Ład? Bardziej zielony dług wobec Chin! Nasze podatki idą na subsydia, które napędzają chińskie fabryki, a nasze firmy bankrutują pod ciężarem nieuczciwej konkurencji. Gdzie jest plan B? Nie ma, bo Bruksela woli śnić o utopii, zamiast myśleć o suwerenności. Może czas zbudować własną energetykę wolną od chińskiego pilota? Ale po co, skoro można brnąć w ten absurd, płacąc Pekinowi za naszą klęskę. Dzięki, Brukselo, za ten zielony kabaret – bilety na naszą własną porażkę już wykupione!

Daniel Obajtek

Fot. Archiwum autora

eprasa.pl 3d70f78a7e

Kto decyduje w ONZ?



Marta Kaczyńska-Zielińska

Po zakończeniu II wojny światowej podpisano Kartę Narodów Zjednoczonych. Organizacja Narodów Zjednoczonych miała pomagać w zapobieganiu konfliktom i bronić praw człowieka. W ramach systemu ONZ główną odpowiedzialność za utrzymanie międzynarodowego pokoju i bezpieczeństwa ponosi Rada Bezpieczeństwa, składająca się z 10 członków rotacyjnych i 5 stałych: USA, Wielkiej Brytanii, Francji, Chin i Rosji. Ta piątka posiada prawo weta i może zablokować każdą rezolucję. Często paraliżuje to Radę.

Pogorszenie skuteczności ONZ pogłębiło się w 1964 r., kiedy 77 państw członkowskich połączyło siły, aby zrównoważyć władzę sprawowaną przez kraje zachodnie, będące głównym źródłem finansowania organizacji. G-77, obecnie skupiająca aż 134 ze 195 członków ONZ, szybko rozszerzyła swoje wpływy w systemach organu, w szczególności w jego komisjach budżetowych. W skład grupy wchodzą kraje od Ameryki Łacińskiej i Karaibów po Afrykę oraz region Azji i Pacyfiku, od krajów najsłabiej rozwiniętych po małe, rozwijające się państwa wyspiarskie. Analizy statystyczne głosowań na forum ONZ wskazują, że solidarność grupy pozostaje nienaruszona. G-77 posiada decydujący wpływ na obsadzanie kadr urzędniczych ONZ. Z badań prowadzonych w ciągu wielu lat wynika, że różne instytucje, agencje Organizacji Narodów Zjednoczonych należą do najmniej efektywnych na świecie. Przykładem polityki kadrowej zdominowanej przez państwa niedemokratyczne jest m.in. działalność Światowej Organizacji Zdrowia, której nieudolność była widoczna zwłaszcza w czasie pandemii koronawirusa.

Atak Rosji na Ukrainę w lutym 2022 r. stanowi wyraźne naruszenie art. 2(4) Karty Narodów Zjednoczonych, zakazującego groźby użycia siły lub jej użycia. Podczas nadzwyczajnej sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ, która odbyła się 2 marca 2022 r., zdecydowana większość państw zażądała bezwarunkowego wycofania sił rosyjskich. Ponadto w następstwie doniesień o naruszeniach praw człowieka, popełnionych przez siły rosyjskie m.in. w Buczy, członkostwo Rosji w Radzie Praw Człowieka ONZ zostało zawieszone. Mimo to urzędnicy Kremla nadal podkreślają centralną rolę Organizacji w zarządzaniu sprawami międzynarodowego pokoju i bezpieczeństwa.

Stałe stanowisko Rosji w Radzie Bezpieczeństwa z prawem weta daje jej znaczący głos w sprawach międzynarodowych. Wszak głównym zadaniem rosyjskiej polityki zagranicznej Putina jest odzyskanie niepodważalnego uznania, że Rosja pozostaje światową potęgą, taką jak wcześniej Związek Radziecki. System ONZ z Radą Bezpieczeństwa na szczycie współgra z rosyjskimi preferencjami dotyczącymi porządku globalnego. Od połowy lat 90. jednym z priorytetów Moskwy w polityce zagranicznej jest przywrócenie „wielobiegunowości". Oznacza to, że globalne problemy powinny być rozwiązywane kolektywnie przez niewielką liczbę wzajemnie uznawanych i teoretycznie równych sobie mocarstw (w tym Rosję). Rosja wykorzystuje swoje weto w Radzie Bezpieczeństwa jako narzędzie polityki zagranicznej, aby chronić i promować zasady suwerenności oraz nieingerencji w sprawy wewnętrzne innych państw, które sama systematycznie narusza. Od czasu zajęcia miejsca ZSRR Federacja Rosyjska skorzystała z prawa weta w Radzie Bezpieczeństwa ONZ 31 razy, tj. prawie dwa razy częściej niż którykolwiek inny stały członek Rady.

W 1991 r. Związek Radziecki upadł, a na mapie politycznej świata pojawiły się nowe państwa. Musiały one przystąpić do ONZ zgodnie z procedurą określoną w art. 4 Karty Narodów Zjednoczonych, który stanowi, że członkostwo państw uzyskuje się decyzją Zgromadzenia Ogólnego na wniosek Rady Bezpieczeństwa. Federacja Rosyjska nie podpisała Karty Narodów Zjednoczonych. Ukraina oficjalnie podniosła kwestię legalności członkostwa Rosji w ONZ w oświadczeniu złożonym 26 grudnia 2022 r. Atak Rosji na Ukrainę stanowi jaskrawe naruszenie fundamentalnych zasad Karty Narodów Zjednoczonych. Wojna tych państw i kolejne bezprawne naruszenia przestrzeni terytoriów suwerennych krajów, takich jak Polska czy Estonia, obnażają słabość systemu ONZ i podważają zasadności istnienia Rady Bezpieczeństwa ONZ w aktualnej formie.

REKLAMA



40/0825/F

eprasa.pl 3d70f78a7e



Walizka dr. inż. Krzysztofa „Rydza” Radziwona

szefa ochrony kampanii Karola Nawrockiego, prezydenta RP





Droga do stanowiska szefa ochrony Karola Nawrockiego podczas jego zwycięskiej kampanii prezydenckiej trwała 23 lata – była ciężka, pełna wyrzeczeń i ryzyka. Zamiłowanie do patriotyzmu i polskiego munduru zaszczepił we mnie mój ojciec, pilot wojskowy. Ja poszedłem do Szkoły Oficerskiej Wojsk Rakietowych i Artylerii, która nauczyła mnie strategicznego myślenia. Ponieważ zawsze interesowałem się jednostkami specjalnymi, gdzie obok odwagi atutami są kreatywność i nieszablonowe działanie, po ukończeniu „artylerii” zacząłem szkolenia u specjalsów. Potem przyszedł czas na misje zagraniczne, podczas których jako operator sił specjalnych brałem udział w akcjach bezpośrednich. Gdy po ostatniej turze wróciłem do kraju, pojawiła się propozycja ochrony kandydata na prezydenta Karola Nawrockiego oraz jego rodziny. Tutaj warto sobie uświadomić sytuację, w jakich obecnie się znajdujemy. Aktualnie trwa konflikt trzeciego już pokolenia UB z trzecim pokoleniem AK. „Resortowe dzieci” wyzbyły się patriotyzmu i kierują się w działaniu w większości prywatą, przywilejami, władzą, układami i interesami. Tutaj nie ma zasad moralnych, więc dla nich zwycięstwo Trzaskowskiego i domknięcie systemu to była gra o wszystko. A w sytuacji, gdy oni mieli do dyspozycji cały aparat państwa i aż pół roku na „pozbycie się zagrożenia”, mogło dojść do wszystkiego. Ponieważ ryzyko było bardzo wysokie – zarówno ze względu na czynniki zewnętrzne, jak i wewnętrzne – do grupy ochronnej wybrałem szturmanów (tutaj podziękowania dla prezesa GROM Group), którzy wiele lat spędzili w jednostkach specjalnych. Bez wdawania się w szczegóły, ich doświadczenie wielokrotnie bardzo się przydało podczas kampanii prezydenckiej. Sporym wyzwaniem było dla nas to, że kandydat, a dziś prezydent Nawrocki nie chował się i nie unikał problematycznych sytuacji, tylko wychodził do ludzi i choć był świadomy zagrożeń, konsekwentnie realizował swoją misję.

Fot. Michał Korsun, Mikołaj Bujak, archiwum prywatne Krzysztofa „Rydza” Radziwona, Shutterstock

eprasa.pl 3d70f78a7e





STAZA TAKTYCZNA

Opaska uciskowa to niezbędnik każdej apteczki. Stazę można bardzo szybko założyć na kończynę, zatamować krwawienie i tym samym uratować życie.

LIGHTSTICK TAKTYCZNY

Oświetlenie chemiczne, zapewniające strumień światła niezależnie od warunków atmosferycznych i temperatury otoczenia. W strefie działań, w której miałem okazję służyć, był używany do wskazywania w nocy lądowiska dla śmigłowca.



GLOCK 17

Z możliwością podłączenia zarówno tłumika, jak i latarki, którą można użyć do uciszenia lub oślepienia potencjalnego sprawcy. Bardzo pomocna w realizacji zadań taktycznych w warunkach ograniczonej widoczności.



NOTATNIK TAKTYCZNY

Z listą niezbędnych kodów alarmowych, m.in. dziewięcioliniowiec do sprowadzenia śmigłowca medycznego, wsparcia lotniczego czy CASA. Tu są także podstawowe elementy zadania, które musimy wykonać na bieżąco.



REWOLWER

Smith & Wesson 357 Magnum. Jego kaliber powoduje, że siła powalająca jest bardzo duża. Nie ma potrzeby szybkiego strzelania dubletów, ponieważ jedno trafienie wystarczy, żeby zamknąć temat.



RÓŻANIEC

W wielu wypadkach to on ratował.



NÓŻ

Wykonany specjalnie na potrzeby sił zbrojnych, w których miałem zaszczyt służyć. Jest on nie tylko narzędziem do walki bezpośredniej, lecz także można go użyć do np. zbicia szyby i przecięcia pasów podczas wyciągania osób z pojazdu w ramach akcji bezpośredniej.



KAMIZELKA KULOODPORNA/ TAKTYCZNA

Z pojemnymi kieszeniami na magazynki, narzędzia, latarkę, nóż i niezbędne wyposażenie.



PAŁKA TELESKOPOWA

Typu baton (nie mylić z Prince Polo). Również szeroka gama zastosowania – od użycia w celu obezwładnienia potencjalnego napastnika przez różne elementy: zbicie szyby lub ochrona bezpośrednia.

U.S. ARMY COMBAT INFANTRYMAN BADGE

Prestiżowe odznaczenie bojowe piechoty amerykańskiej armii przyznawane za wykazanie się wyjątkowym doświadczeniem i heroizmem w warunkach bojowych.





GOGLE TAKTYCZNE

Mają odpowiednią klasę, jeżeli chodzi o zabezpieczenie wzroku przed odłamkami, iskrami i innymi zagrożeniami podczas strzelania.

Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

eprasa.pl 3d70f78a7e

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Skwaszony Żurek i inne ekscesy



Jan Pietrzak

Litwa apeluje, by państwa NATO strzelały do rosyjskich samolotów naruszających przestrzeń powietrzną. Brawo, Litwo! Niemal codziennie słyszymy informacje o wtargnięciach intruzów i zawsze pojawia się asekuracyjny komentarz, że to tylko prowokacja, że oni tylko testują systemy radiolokacyjne, tylko robią rozpoznanie dronami... Co znaczy „tylko"? Czy w sztabach siedzą sami tchórzliwi biurokraci i wystraszeni politykierzy? To nie jest tylko, to jest aż!

Skądinąd często jest powtarzana teoria, że ruscy ustępują wyłącznie przed siłą. Tak więc każda ich prowokacja stanowi okazję do pokazania siły i możliwości naszego potężnego sojuszu! Na co czekamy, panie Rutte? Czego się boimy? Tylko Litwa się nie boi? A Polska – dlaczego nie strzela do agresorów, panie ministrze Kosiniaku i Kamyszu? Czy to strach w gaciach sztabowców? Czy brak świadomości, po co mamy armię? Czy może instrukcje od zagranicznych czynników? Chodzi o tych instruktorów, którzy od lat wtrącają się nam w obronę polskich granic.

Ostatnio doszło do tego, że Polsce sugeruje się „bratnią pomoc" oddziałów niemieckich! Byłbym ostrożny. To są ci sami Niemcy, którzy na siłę wpychają nam przez zachodnią granicę swoich dywersantów, a na wschodniej mają Polakom biedakom pomagać, bo podobno sobie nie radzimy.

Wrogów mamy nie tylko zagranicznych. Wewnętrznych też jest kilka batalionów, cała piąta kolumna... Ona pojawia się w przedziwnych miejscach, w rozmaitym kamuflażu. Potrafi się nieźle maskować. Realizuje brukselską strategię „marszu przez instytucje". W naszym kraju od dawna skupia się na instytucjach sądowych. Przed tygodniem mieliśmy bitwę o Sąd Najwyższy. Kolejne epizody dotyczą komisarzy wyborczych, których dziwnie nie lubi minister Żurek. Skwasił się minister któregoś dnia i postanowił odnowić komisje wyborcze. Czyżby w przewidywaniu przyspieszonych wyborów? Zapewne przypomniał sobie powiedzenie z czasów młodości: „Nieważne kto jak głosuje, ważne, kto liczy głosy". Jest w tym poglądzie pewna logika, ściśle biorąc – stalinowska. Niewykluczone, że podpiera się również powszechnie znanym cytatem z filmu „Sami swoi": „Sąd sądem, ale sprawiedliwość musi być po naszej stronie!".

Tego rodzaju postępowanie głównego stróża prawa doprowadziło do aferalnego uwolnienia od jakichkolwiek zarzutów skorumpowanego Sławomira N. z rządzącej szajki lawendowego wzgórza. Notoryczny łapówkarz na państwowych posadach w Polsce i na Ukrainie zwitkami pieniędzy upchał szafki, kanapy, nogi od foteli, wszystkie możliwe dziury... Żaden sąd nie ma odwagi go sądzić! Ale, ale, ale... Przeżyliśmy dziurę ozonową, niejedną dziurę budżetową, przeżyjemy dziurę sądową!

wPolsce24

NIE MA NAS W TWOIM TELEWIZORZE?

Zacznij działać! Naciskaj na swojego operatora telewizji kablowej.

Dzwoń, pisz, przekaż mu kontakt do nas:

operatorzy.kablowi@wPolsce24.tv

Im więcej zgłoszeń otrzyma operator, tym szybciej
Ty i Twoi bliscy będziecie mogli oglądać wPolsce24.



Informacje o lokalnych i regionalnych operatorach tv:
www.wpolsce24.tv/gdzie-nas-ogladac

GDZIE NAS OGLĄDAĆ: 52 telewizja naziemna | 909 921, 196 polsat box | 62 CANAL+ | 192 netia | 32 orange | 825 vectra | 65 339, 121 PLAY | 459 inea | 631 TOYA | 43 evio

eprasa.pl 3d70f3a7e

Książe chaosu



Samuel Pereira

Wiecie, kto najlepiej podsumowuje działalność ministra Waldemara Żurka i skutki jego decyzji dla zwykłych ludzi? Sędzia Żurek sprzed lat. „Jeśli sąd zacznie się bać prokuratorów, obywatel będzie skazany na bezprawie" – mówił w 2020 r. Dziś ten sam Żurek rozsyła do izb Sądu Najwyższego „wezwania do zaprzestania naruszania prawa", w których żąda, by... przestano orzekać. To nie spór o interpretacje, lecz próba zastraszenia i zastąpienia ustawy pismem. Nic dziwnego, że szefowa KRS przypomniała art. 128 k.k. o zamachu na konstytucyjne organy i ostrzegła: jeśli za słowami pójdą czyny, odpowiedzialność karna jest oczywista. Art. 128 k.k. dotyczy zamachu na konstytucyjne organy RP i przewiduje od 3 do 20 lat więzienia za działania zmierzające do usunięcia ich przemocą.

Ważniejsze są fakty. Zapytany, czy zna choć jedno państwo UE, które przez orzeczenie TSUE zawiesiło własne ustawy, minister nie wskazał ani jednego przykładu. W Polsce o zgodności prawa z konstytucją orzeka Trybunał Konstytucyjny – tak stanowi art. 188. A 7 października 2021 r. Trybunał przypomniał elementarz: w hierarchii źródeł prawa konstytucja państwa członkowskiego stoi wyżej niż prawo unijne. Trybunał *locuta*, *causa finita*.

Presja polityczna rodzi skutki. Siedmioro sędziów Izby Pracy SN postanowiło zakwestionować status swoich kolegów z Izby Kontroli Nadzwyczajnej i jej kompetencje do rozpoznawania skarg nadzwyczajnych. Wśród autorów są także sędziowie z nominacji Rady Państwa PRL. Co to znaczy dla obywateli? Chaos i niepewność wyroków, ryzyko przedawnień, dublowanie kosztów, lata biegania po sądach. Wygrywasz sprawę, po czym słyszysz, że wyroku „nie ma".

Na tym tle groteska boli podwójnie. Ministrowie od „plecaczków ewakuacyjnych" zamieniają bezpieczeństwo w kabaret, snując opowieści o teczkach i pendrive'ach. Zamiast tworzyć instrukcje alarmowe i wzmacniać zdolność państwa do reakcji, rząd odgrywa inscenizację. Obywatel zostaje między listem grożącym sędziom a syreną w telefonie. Ma prawo oczekiwać jednego: by państwo przestało grać w makao i wróciło do konstytucji, powagi prawa i odpowiedzialności, tak by „bezprawie" nie spełniało się jak proroctwo Żurka.

W nowych okolicznościach

Z aktorem Michałem Sikorskim rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

I znów spotykamy się na festiwalu w Gdyni.

Michał Sikorski: Ale w zupełnie nowych okolicznościach. Wracam tu w coraz innych rolach. I za każdym razem odkrywam to miasto oraz ten festiwal na przeróżne sposoby.

To prawda. W 2021 r. rozmawialiśmy przy okazji nagrody za debiut w filmie „Sonata". Rok temu...

...prowadziłem finałową galę 49. FPFF w Gdyni.

Potem, niejako „po drodze", bo w Sopocie, na Festiwalu Teatru Polskiego Radia i TV „Dwa Teatry" otrzymał pan nagrodę za rolę męską w spektaklu „Cudzoziemka". Teraz – w wersji blond i bez charakterystycznej grzywki – w startującym w konkursie głównym filmie „Życie dla początkujących", pogrążył się pan w tragikomiczny wampirzy świat.

Ale nie jako wampir. Dla niektórych może to być rozczarowanie [szelmowski uśmiech]. Myślę jednak, że ten film (w kinach od 24 października) da widzom sporo satysfakcji i uśmiechu. Chociaż finał przynosi wzruszenie. Ja się na nim wzruszam za każdym razem.

Rozbraja pana filmowy Czarek? Kim jest?

To ktoś, kto bardzo chce żyć i myślę, że oglądanie go sprawia, że także widz nabiera większej ochoty na podejmowanie nowych życiowych wyzwań.

Czy powrót na plan serialu „1670" był wyzwaniem?

Przede wszystkim bardzo mnie cieszy, że również drugi sezon jest tak dobrze odbierany. Twórcy postanowili nie odcinać kuponów od sukcesu „jedynki", proponując nową formę opowieści o rodzinie Adamczewskich i nie tylko.



Wspaniałe jest to, jak ten serial działa na publiczność. Ciąg dalszy już się kręci.

Czyli nie wychodzi pan z tego kostiumu?

A także bardzo go lubię.

Autopromocja

Fot. Aurora Films

eprasa.pl 3d70f78a7e

Tu zaszła zmiana w scenach mojego widzenia



Tytuł opowiadania Marii Dąbrowskiej jest cytatem zapożyczonym z wiersza Mickiewicza, będącego tłumaczeniem z Byrona. I w oczywisty sposób premiuje świadków historii. Za racji mojego wieku przeżyłem już wiele przeobrażeń otaczającego mnie świata. I wciąż nie mogę się nadziwić kolejnym zmianom.

Ponad trzy dekady temu miałem problemy z uzyskaniem wizy wjazdowej do RFN. Nie, bo nie! W końcu udało mi się ustalić, że w 1981 r. w kraju nad Łabą pojawił się osobnik o tym samym co ja imieniu, nazwisku i dacie urodzenia. Z nieznanych mi powodów mój „personalny sobowtór" podpadł zachodnioniemieckiej policji i był tam uważany za *persona non grata*. Wiele czasu i zabiegów kosztowało mnie wyjaśnienie, że ja i on to dwie różne osoby. Kiedy już uzyskałem wymarzoną wizę i po raz pierwszy przekroczyłem „zakazaną" granicę, pomyślałem, że jednak szacun – Ordnung muss sein! (musi być porządek!). Niemcy dbają o swych obywateli i na wszelki wypadek wolą wyrzucić dwóch niepewnych Makowieckich niż wpuścić o jednego za dużo.

Kiedy dziś oglądam w programach informacyjnych tabuny ciemnoskórych nachodźców szturmujących granicę Bundesrepublik Deutschland – bez dokumentów, bez możliwości sprawdzenia, „kto zacz", nawet bez linii papilarnych – jestem przerażony! Nie tym, co się dzieje na ulicach niemieckich miast; chcącemu nie dzieje się przecież krzywda. Każdy ma prawo zaprosić do siebie np. ludożerców i wzywać do respektowania ich obyczajów. Jednak przymuszanie do tego samego Polaków, na których kilkadziesiąt lat temu III Rzesza sprowadziła hekatombę II wojny, jest aktem pogardy charakterystycznej dla Herrenvolk (narodu panów). Przypominam: nie byłoby śmierci 6 mln naszych obywateli, zbrodni katyńskiej, rzezi Wołynia, masakry Woli, komór gazowych Auschwitz, obławy augustowskiej, sowieckiej okupacji i strat wojennych wycenionych na ponad 6 bln zł, gdyby nie 1 września 1939 r.

Lech Makowiecki

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA



SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, RYSZARD CZARNECKI, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, PIOTR GURSZTYN, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, STANISŁAW PŁUŻAŃSKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ROBERT GOŁASZEWSKI, ROBERT.GOLASZEWSKI@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT.: WITOLD ROZBICKI/REPORTER, DAWID WOLSKI/EAST NEWS, LIUDMYLA SKWARCZYŃSKA, DOMENA PUBLICZNA, SHUTTERSTOCK/PIOTR KRZESLAK, ALEKSANDAR DICKOV

Zamów prenumeratę Sieci! Od 2 stycznia 2025 r. według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł
Zagraniczna	296 zł	566 zł	1099 zł

**Dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

Autopromocja

eprasa.pl 3d70f78a7e

wPolsce 24

Minęła 20:05

codziennie 20:05



Marek Pyza

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

52 telewizja naziemna

909 921, 196 polsat box

62 CANAL+

192 netia

32 orange

825 vectra

65 339, 121 PLAY

459 inea

631 TOYA

43 evio

eprasa.pl 3d[illegible]8a7e

Oni są jak mafia

Od innych wymagają najwyższych standardów. Sami, ze swoim szefem na czele, ordynarnie je łamią. Czy działania i mentalność obecnej władzy to ostateczne rozwinięcie mafijnego podejścia do państwa wyrażonego w tzw. doktrynie Neumanna?



ŁUKASZ WRÓBLEWSKI

Wrzesień 2025 r. zapamiętamy z trzech powodów: nalotu rosyjskich dronów, dokonanej pod nosem służb zuchwałej kradzieży luksusowego auta premiera i szokującego umorzenia tzw. polskiego wątku afery korupcyjnej Sławomira Nowaka, dawnego przyjaciela i protegowanego Donalda Tuska.

Pierwsza z nich dowodzi – zdaniem wielu – słabego przygotowania państwa na zagrożenia ze strony neoimperialnej Rosji. Dwie pozostałe ściśle się ze sobą łączą, wywołując (słusznie) pytania o to, czy ekipa rządząca obecnie Polską nie zapatrzyła się za bardzo nie tylko na wschodnich, brutalnie rozprawiających się z opozycją satrapów, lecz także na mafijnych bossów z Neapolu i Sycylii.

Trudno dzisiaj nie mieć bowiem wrażenia, że mafijne podejście do państwa zaprezentowane przed laty w słynnej wypowiedzi Sławomira Neumanna znalazło swoje pełne rozwinięcie w czasach demokracji walczącej Donalda Tuska. Silni mają dobrze, słabi mają źle i się nie



eprasa.pl 3d70f78a7e

liczą. Swoich się broni, obcych się „dojeżdża". Standardy obowiązują innych, ale przecież nie nas.

To państwo, w którym Sławomir Nowak nie tylko z coraz większą pewnością może planować szczęśliwą przyszłość bez żadnych problemów z prawem, o więzieniu nie wspominając. On może – i robi to – odgrywać rolę ofiary, oceniać innych z pozycji niemal autorytetu moralnego, odgrażać się swoim „prześladowcom".

To państwo, w którym minister sprawiedliwości otwarcie mówi, że nie będzie stosował prawa, bo gdyby to robił, nie mógłby „rozliczyć" (czytaj: wsadzać do więzień i wyrzucać z zajmowanych stanowisk) wrogów wskazanych mu do rozliczenia przez premiera.

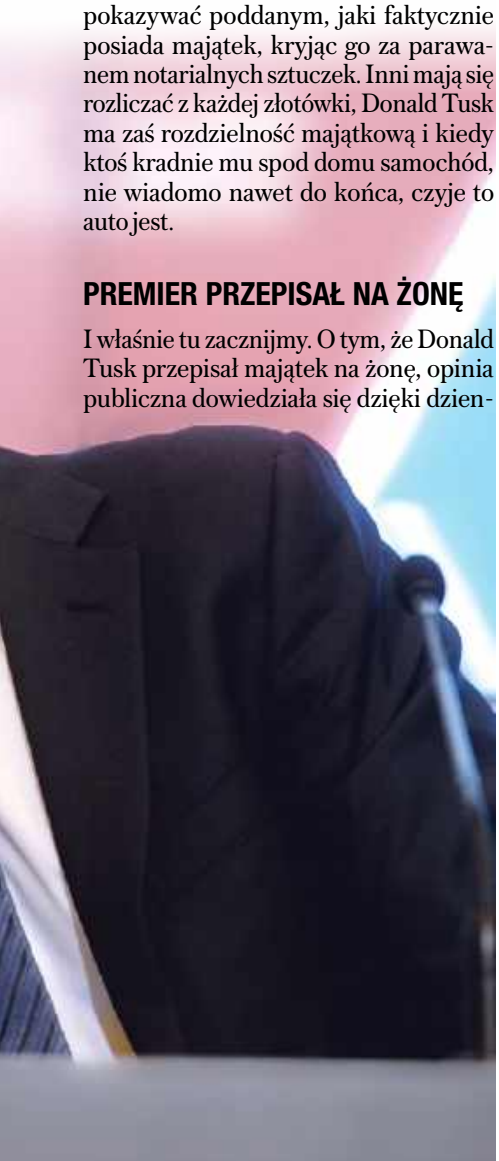
To wreszcie państwo, w którym polityk nakazujący owe rozliczenia i plotący na okrągło o „rządach prawa", „przyzwoitości" i „standardach" nie zamierza pokazywać poddanym, jaki faktycznie posiada majątek, kryjąc go za parawanem notarialnych sztuczek. Inni mają się rozliczać z każdej złotówki, Donald Tusk ma zaś rozdzielność majątkową i kiedy ktoś kradnie mu spod domu samochód, nie wiadomo nawet do końca, czyje to auto jest.

PREMIER PRZEPISAŁ NA ŻONĘ

I właśnie tu zacznijmy. O tym, że Donald Tusk przepisał majątek na żonę, opinia publiczna dowiedziała się dzięki dziennikarzom Wirtualnej Polski. W 2021 r., a więc w czasie, kiedy Tusk wrócił do Polski po latach spędzonych w Brukseli, odkryli oni, że nazwisko polityka zniknęło z ksiąg wieczystych wykazywanych wcześniej w oświadczeniach majątkowych nieruchomości.

„Ku naszemu zdziwieniu Tusk na początku sierpnia 2021 r. nie miał żadnych domów, mieszkań, lokali użytkowych, działek, gruntów rolnych. Nic. Zero. Nawet tych nieruchomości, które w 2014 r. zgłosił jako swoje. Dziś już nie są jego" – pisali.

Okazało się, że 17 sierpnia 2017 r. notariusz dokonał podziału majątku małżeństwa Tusków. Nieruchomości przeszły na własność żony premiera Małgorzaty.



Fot. Witold Rozbicki/REPORTER

> Plotący na okrągło o „rządach prawa", „przyzwoitości" i „standardach" Tusk nie zamierza pokazywać poddanym, jaki faktycznie posiada majątek, kryjąc go za parawanem notarialnych sztuczek. Inni mają się rozliczać z każdej złotówki

„Mimo że pensję w Brukseli Donald Tusk zaczął pobierać w grudniu 2014 r., to przez dwa i pół roku państwo Tusk nie nabyli w Polsce żadnej nieruchomości. Dlatego w dniu podziału majątku w sierpniu 2017 r. notariusz przypisał Małgorzacie Tusk dokładnie te same nieruchomości, które jej mąż zgłosił w oświadczeniu wiosną 2014 r.".

Mowa o mieszkaniach Tusków na sopockim Karlikowie (w 2021 r. było warte ok. 1 mln zł) i Górnym Sopocie (w 2021 r. wyceniane na ok. 500 tys.). Była także składająca się z trzech działek posiadłość letniskowa niedaleko Kartuz. Dwie z nich należały w całości do Tusków, trzecia stanowiła ich własność w dwóch trzecich. W 2021 r. wartość całości szacowano na ok. 500 tys. zł.

Do przepisania majątku premiera na żonę doszło równo dwa tygodnie po przesłuchaniu Tuska w charakterze świadka w śledztwie dotyczącym nieprawidłowości przy sekcjach zwłok ofiar katastrofy smoleńskiej. Po wyjściu z gmachu prokuratury ówczesny szef Rady Europejskiej przekonywał, że „nie da się zastraszyć władzy".

Odpowiadając w 2021 r. na ujawnienie informacji o podziale majątku, swoje decyzje z 2017 r. Tusk tłumaczył jednak właśnie strachem.

„Rodzina i moja żona Gosia odczuwali zagrożenie związane z tą nieustającą nagonką i zorganizowanym polowaniem na mnie z powodów politycznych przez PiS i rząd PiS. Absolutnie rozumiałem to poczucie zagrożenia" – stwierdził.

„Jedyną intencją tej decyzji było bezpieczeństwo mojej rodziny, a nie ukrycie czegokolwiek" – podkreślał premier. Przy okazji atakował Mateusza Morawieckiego, rozszarpywanego wówczas m.in. właśnie za podzielenie się majątkiem z żoną. W dziwacznej logice Tuska Morawiecki, przepisując nieruchomości na małżonkę w 2013 r., a więc długo przed objęciem jakiegokolwiek stanowiska państwowego, robił coś moralnie nagannego. On zaś, czyniąc to samo po cichu w czasie sprawowania jednego z najważniejszych stanowisk w strukturach UE, postępował według najwyższych standardów. Wzór transparentności.

KOMU UKRADLI LEXUSA?

„To on ukradł samochód Tuska", „Złodziej samochodu Tuska zatrzymany na lotnisku", „Nowe fakty o złodzieju samochodu Tuska" – tak brzmiały nagłówki portali po zatrzymaniu 41-letniego Łukasza W., który w nocy z 9 na 10 września zwędził wypasione auto Lexus RX 450h spod domu premiera. Problem miała nawet pomorska policja, która najpierw poinformowała o ujęciu złodzieja „samochodu Prezesa Rady Ministrów", by po jakimś czasie zmienić ten fragment komunikatu na „samochód członka rodziny Prezesa Rady Ministrów".

Samochód, którym Tusk jeździ chętnie i dość często, wcale jednak nie jest jego.

eprasa.pl 3d70f78a7e

Przynajmniej formalnie. Odkąd ponownie został posłem i szefem rządu, nie wykazuje tego pojazdu w oświadczeniach majątkowych. Do kogo więc należy skradziony, a następnie odzyskany samochód? Do końca nie wiadomo. Według nieoficjalnie podawanych przez media informacji właścicielką auta jest żona premiera.

Za co Małgorzata Tusk kupiła auto (nowe kosztuje w zależności od wyposażenia 300–350 tys. zł), skoro od lat nie pracuje? Może samochód był po prostu prezentem męża dla żony? Pewnie tak właśnie było, ale czy naprawdę, zwłaszcza w obecnej sytuacji, jest w ogóle miejsce na tego typu pytania, wątpliwości i przestrzeń do spekulacji? Mówimy wszak o premierze dużego, cywilizowanego państwa w sercu Europy, a nie jakimś afrykańskim czy wschodnim watażce. Kraju – dodajmy – prowadzącego wojnę hybrydową, a więc także informacyjną, z Rosją.

Zamieszanie jest konsekwencją obowiązującej od 2017 r. rozdzielności majątkowej państwa Tusków. W tej konstrukcji premier może *de facto* mieć wypasioną furę, a jednocześnie *de iure* nie musi wykazywać jej w swoich oświadczeniach majątkowych. Naprawdę nie trzeba wcale złej woli, by dostrzec w takim rozwiązaniu pole do nadużyć i po prostu ukrywania majątku przez jedną z najważniejszych osób w państwie.

Zapytaliśmy w kancelarii premiera, jak długo ten patologiczny stan ma jeszcze trwać i czy Tusk planuje przywrócenie wspólności majątkowej z żoną, a wraz z nią normalnego sposobu prezentowania opinii publicznej swojego dobytku. A także czy „jedyne przesłanki" podziału majątku i rozdzielności majątkowej z żoną, a więc strach przed represjami państwa PiS, przypadkiem nie ustały już jakiś czas temu.

Do chwili zamknięcia tego wydania tygodnika „Sieci" nie otrzymaliśmy odpowiedzi. Jak transparentność, to transparentność, prawda?

ANI SMUTNO, ANI WESOŁO

Kiedy w poprzedni weekend wybuchła afera z umorzeniem tzw. polskiego wątku korupcyjnej afery Nowaka, premier Donald Tusk powiedział, że nie jest mu z tego powodu „ani smutno, ani wesoło".

„Nie wnikam w jej szczegóły, jestem szczęśliwy, że odbudowujemy Polskę, w której wyrokami zajmują się sądy, nie politycy" – stwierdził premier.

Zapierająca dech w piersiach bezczelność. Umorzenie postępowania przeciwko Nowakowi jest bowiem odwrotnością normalności. Tutaj nic nie jest normalne.

Dla porządku przypomnijmy, że Sławomir Nowak, były działacz Platformy Obywatelskiej, poseł tej partii, minister w rządzie Donalda Tuska i sekretarz stanu w kancelarii prezydenta Bronisława Komorowskiego, został zatrzymany w lipcu 2020 r. Zarzucono mu gigantyczną korupcję, jakiej miał się dopuścić w czasie, gdy szefował Ukrawtodorowi, ukraińskiej agencji rządowej zajmującej się budową i remontami dróg. Śledztwo prowadzili Ukraińcy i Polacy. Nasze służby wykorzystywały m.in. słynnego Pegasusa.

> Kurczę, to już jest przegięcie, naprawdę. Kiedyś z racji pełnionych obowiązków musiałem się pobieżnie zapoznać z tą sprawą. Tam było tyle konkretów, że prędzej bym uwierzył, że Kaczyński mnie lubi, niż że Nowak jest czysty – mówi nam jeden ze znanych posłów rządzącej koalicji

W 2023 r. decyzją sądu sprawę podzielono na dwa wątki. Ukraiński, który ciągle się toczy, i ten niedawno umorzony, polski. Dotyczy on łapówek, które miał brać Nowak w zamian za załatwianie w czasach rządów PO-PSL stanowisk w spółkach Skarbu Państwa. Obszerne zeznania w tej sprawie złożył Jacek P., współpracownik Nowaka, który poszedł na współpracę z prokuraturą. Wskazał on skrytki znajdujące się w mieszkaniach w Żaganiu i Sopocie. Agenci CBA znaleźli w nich 4 mln zł w dolarach, euro i innych walutach. Według Jacka P. były to pieniądze Nowaka, który miał mu zlecać kupowanie za gotówkę m.in. dzieł sztuki, mieszkania i drogiego samochodu. Mężczyzna przyznał, że przyjmował łapówki w imieniu pryncypała. Jak podał portal niezalezna.pl, na gumkach, którymi były spięte „kanapki", znaleziono DNA Nowaka. Nie było ich jednak na samych banknotach. I właśnie ten fakt stał się – jak doniosła telewizja TVN – podstawą do umorzenia.

Było to umorzenie niezwykłe, bo dokonane przed formalnym rozpoczęciem rozprawy i motywowane „oczywistym brakiem podstaw oskarżenia". Decyzję podjął 29-letni asesor sądowy. Wniosek złożyła obrona, a zaakceptowała prokuratura – ta sama, która przesłała do sądu akt oskarżenia. Ta sama, ale nie taka sama. Na posiedzeniu reprezentowała ją bowiem – jak ujawnił dziennikarz telewizji wPolsce24 Wojciech Biedroń – Małgorzata Ceregra-Dmoch, wiceprezes skrajnie antypisowskiego, współpracującego z ministrem sprawiedliwości Waldemarem Żurkiem i domagającego się radykalnego odwrócenia reform Zjednoczonej Prawicy stowarzyszenia Lex Super Omnia.

„Wobec pojawiających się w przestrzeni medialnej informacji dotyczących szczegółów związanych z przebiegiem posiedzenia wstępnego oraz dowodów będących podstawą skierowania aktu oskarżenia przeciwko Sławomirowi N., Leszkowi K., Wojciechowi T. i Dariuszowi K. co do zarzucanych im czynów, które zostały wyłączone przez Sąd Okręgowy w Warszawie i były rozpoznawane przez Sąd Rejonowy dla Warszawy-Mokotowa informujemy, że wnioski o umorzenie postępowania zostały złożone bezpośrednio na posiedzeniu przez obrońców oskarżonych i samych oskarżonych. Prokurator obsadzający posiedzenie, ustosunkowując się do złożonych wniosków, stwierdził, że nie oponuje ich uwzględnieniu" – potwierdził doniesienia Biedronia rzecznik warszawskiej Prokuratury Okręgowej Antoni Skiba.

FALE SZOKU

Decyzja sądu zbulwersowała opinię publiczną, którą po latach ciągłych trzęsień

eprasa.pl 3d70f78a7e



Fot. Agencja SE/East News

ziemi nie jest już przecież łatwo wstrząsnąć. Fale szoku – oczywiście nierównomiernie – rozeszły się po obu stronach politycznej barykady.

Ludzie dzisiejszej władzy dziwią się po cichu. – Kurczę, to już jest przegięcie, naprawdę. Kiedyś z racji pełnionych obowiązków musiałem się pobieżnie zapoznać z tą sprawą. Tam było tyle konkretów, że prędzej bym uwierzył, że Jarosław Kaczyński mnie lubi, niż że Nowak jest czysty. Ludzie oglądają teraz sobie te miliony, pokitrane, jak to się mówi, w jakichś siatkach, skrytkach, a my mamy się uśmiechać i mówić, że państwo prawa działa? Przecież to jakieś wariactwo – mówi nam, prosząc o zachowanie anonimowości, jeden ze znanych posłów koalicji, zajmujący się sprawami związanymi m.in. z bezpieczeństwem.

Nadziwić się nie mogą prawnicy, także ci bardziej sympatyzujący z dzisiejszą niż poprzednią władzą. Zwłaszcza sposobem rozwiązania problemu Nowaka, czyli umorzeniem przez sąd sprawy przed rozpoczęciem procesu.

„Nigdy w swojej karierze sędziowskiej nie miałem do czynienia z sytuacją, kiedy prokurator po wniesieniu aktu oskarżenia wnioskuje o umorzenie z powodu oczywistego braku podstaw faktycznych. To w zasadzie przeczyłoby sensowi kierowania aktu oskarżenia. Do wnioskowania przez prokuratora o umorzenie dochodzi nierzadko, ale wtedy, kiedy w toku procesu pojawiły się jakieś nieznane wcześniej okoliczności" – komentował na łamach „Rzeczpospolitej" sędzia Piotr Mgłosiek z Sądu Rejonowego dla Wrocławia-Krzyków.

> Problem miała nawet pomorska policja, która najpierw poinformowała o ujęciu złodzieja „samochodu Prezesa Rady Ministrów", by po jakimś czasie zmienić ten fragment komunikatu na „samochód członka rodziny Prezesa Rady Ministrów"

Prawica zaś mówi wprost: to skandal, ochrona swoich z użyciem aparatu państwa, brutalne nadużycie władzy. Politycy PiS i (niektórzy) Konfederacji wymieniają listę wcześniejszych, według opozycji ewidentnie „skręconych" spraw ludzi władzy – od Tomasza Grodzkiego po Romana Giertycha. I zapowiadają, że po powrocie konserwatystów i oni, i Sławomir Nowak zostaną rozliczeni.

„Ordynarne skręcanie oczywistych kryminalnych, korupcyjnych afer Grodzkiego, Giertycha czy teraz Nowaka i wielu innych ich koleżków staje się w prokuraturach i sądach normą. Po to właśnie mafia Tuska nielegalnie przejęła wymiar sprawiedliwości" – mówił były minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro.

Pozostaje jeszcze ważne pytanie. Dlaczego? Proces ciągnąłby się latami, jak to zwykle w Polsce bywa. Było jeszcze wiele czasu na prawnicze manewry, które mogłyby przynieść Sławomirowi Nowakowi pożądany przez niego finał, uniknięto by jednak wrzawy, która podniosła się na wieść, że sąd nawet nie przeprowadzi postępowania w tak głośnej sprawie. Czy, jak sugeruje Piotr Nisztor z Republiki, mogło chodzić o wyczyszczenie pola przed planowaną nominacją na szefa ORLENU zamieszanego w kontakty z Nowakiem Jacka Krawca? A może o to, by wysłać sygnał do świadków zeznających przeciwko ludziom Platformy Obywatelskiej (że to nie ma sensu), a także sędziów i prokuratorów (żeby nie obawiali się podejmować najbardziej kontrowersyjnych decyzji)? Jest jeszcze trzecia odpowiedź: zrobili to tak samo, jak robi Tusk w kwestii swojego majątku – bo mogli. Po prostu.

eprasa.pl 3d70f78a7e



Joanna Senyszyn

Szymon Hołownia

Wadim Tyszkiewicz

Komu partię, komu!

W polskiej polityce trwa sezon na tworzenie nowych partii i nowych „trzecich dróg”. A to znak, że wszyscy liczą na wyborcze przetasowania



STANISŁAW JANECKI

Dwa lata przed wyborami parlamentarnymi w polskiej polityce pojawił się wielki i zarazem zadziwiający popyt na nową partię. Taką, jaką w przeszłości były (w sensie odegranej roli) Ruch Palikota, Kukiz'15, Nowoczesna czy Polska 2050. A także popyt na hybrydę (koalicję) w stylu Trzeciej Drogi, którą tworzyły Polska 2050 i Polskie Stronnictwo Ludowe (rozpadła się w czerwcu 2025 r. – po 17 miesiącach współrządzenia krajem). Pojawiła się też „historyczna konieczność” czegoś, co w kręgach rządowych nazywa się „przebranżowieniem” Koalicji Obywatelskiej. Ma to być połączone ze zmianą nazwy i likwidacją politycznej odrębności jej dotychczasowych „udziałowców”. Ta odmienność formalnie istniała od 2018 r., ale w 2021 r. przestała być zauważalna. „Koalicja” ma się przeobrazić w jedną partię. Zwolennicy Grzegorza Schetyny w Platformie Obywatelskiej nie widzą w tym „historycznej konieczności”, tylko „wymazywanie” ich lidera z historii, gdyż to były przewodniczący PO, a obecny senator był twórcą Koalicji Obywatelskiej.

W polskiej polityce dwa lata przed wyborami nowe jest to, że zarówno po stronie rządzących obecnie partii, jak i opozycji pojawiła się potrzeba stworzenia od razu własnej „trzeciej drogi”, czyli hybrydy, która zdecydowałaby o tym, kto zdoła stworzyć rządzącą większość po wyborach w 2027 r. Ta nowa „trzecia droga” powinna być przede wszystkim uniwersalnie koalicyjna (bez eufemizmów – obrotowa), choć promotorzy takich planów zarówno po stronie koalicji, jak i opozycji najchętniej widzieliby ją jako swój klon. Każdej politycznej rozmowie, która łamała schemat „my-oni”, np. tej prowadzonej na początku lipca 2025 r. w mieszkaniu eurodeputowanego Adama Bielana z udziałem Jarosława Kaczyńskiego, Szymona Hołowni i Michała Kamińskiego, towarzyszyły spekulacje, że uzgadniano wtedy także kulisy tworzenia nowej „trzeciej drogi”.

TYSZKIEWICZ I SENYSZYN

Rolę nowej „trzeciej drogi” chce odegrać partia Nowa Polska, której powstanie ogłosił 16 września 2025 r. senator Wadim Tyszkiewicz (były prezydent Nowej Soli). Na antenie Polsat News ujawnił on, że twarzami formacji są m.in. senator Zygmunt Frankiewicz (przez 26 lat prezydent Gliwic), senator Andrzej Dziuba (przez 23 lata prezydent Tychów), prezydent Szczecina Piotr Krzystek, prezydent Opola Arkadiusz Wiśniewski, burmistrz Cieszyna Gabriela Staszkiewicz, burmistrz Hrubieszowa Marta Majewska, wójt Tarnowa Podgórnego Tadeusz Czajka. „To będzie nowa partia polityczna, która chce unikać sporów ideologicznych i stanowić alternatywę dla PiS i jego

Fot. Andrzej Wiktor x3

13/0925/F

eprasa.pl 3d70f78a7e

przystawek oraz PO i jej przystawek. Chcemy przede wszystkim oprzeć się na gospodarce i na samorządzie" – powiedział Wadim Tyszkiewicz. Jego zdaniem w Polsce potrzebne jest „polityczne trzęsienie ziemi". I zapewnił, że „nie chce popełnić błędów Nowoczesnej ani Polski 2050".

Przy okazji tworzenia Nowej Polski wyszło na jaw, że Tyszkiewicz prowadził rozmowy z jednym z najbogatszych Polaków – Arkadiuszem Musiem. Zapewnił jednak, że miliarder sam tworzy coś „politycznego" i jest to „inicjatywa odrębna, o wiele bardziej zaawansowana".

Nowa Polska ma walczyć o głosy „Polaków zmęczonych kłótniami polityków i ideologicznymi sporami", a jednocześnie nie chce być „partią spadów, więc na razie nie przewiduje transferów". Tyszkiewicz twierdzi, że „partie wodzowskie sprawdziły się w dochodzeniu do władzy, ale nie sprawdziły się w utrzymaniu tej władzy. U nas nie będzie jednego lidera, będą idee i doświadczenie ludzi, którzy przez lata pracy w samorządzie nie tylko mówili, że coś trzeba zrobić, ale to robili". Zapewnił, że „nie wyobraża sobie jedynie współpracy z Braunem, partią Razem i radykalnym PiS". Liczy na pozyskanie „młodych", oferując im m.in. „nową politykę mieszkaniową" oraz „obniżenie wieku czynnego prawa wyborczego".

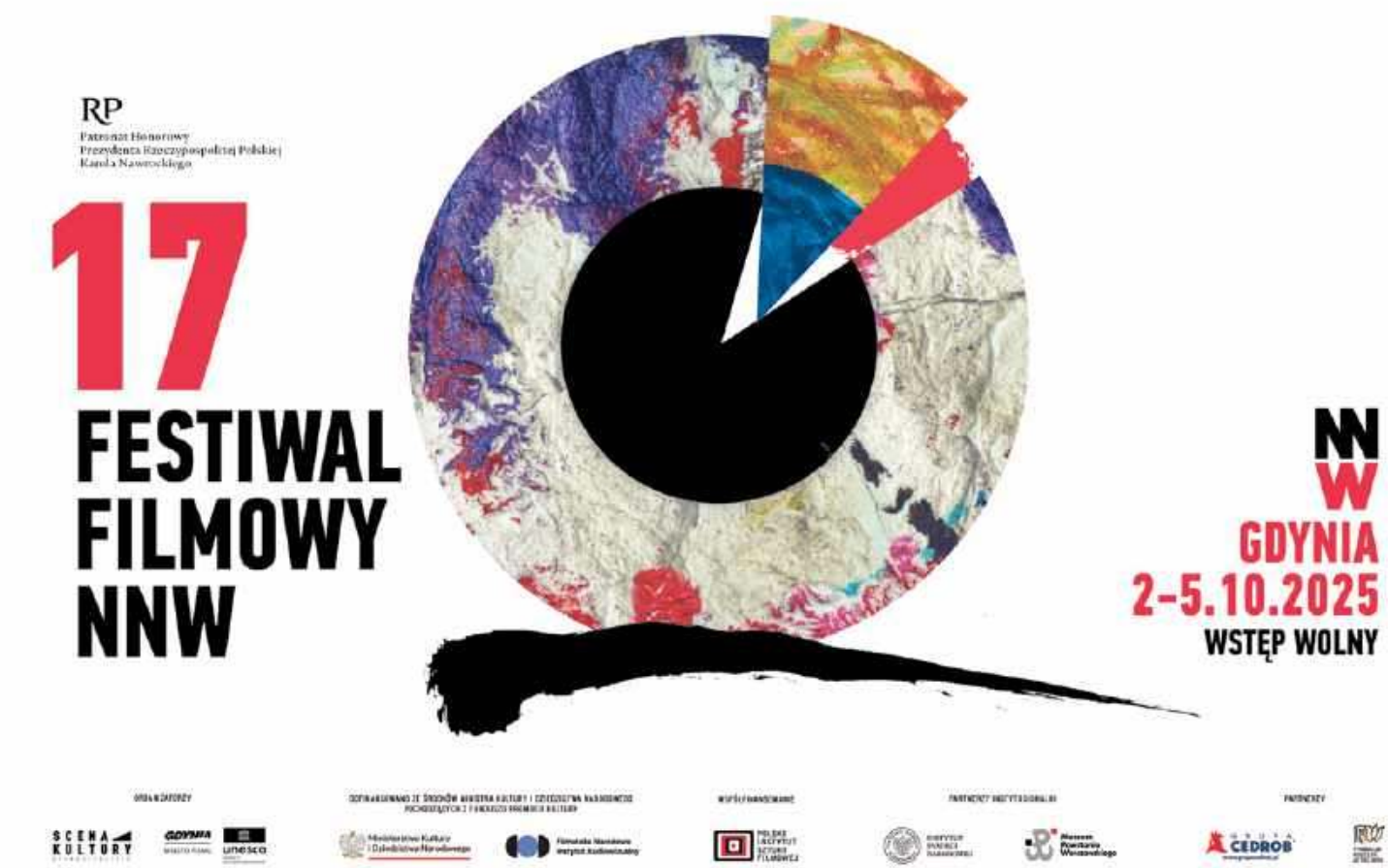
Nową „trzecią drogę" tworzy też weteranka lewicy prof. Joanna Senyszyn. Nazwa partii to Nowa Fala. „Potrzebna jest nowa siła, by powstrzymać Prawo i Sprawiedliwość w jego pędzie do odzyskania władzy. Po wynikach prezydenckich widać, że nie dokona tego Platforma Obywatelska czy szerzej, rządząca koalicja" – stwierdziła Senyszyn w rozmowie z „Rzeczpospolitą". Jej partia ma być „demokratyczna, nowoczesna, racjonalna, czyli taka jak ona sama". Program jej partii to m.in. „likwidacja finansowych przywilejów kościołów, popieranie świeckiego państwa, praw człowieka, praw kobiet do samostanowienia i praw osób LGBT+". W sprawach gospodarczych Senyszyn jest za „rozsądnym kompromisem między interesem pracodawców i pracowników".

Inicjatorka Nowej Fali ujawniła, że w ten projekt zaangażowali się m.in. jej „współpracownicy z pracy w Sejmie": Robert Kwiatkowski, były prezes TVP, były poseł, a obecnie członek Rady Mediów Narodowych; Marek Balt, były poseł i europoseł SLD; Piotr Bakun, który w czasie kampanii prezydenckiej był pełnomocnikiem wyborczym Senyszyn.

POSZUKIWACZE TRZECIEJ DROGI

Próbę stworzenia nowej „trzeciej drogi" od kilku tygodni podejmuje Szymon Hołownia, marszałek Sejmu, lider Polski 2050. Poza jego formacją (niecałą, bo część obecnych posłów nie chce z nim nic robić) mieliby się w niej znaleźć reprezentanci (uciekinierzy, a także

REKLAMA



eprasa.pl 3d70f78a7e

ochotnicy) praktycznie wszystkich istniejących obecnie ugrupowań. Połączyłoby ich rozczarowanie rządami Donalda Tuska oraz chęć możliwie szybkiego odsunięcia go od władzy. Szymon Hołownia jako akuszer tej nowej „trzeciej drogi" aspiruje do funkcji premiera w przyszłym rządzie albo marszałka Sejmu przez całą kadencję.

Już na początku lutego 2025 r. bliscy współpracownicy Hołowni dali koalicjantom do zrozumienia, że dogadał się on z opozycją. Najpierw mówiono o nowej koalicji: PiS-PSL-Polska 2050, dysponującej większością ok. 250 mandatów. Jednak stało za tym kompletnie nierealistyczne założenie, że w taki układ weszłoby PSL i większość posłów z Klubu Polski 2050. Obecnie pomysł Hołowni jest taki, żeby najpierw pojawiła się nowa partia mogąca odegrać rolę Trzeciej Drogi z 2023 r., a potem powstałaby nowa koalicja na wybory parlamentarne jesienią 2027 r. Ta nowa siła składałaby się z części obecnej Polski 2050, niewielkiej części PSL, części Konfederacji, większości partii Razem, niewielkiej części Nowej Lewicy, a także z części polityków w różnych okresach należących do PiS oraz PO. Byliby w niej także ludzie w różnych czasach popierający Pawła Kukiza, należący do Nowoczesnej, gdy przewodził jej Ryszard Petru. Byłyby też osoby wspierające w kampanii prezydenckiej Artura Bartoszewicza, Marka Wocha czy Krzysztofa Stanowskiego. Nowa partia wchłonęłaby także różnych rozbitków, którzy zostali wypchnięci z PO czy Nowoczesnej i są surowymi krytykami rządów Donalda Tuska.

Szymon Hołownia – taki, jakim był przed 1 czerwca 2025 r. (czyli przed drugą turą wyborów prezydenckich) – nie byłby w stanie zostać liderem nowej siły politycznej, ale w sierpniu 2025 r., gdy nie przyłączył się do „zamachu stanu", to się zmieniło. Podstawowa różnica między nową formacją Hołowni a Polską 2050 miałaby być taka, że nie wchodziłaby ona w żadne układy z Donaldem Tuskiem, natomiast mogłaby negocjować z Jarosławem Kaczyńskim.

Nie tylko Szymon Hołownia odkrył, że w polskiej polityce po 22 miesiącach rządów Donalda Tuska i kompletnym wyjałowieniu ugrupowań koalicyjnych, gdy chodzi o świeżość, witalność, dynamikę i pomysłowość, jest miejsce na coś nowego. I być może to ostatni moment, żeby coś takiego nie tylko się pojawiło, lecz także odniosło sukces.

W Prawie i Sprawiedliwości dyskutuje się, czy Konfederacja przetrwa w obecnym kształcie, czy „na niepodległość" wybije się jej narodowe skrzydło z Krzysztofem Bosakiem jako liderem. Gdyby tak się stało, Bosak miałby szansę pozyskania jeszcze tych osób i sił, które mogłyby współpracować z PiS, choć są krytyczne wobec tej partii. W grę wchodzi m.in. część polityków należących obecnie do Polski 2050 oraz Polskiego Stronnictwa Ludowego.

> W polskiej polityce dwa lata przed wyborami nowe jest to, że zarówno po stronie rządzących obecnie partii, jak i opozycji pojawiła się potrzeba stworzenia od razu własnej „trzeciej drogi", czyli hybrydy, która zdecydowałaby o tym, kto zdoła stworzyć rządzącą większość po wyborach w 2027 r.

Utworzeniem nowej „trzeciej drogi" jest też zainteresowana partia wicepremiera Władysława Kosiniaka-Kamysza. Zwolennicy takiego projektu liczą na współpracę z „liberalną" częścią Konfederacji (otwarcie mówił o tym wicemarszałek Sejmu Piotr Zgorzelski) oraz tą częścią polityków Koalicji Obywatelskiej, którzy nie są zadowoleni z „lewicowego odchylenia" Donalda Tuska.

TUSK STARY, CHOCIAŻ NOWY

Sam Donald Tusk jest zainteresowany pozbyciem się przez Platformę Obywatelską i Koalicję Obywatelską piętna partii (koalicji) źle rządzącej i zużytej. Przekształcenie KO w formację pod nową nazwą ma być nowym początkiem, nawiązaniem do tego, co Tusk zrobił w 2001 r., współtworząc (razem z Maciejem Płażyńskim i Andrzejem Olechowskim) Platformę Obywatelską. Premier chciałby, żeby jego „nowa" partia została potraktowana przez wyborców jako podmiot, który dokonał rachunku sumienia i się zmienił. I na tym miałaby bazować kampania wyborcza do parlamentu w 2027 r.

Problemem jest to, że Polacy nie postrzegają Koalicji Obywatelskiej jako „federacji" kilku równych podmiotów, tylko zauważają, że to w istocie Platforma Obywatelska z „gospodarstwem pomocniczym" tworzonym przez Nowoczesną, Zielonych, Inicjatywę Polską i przez jakiś czas nieformalnie Agrounię. Zmiana nazwy wcale nie musi być przyjęta jako coś istotnego i odmieniającego cokolwiek w jej funkcjonowaniu. To będzie tylko trochę większa Platforma Obywatelska, choć niekoniecznie silniejsza.

Donald Tusk musi coś zrobić z Koalicją Obywatelską, żeby się źle nie kojarzyła, ale szanse na to są niewielkie. Pod nową nazwą wciąż będzie to filar rządzącej koalicji, siła bezwzględnie zdominowana przez Donalda Tuska i podporządkowana mu, jak przecież było i jest w Koalicji Obywatelskiej. Ale skoro jest sezon na „przebranżowienie" i „przemianowanie", premier uznał, że powinien w tym uczestniczyć. I liczy na to, że może uda mu się wpisać w ten sposób w debatę o zmianach na polskiej scenie politycznej związanych z tworzeniem różnych wersji nowej „trzeciej drogi". Tyle tylko, że Tusk – skompromitowany i kompletnie wyjałowiony przez 22 miesiące rządów – nie ma szans na to, by kojarzył się z czymś nowym i lepszym od tego, co było.

Ale poza nim sezon na zmiany na polskiej scenie politycznej trwa.

eprasa.pl 3d70f78a7e

Czas stracony

Najpierw złośliwe internetowe wpisy pod adresem prezydenta, potem przymilne zachowanie w jego obecności. Z jednej strony buńczuczne wypowiedzi pod adresem Rosji, z drugiej – brak wymiernych efektów na stanowisku ministra spraw zagranicznych. Radosław Sikorski codziennie przyciąga uwagę opinii publicznej, ale 21 miesięcy jego pracy w MSZ to czas stracony



PIOTR GURSZTYN

„Nie trzeba mówić przez pół godziny, żeby przekazać właściwy komunikat. Zwięzły, trzyminutowy wykład o daremnych, neoimperialnych ambicjach Rosji. Trafiony w dziesiątkę" – taką pochwałę mowy Radosława Sikorskiego zamieścił Marek Magierowski. Były ambasador RP w Waszyngtonie, wysłany tam przez PiS i wywalony z roboty przez Sikorskiego, aby zwolnić miejsce dla człowieka całkowicie pozbawionego kompetencji do pełnienia tej funkcji, czyli Bogdana Klicha.

Wystąpienie Sikorskiego na posiedzeniu Rady Bezpieczeństwa rzeczywiście było wygłoszone sprawnie i dobitnie. Obecny minister spraw zagranicznych ma dar wymowy i potrafi ostro wyartykułować tematy, na których mu zależy. Retoryczne zdolności to przydatna umiejętność w pracy szefa dyplomacji, ale niejedyna potrzebna. Great talkers are never great doers – mówi anglosaskie przysłowie, z którym Sikorski zapewne nieraz się zetknął. Ale na pewno nigdy nie wziął do siebie. A powinien.

„Jeśli kolejna rakieta lub statek powietrzny zostanie zestrzelony, nie przychodźcie ze skargami, zostaliście ostrzeżeni" – grzmiał na Rosjan z oratorskim zapałem Sikorski. Ładne słowa, ale Kreml od ponad trzech lat co rusz słyszy takie tyrady i spływają one po Putinie jak woda po kaczce. W przypadku Radka Sikorskiego wiadomo, że zawsze lubił wypowiadać mocne słowa. Rzec można, to jego znak firmowy. Mocny bon mot, który potem będą powtarzały media. A potem kolejny bon mot i kolejny, byle tylko stale być obecnym na tym, co kiedyś nazywało się pierwszymi stronami gazet.

Tak postępował jako radykalny prawicowiec spod znaku Ruchu Odbudowy Polski. Potem jako zdecydowany antypisowiec, gdy wzywał do wyrżnięcia watahy (jednak potem owa wataha rządziła przez dwie kadencje i nawet dzisiaj, w opozycji, miewa się całkiem dobrze). W 2014 r. huczał na ukraińskich aktywistów walczących o demokrację, aby zgodzili się na dalsze rządy strzelającego do nich Janukowycza. „Podpiszcie albo będziecie martwi" – straszył ich. Na szczęście bezskutecznie. Bojownicy Euromajdanu nie posłuchali się Sikorskiego i Janukowycz uciekł w niesławie. Sikorski był zresztą wtedy jednym z głównych aktorów resetu z Rosją, na którą dzisiaj tak mocno grzmi.



Fot. Ludmyla Skwarczynska

Mocny w gębie. Wyklinał Donalda Trumpa, ale poleciał na Florydę, aby przeciąć się na 5 minut z Marco Rubio i przedstawiać to jako epokowy sukces. W wyklinaniu rzeczywistych i wydumanych stronników Rosji jest zresztą bardzo wybiórczy. Krytykował Trumpa za jego rzekomą uległość wobec Rosji, ale przez usta nie przeszły mu potępienia wobec państw europejskich, które zakupami gazu skroplonego i ropy naftowej (np. rzekomo z Kazachstanu) cały czas wspierają budżet państwa rosyjskiego.

NIE WYSTARCZĄ PIĘKNE DEKLARACJE

Oprócz daru głoszenia groźnych tyrad Radek Sikorski posiadł też umiejętność deklarowania szlachetnych zamiarów i ogłaszania szczodrych obietnic w stylu podobnym do Donalda Tuska.

„Dyplomacja to pierwsza linia obrony Rzeczypospolitej. Będę w każdej minucie pilnował tego, aby wróciła do niej apolityczność, profesjonalizm. Będę każdą godzinę poświęcał na służbę Rzeczypospolitej zgodnie ze złożonym właśnie ślubowaniem" – mówił 13 grudnia 2023 r., obejmując urząd ministra spraw zagranicznych.

Czas weryfikuje te obietnice. Niedawno mieliśmy nadzwyczaj ważne wystąpienie w ONZ wiceministra spraw zagranicznych Marcina Bosackiego w sprawie rosyjskiej prowokacji dronowej. Dzisiaj wiemy, że wiceminister został tam wysłany bez podstawowych informacji. Dzisiaj rosyjska propaganda chętnie korzysta z tej kompromitującej wpadki polskiej dyplomacji.

Na konto Sikorskiego idzie fakt, że kierownikiem ambasady w Waszyngtonie – placówki strategicznej dla bezpieczeństwa Polsk – nadal jest Bogdan Klich. Dzieje się to w sytuacji, gdy poprzedni prezydent Andrzej Duda i obecny Karol Nawrocki publicznie deklarowali, że zgodzą się na nominata rządu. Pod jednym warunkiem: że będzie to osoba z odpowiednimi kompetencjami. Być może to nie bezpośrednia wina Sikorskiego, ale na jego konto idzie też to, że premier Donald Tusk został kilkakrotnie poniżony przez dwóch kolejnych kanclerzy Niemiec. Najpierw Olaf Scholz nie zaprosił Tuska do Berlina na spotkanie poświęcone wojnie ukraińskiej z udziałem prezydentów USA i Francji oraz premiera Wielkiej Brytanii. Potem Friedrich Merz kazał jechać Tuskowi w osobnym wagonie. Dodajmy jeszcze celowe zamieszczenie na profilu instagramowym Scholza fotografii z fatalnym ujęciem kłaniającego się Tuska. Nic nie wiadomo, aby polska dyplomacja kierowana przez buńczucznego Sikorskiego jakoś zareagowała na te afronty.

Zabrakło wtedy tej wojowniczości, którą prezentuje np. w relacjach z głową własnego państwa. Na internetowe oraz medialne połajanki pod adresem prawicy zawsze znajduje czas, co akurat przeczy jego słowom o powrocie apolityczności do dyplomacji. W połowie września wywiesił osławiony już wpis pod adresem prezydenta Nawrockiego: „W sprawie reparacji Pan Prezydent poniósł w Berlinie zwycięstwo moralne. W sprawie umowy Mercosur–UE też przestrzegaliśmy, podczas Rady Gabinetowej, że nie ma szans na mniejszość blokującą. Polityka zagraniczna jest trudniejsza, niż się wydaje".

NAJLEPIEJ NIC NIE ROBIĆ

Przy tej okazji Sikorski nie przewidział tego, jak bardzo się odsłonił. Przyznał się do braku skuteczności i zerowej sprawczości. Jednocześnie wyrządził szkody koledze z rządu. Minister rolnictwa Stefan Krajewski cały czas zapewnia, że trwają prace nad budową mniejszości blokującej umowę z Mercosur. Według Krajewskiego, a wbrew temu, co napisał szef MSZ, są na to szanse. „Nie poddajemy się. Chcemy kontynuować dialog z tymi krajami UE, które podzielają to samo stanowisko, co rząd Polski" – oznajmił Krajewski po niedawnym spotkaniu ministrów rolnictwa państw UE w Kopenhadze.

Można odnieść wrażenie, że metodą Radosława Sikorskiego jest niepodejmowanie prób działania, bo wtedy nikt mu nie zarzuci, że coś przegrał. Jeśli nic się nie robi, to nie ma przegranych. Niestety nie ma też sukcesów.

Koncertowo zmarnował okazję, jaką było dla niego to, że prezydentem USA pozostawał bliski mu ideowo Joe Biden. Do momentu agresji na Ukrainę administracja Bidena chłodno traktowała konserwatywne władze Polski – prezydenta i rząd. Potem wspólne działania na rzecz Ukrainy poprawiły te relacje, ale ideowym sojusznikiem dla demokratów powinna być ekipa Koalicji Obywatelskiej. Jednak słynna łączona wizyta polskiego prezydenta i premiera w Białym Domu wiosną 2024 r. była klapą z punktu widzenia Tuska i Sikorskiego. „Biden koncentrował swoją uwagę na mnie, żartował, utrzymywał kontakt wzrokowy i fizyczny. Tusk z drugiego planu próbował na siłę przypodobać się amerykańskiemu prezydentowi" – pisze w swojej wspomnieniowej książce Andrzej Duda. Relacje obecnych podczas tej wizyty polskich dziennikarzy potwierdzają ten opis. A Sikorski milczał, jakby nie chciał zdominować swojego nieporadnie zachowującego się szefa.

KLAPA ZA KLAPĄ

Idąc dalej, punkt po punkcie: polska prezydencja w pierwszej połowie tego roku to również koncertowa klapa. Pewnie mało kto wie, ale jej hasło brzmiało „Bezpieczeństwo, Europo". Czy były jakieś efekty? Nie widać ich. Chyba najbardziej spektakularnym zdarzeniem była wizyta Sikorskiego – jako oficjalnego reprezentanta UE z racji przypadającej prezydencji – na Sri Lance.

Umowa z Mercosur: poza słowami – i to też skierowanymi tylko do polskiej opinii publicznej – zero działań. W listopadzie 2024 r. wicepremier Władysław Kosiniak-Kamysz zwołał konferencję prasową, na której wyraził ostry sprzeciw wobec tej umowy. Jako sukces przedstawił to, iż rząd podjął uchwałę w tej sprawie. Poszedł wtedy komunikat, że „trwają obecnie działania dyplomatyczne, w których biorą udział: premier Tusk, minister Sikorski, minister Siekierski, minister Paszyk, aby stworzyć mniejszość blokującą akceptację umowy przez Radę Europejską". I jeśli było widać jakąś aktywność ówczesnego szefa resortu rolnictwa Czesława Siekierskiego, przejawiającą się w spotkaniach poświęconych temu problemowi

eprasa.pl 3d70f78a7e

z odpowiednimi ministrami innych krajów UE, to nie ma śladów takich działań Sikorskiego (a tym bardziej Tuska). Stosunkowo liczne spotkania Sikorskiego z przedstawicielami innych krajów UE – według oficjalnego kalendarium MSZ – poświęcone były innym sprawom. O umowie z Mercosur tam nie rozmawiano. Nie ma o tym ani śladu w oficjalnych komunikatach ministerstwa.

Co ciekawe, w czasie wspomnianej konferencji Kosiniaka-Kamysza jej uczestnicy podkreślali, że „Polska nie jest osamotniona w sprzeciwie wobec Mercosur: również Francja, Belgia i Irlandia są przeciwne tej umowie". Według tego komunikatu możliwe było sformowanie tzw. mniejszości blokującej. Co się stało przez kolejne miesiące, że przestała istnieć taka możliwość?

Pakt imigracyjny – brak widocznej aktywności. W oficjalnych komunikatach na stronie MSZ to zagadnienie również nie występuje jako temat rozmów ministra Sikorskiego.

Reparacje i zadośćuczynienie za II wojnę światową: wiadomo, że w tej sprawie Sikorski nie wierzy w jakąkolwiek możliwość uzyskania zadośćuczynienia. Zawężając temat do reparacji *sensu stricto* (bez zadośćuczynienia za zbrodnie wojenne), Sikorski wielokrotnie powoływał się na wygodny dla Niemiec argument, według którego sprawa została zamknięta przez Bolesława Bieruta w 1953 r. Zapewniał natomiast, że będzie zabiegał o zadośćuczynienie innego typu. W lutym 2024 r. stwierdził, iż rząd koncentruje się na uzyskaniu „formy zadośćuczynienia, która przekona Polaków, że Niemcy poważnie żałują". Od tego czasu nic się jednak nie wydarzyło.

DYPLOMACJA BEZOBJAWOWA

Co zatem zajmuje Radosława Sikorskiego? W kwietniu 2024 r. przedstawił zwyczajową informację na temat celów polskiej polityki zagranicznej na tamten rok. Głównym tematem jego przemówienia było... Prawo i Sprawiedliwość. Oraz kilka sloganów typu „Polska bezpieczna", „Silna Polska w silnej Unii Europejskiej". Ani słowa o umowie z Mercosur. I bardzo mało konkretów. Np.: „Skończymy z bezkarnością rosyjskich dezinformatorów". Ciąg wydarzeń w czasie ataku rosyjskich dronów pokazuje, ile była warta ta zapowiedź.

„Oczekujemy od Berlina prezentacji propozycji zadośćuczynienia, na które pomysłów nie brak: od poparcia dla żyjących ofiar przez odbudowę polskich zabytków, inwestycje w polskie bezpieczeństwo, w naukę języka polskiego w Niemczech do popularyzacji polskiej historii" – mówił wtedy Sikorski. Efekty znamy, a przy okazji trzeba przypomnieć, że to ten minister powołał prof. Krzysztofa Ruchniewicza na pełnomocnika ds. stosunków z Niemcami.

> Oprócz daru głoszenia groźnych tyrad Radek Sikorski posiadł też umiejętność deklarowania szlachetnych zamiarów i ogłaszania szczodrych obietnic w stylu podobnym do Donalda Tuska. Ale nic z tego nie wynika

Rok później, przedstawiając informację o polityce zagranicznej na 2025 r., znowu powtarzał górnolotne frazy: „Taka jest dziś polska marka: bezpieczeństwo, suwerenność i przywództwo. Bezpieczeństwo państwa, suwerenność w decyzjach i przywództwo we Wspólnocie".

Znów nic o umowie z Mercosur ani o problemie migracyjnym, mimo że był to czas, gdy Niemcy zaczęły przepychać na polską stronę niepożądanych migrantów. Ewidentnie miał już przy tym mniejszy rezon w temacie zadośćuczynienia za II wojnę światową. „W stosunkach z Niemcami pamiętamy o tragicznej historii, podkreślamy konieczność właściwego upamiętnienia w centrum Berlina polskich ofiar II wojny światowej oraz wciąż nierozwiązaną kwestię zadośćuczynienia za zniszczenia wojenne. Ale wspominając tamtą wojnę, musimy pamiętać, że obecnie najważniejszą miarą jakości partnerstwa polsko-niemieckiego są nasze wspólne działania w celu zapobieżenia wojnie w przyszłości" – mówił Sikorski. A całość zakończył hasłem wyborczym Rafała Trzaskowskiego: „Cała Polska naprzód!", co zdecydowanie było zaprzeczeniem wypowiedzianych w tym samym wystąpieniu wezwań do tego, aby wspólnie i zgodnie prowadzić politykę zagraniczną.

Złotousty minister nie przekonał partnerów z Niemiec do uszanowania polskich oczekiwań. Nie miał czasu na Mercosur, ale znalazł go na démarche w sprawie... kazań dwóch biskupów: Wiesława Meringa i Antoniego Długosza. Polski ambasador przy Watykanie wręczył oficjalne pismo z żądaniem, aby Stolica Apostolska wyciągnęła surowe konsekwencje wobec obu – emerytowanych skądinąd – hierarchów. Po miesiącu przyszła uprzejma, acz całkowicie odmowna odpowiedź. Watykan nie wyraził ubolewania i odpowiedział, że obaj biskupi skorzystali z konstytucyjnej wolności słowa.

Kalendarium ministra wygląda na dość zajęte. A to wizyta w ONZ, a to szczyt NATO. To znowu spotkanie ministrów spraw zagranicznych Trójkąta Lubelskiego lub tzw. wielkiej piątki, czyli pięciu największych krajów UE. „Bezpieczeństwo w Europie oraz dalsze kompleksowe wspieranie Ukrainy" – to standardowe zdanie komunikatów po spotkaniach tego rodzaju. „Uczestnicy spotkania rozmawiali o roli Europy" – można wyczytać, choć zawsze brakuje wyjaśnienia, co wynikło z tych rozmów.

I to jest chyba najlepsze podsumowanie działań Radosława Sikorskiego. Bardzo dużo wzniosłych słów, dużo występów medialnych, liczne fotografie z szerokim uśmiechem na twarzy wraz z równie uśmiechniętymi dygnitarzami z innych krajów. I brak wymiernych rezultatów. Po prostu dyplomacja bezobjawowa.

eprasa.pl 3d70f78a7e



Ofiara prohibicji



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Głosowanie w sprawie nocnej prohibicji w Warszawie pokazało, że Trzaskowski jest politykiem kompletnie bezradnym i pozbawionym siły sprawczej. Najpierw został wymanewrowany przez Kierwińskiego, a potem podkulił ogon i zniknął wszystkim z oczu

Zupełnie nieoczekiwanie Rafał Trzaskowski stał się ofiarą wódki, dokładniej rzecz ujmując – zakazu nocnej sprzedaży alkoholu. Zgłoszony przez niego projekt prohibicji, która miała obowiązywać w godzinach 23.00–6.00, został wycofany z obrad Rady Warszawy pod naciskiem radnych z jego własnej partii. Upokorzenie Trzaskowskiego nie ogranicza się jednak do kwestii lokalnych, lecz ma wymiar

Fot. Liudmyla Kazakova, Andrzej Wiktor

eprasa.pl 3d70f78a7e

ogólnokrajowy. Pojawiają się bowiem pytania o przyszłość tego polityka oraz kierunku, w którym podąży Platforma.

Warszawskie głosowanie pokazało całej Polsce, że Trzaskowski – mimo sprawowania wysokiej funkcji – jest politykiem kompletnie bezradnym i pozbawionym jakiejkolwiek siły sprawczej. W tym kontekście jego niedawną porażkę w wyborach prezydenckich można uznać za szczęśliwe zrządzenie losu. Źle by bowiem było, gdyby w obliczu narastającego konfliktu w Europie sprawami kraju kierował ktoś, kto nie ma posłuchu nawet wśród swojego zaplecza politycznego.

TO TYLKO PRETEKST

Za sprawcę obecnych kłopotów Trzaskowskiego uchodzi Marcin Kierwiński, minister spraw wewnętrznych i zarazem szef warszawskich struktur Platformy. Przed wyborami prezydenckimi spekulowano, że zajmie on miejsce prezydenta Warszawy w stołecznym ratuszu. Tak się nie stało, bo Trzaskowski przegrał elekcję i w rezultacie pozostał na dotychczasowym stanowisku.

Wygląda jednak na to, że Kierwiński nie zamierza odpuszczać. Być może nie chodzi mu w tej chwili o fotel prezydenta stolicy, ale o zmarginalizowanie osłabionego Trzaskowskiego i wskazanie mu miejsca w drugim szeregu. W tej interpretacji kwestia prohibicji była jedynie pretekstem do uderzenia.

Trzaskowski od pewnego czasu promował ideę nocnej prohibicji jako pomysł nie tylko na ograniczenie spożycia alkoholu, lecz także – a może przede wszystkim – skuteczną rywalizację z dość silną w Warszawie lewicą oraz stowarzyszeniami miejskimi, które głośno postulowały wprowadzenie zakazu. Przeciwko sprzedaży alkoholu w nocy opowiadało się również wielu warszawiaków, a przykłady podobnych rozwiązań z innych polskich miast wzmacniały presję na władze stolicy. Dlatego Trzaskowski, obserwując te nastroje, zdecydował się przystąpić do działania.

Początkowo wszystko szło jak po maśle. Przygotowano odpowiedni projekt uchwały, a prezydent firmował go własnym nazwiskiem. Bo miała to być jego zasługa i jego sukces. Warszawiacy mieli zobaczyć, że Trzaskowski jest aktywny, sprawczy i słucha głosu mieszkańców. Głosowanie nad uchwałą wydawało się formalnością, bo oprócz głosów radnych Platformy spodziewano się poparcia lewicy, aktywistów miejskich, a niewykluczone, że również prawicy.

Cały ten plan zawalił się kilka godzin przed sesją Rady Warszawy. Trzaskowski nieoczekiwanie wycofał swój projekt, a zamiast niego radni PO zgłosili zupełnie inny – o pilotażowej prohibicji w zaledwie dwóch stołecznych dzielnicach. Podczas debaty doszło do chamskich przepychanek, bo na sesję (co powoli staje się tradycją w polskim samorządzie) nie chciano wpuścić mieszkańców. Przeznaczone dla nich miejsca okupowali bowiem – i to w dosłownie – działacze Platformy ściągnięci z całego miasta. Standard niemal wprost wyjęty z putinowskiej Rosji.

> Wśród polityków krążą różne hipotezy. Według jednej z nich Trzaskowski wcale nie zamierza żegnać się z polityką i nadal walczy, zabiegając o wsparcie Niemców

Trzaskowski w ogóle nie pojawił się na Radzie Warszawy. W tak ważnej dla miasta sprawie prezydent po prostu zniknął. Być może bał się kompromitacji, ale jego nieobecność tylko pogorszyła sytuację. Po prostu dla wszystkich stało się jasne, że Trzaskowski nie ma w Warszawie praktycznie nic do powiedzenia i że to nie on rządzi miastem.

ZIELONE ŚWIATŁO OD TUSKA

Wszystkie nici ewidentnie prowadziły do Marcina Kierwińskiego. Radni Platformy, którzy okazali się nielojalni wobec Trzaskowskiego, nie działali przecież spontanicznie. Ktoś, kogo uznali za ważniejszego od prezydenta stolicy, kazał im wywrócić do góry nogami prohibicyjne plany ratusza i ośmieszyć w ten sposób ich autora. Nieoczekiwanie Warszawa stała się polem bratobójczej bitwy wewnątrz Platformy. I Trzaskowski sromotnie przegrał to starcie.

Trudno jednak podejrzewać, że Kierwiński, rzucając wyzwanie prezydentowi Warszawy, zrobił to samowolnie. Bez przesady – aż tak odważny i podmiotowy to on nie jest. Na tak bezczelną akcję musiał mieć zgodę Donalda Tuska. Taki przebieg wydarzeń potwierdziło TVN24, według którego premier miał dać Kierwińskiemu zielone światło.

Oczywiście po hucpie na Radzie Warszawy szef rządu natychmiast umył ręce. „Nie jestem zadowolony z tego, co tam się zdarzyło. Wolałbym, żeby brano przykład z tych samorządów, które konsekwentnie starają się walczyć z negatywnymi konsekwencjami tego alkoholowego liberalizmu, bo w Polsce dostęp do alkoholu jest bardzo powszechny" – odpowiedział poproszony o komentarz do wydarzeń w stolicy. Nie pierwszy to już raz, gdy Tusk robi jedno, a mówi drugie.

Pojawia się jednak pytanie, co skłoniło szefa rządu do podtopienia Trzaskowskiego. Bo w przypadku Kierwińskiego sprawa wydaje się stosunkowo prosta do wyjaśnienia. „Bobas" – jak ironicznie nazywa się ministra – nie lubi prezydenta Warszawy, ma wobec niego kompleksy i dlatego chce go zepchnąć w polityczny niebyt. Czego jednak obawia się Tusk, skoro pozwolił ministrowi tak ostentacyjnie upokorzyć Trzaskowskiego?

Wśród polityków krążą różne hipotezy. Według jednej z nich Trzaskowski wcale nie zamierza żegnać się z dalszą karierą polityczną i nadal walczy, zabiegając o wsparcie Niemców. W tym kontekście mówi się o jego ambicjach, by zastąpić Tuska w fotelu premiera. Jego atutem miałyby być miliony głosów, które zebrał podczas wyborów prezydenckich.

Ta hipoteza, choć mogłaby wyjaśniać wrogość Tuska, ma jednak pewne słabości. To prawda, że kanclerz Friedrich Merz nie darzy sympatią polskiego premiera (stare zaszłości z czasów Angeli

eprasa.pl 3d70f78a7e

Merkel) i zapewne byłby skłonny wymienić go na kogoś, kto będzie skuteczniej reprezentował interesy Berlina nad Wisłą. Jednak Trzaskowski – z jego tęczowym skrzywieniem – słabo pasuje do tej układanki.

Pewną poszlaką może tu być artykuł, który ukazał się w poprzednim „Newsweeku". Jego autor Krzysztof Varga drwi sobie niemiłosiernie z Trzaskowskiego, pisząc, że zapuszczone przez niego wąsy „należy uznać za największy sukces od czasów jego dwugodzinnej prezydentury". Dalej pyta „co Trzaskowski ma do zaoferowania 10 milionom jego rozczarowanych i zrozpaczonych wyborców", sugerując na koniec, że byłoby najlepiej, gdyby prezydent Warszawy w ogóle zrezygnował z polityki. Tego rodzaju teksty w połączeniu z pochwałami Radosława Sikorskiego, mogą nam podpowiadać, jaki jest kierunek myślenia w niemieckiej centrali koncernu RASP, do którego należy „Newsweek". A warto dodać, że Axel Springer żyje dobrze z politykami rządzącej dziś w Niemczech CDU.

Jeżeli ten trop jest prawdziwy, to Trzaskowski nie wygląda na faworyta Berlina. Wręcz przeciwnie. Co oczywiście nie oznacza, że nie walczy on zakulisowo o swoją pozycję, a Tusk wraz z Kierwińskim nie próbują w odpowiedzi ustawić go do pionu. Tym bardziej że Tusk zawsze pozbywał się ze swojego otoczenia osób, które choćby potencjalnie mogą stanowić dla niego zagrożenie. Bliscy współpracownicy prezydenta Warszawy, tacy jak Sławomir Nitras, już wylecieli do drugiego szeregu. Być może teraz czas nadszedł na Trzaskowskiego.

Rola Kierwińskiego jest tu jasna. To polityk pozbawiony polotu i całkowicie zależny od Tuska. Kiedyś o takich jak on mówiło się: bierny, mierny, ale wierny. Wykorzystując jego osobiste animozje z Trzaskowskim, premier ustawia sobie w Warszawie wykonawcę swoich poleceń i tym samym przejmuje kontrolę nad stolicą. W zamian Kierwiński może sobie roić, że został namaszczony przez wodza i otwiera się przed nim wielka polityczna kariera.

Oficjalnie minister zaprzecza, że między nim a Trzaskowskim jest jakakolwiek rywalizacja. Zapewnia, że obaj „współpracują od lat" i są „dobrymi kolegami". Twierdzi też, że projekt uchwały firmowanej przez Trzaskowskiego był „tanim populizmem" i prezydent stolicy ostatecznie wycofał się z niego, popierając ideę pilotażu w dwóch dzielnicach. Prawda jest jednak taka, że Trzaskowski po tym, jak został wymanewrowany przez Kierwińskiego, po prostu podkulił ogon i zniknął wszystkim z oczu.

EWOLUCJA PLATFORMY

Porażki Trzaskowskiego w starciu z Kierwińskim nie powinno się rozpatrywać wyłącznie w kategoriach wewnątrzpartyjnej walki o władzę. To również kolejny objaw ewolucji, jaką przechodzi Platforma.

Nie ma już sensu przypominać, że ćwierć wieku temu była to zupełnie inna partia niż dziś. Wielonurtowa i pełna wyrazistych, interesujących polityków. Jednak szybko – pod wpływem licznych obsesji Tuska – zaczęła przekształcać się w bezideową, nędzną intelektualnie sektę arogantów uprawiającą nie tyle politykę, ile raczej chuligaństwo polityczne. Nic więc dziwnego, że wielkie kariery zaczęli robić w jej szeregach ludzie, którym w normalnych okolicznościach nikt by nie powierzył odpowiedzialności nawet za sprzątanie psich kup z trawników. Ich defekty nie miały jednak żadnego znaczenia dla wodza – ważne było tylko, żeby byli w niego wpatrzeni i całkowicie mu posłuszni. W ten sposób wypromowano całą rzeszę karierowiczów o giętkich kręgosłupach, ludzi niekompetentnych i łatwo ulegających demoralizacji. To oni stają się dziś twarzami rządzącej partii.

> Trudno podejrzewać, że Kierwiński, rzucając wyzwanie Trzaskowskiemu, zrobił to samowolnie. Na tak bezczelną akcję musiał mieć zgodę Tuska

Mimo licznych wad i słabości Trzaskowski pochodził z innego świata. Ze swoim francuskim i pretensjonalnymi manierami odgrywał w partii Tuska użyteczną rolę wielkomiejskiego inteligenta, dzięki któremu udawało się ukryć prawdziwe oblicze Platformy. W tym sensie jego odsunięcie na dalszy plan może okazać się samobójcze wizerunkowo, bo przecież trudno uznać Kierwińskiego za lwa warszawskich salonów.

Jest jednak jeszcze jeden aspekt tej sprawy. Dobrze zilustrował go Szymon Jadczak z Wirtualnej Polski. „Człowiek pół wieczoru spędził, przekopując KRS, księgi wieczyste, CEIDG, rejestry, żeby wyłapać powiązania, lobbing, korupcję, które stoją za sprzeciwem PO wobec zakazu sprzedaży alkoholu nocą. A na końcu dzwonią ludzie od samego Tuska i mówią, że to wszystko, bo Kierwiński nienawidzi lewactwa" – napisał na platformie X.

Z pewnością jest tu coś na rzeczy. Nastroje w Polsce znów przechylają się w prawą stronę. W tej sytuacji Trzaskowski – z jego „płonącą planetą" i marszami równości – mógł zostać uznany przez speców od Tuska za obciążenie dla Platformy. Lewica w Polsce i tak jest zwasalizowana przez PO, więc nie ma sensu zabiegać o jej głosy. Lepiej ich poszukać po prawej stronie i poprzymilać się do Mentzena. Nieprzypadkowo coraz większą karierę w Platformie robi Radosław Sikorski.

Być może więc w obawie przed utratą władzy w 2027 r. Platforma dokonuje kolejnego politycznego zwrotu. W nowej odsłonie Trzaskowski nie jest już potrzebny, bo miejsce „głównego dżentelmena" zajmie teraz Sikorski. To jednak scenariusz potencjalnie groźny dla samego Tuska, bo Sikorski – w odróżnieniu od Trzaskowskiego – potrafi być bardzo przebiegły.

Nasuwa się więc pytanie, jak długo premier będzie w stanie kontrolować sytuację i czy zdoła utrzymać wsparcie swoich zagranicznych patronów. Bo – powiedzmy sobie szczerze – to oni w głównej mierze zdecydują o jego przyszłości. W tej chwili wiemy jedynie tyle, że przetasowania w Platformie już się zaczęły, a Trzaskowski został wzięty na celownik. Ciąg dalszy nastąpi zapewne już niebawem.

eprasa.pl 3d70f78a7e



Operacja „Śluza”,

czyli polscy celebryci w orkiestrze Kremla

Jakie były intencje Rosji, która w porozumieniu z Białorusią próbowała wywołać poważny kryzys migracyjny w Polsce, przepychając przez naszą granicę zwiezionych tam specjalnie „uchodźców”? Jakie scenariusze kreślił wówczas Kreml?

Jesienią 2021 r. Białoruś zaczęła na granicy z Polską i Litwą operację „Śluza”, polegającą na wywołaniu kryzysu migracyjnego. Tadeusz Giczan, białoruski dziennikarz opozycyjny, który opisywał przygotowania KGB i wojska, zwrócił uwagę na to, że trwały one już od wczesnej wiosny, kiedy zwiększono liczbę lotów z irackiego Kurdystanu do Mińska, a częścią logistyczną podjętych działań zaczął się zajmować Centrkurort – kontrolowana przez białoruskie władze firma zarządzająca ośrodkami wypoczynkowymi. Białoruskie służby specjalne i OSAM – specjalna jednostka wojsk ochrony pogranicza – opracowały plany działania znacznie wcześniej, bo podobną akcję reżim Łukaszenki na krótko inicjował już w 2010 r.



MAREK BUDZISZ

Fot. DWOT

eprasa.pl 3d70f78a7e

Wówczas Unia Europejska ustąpiła, płacąc białoruskiemu reżimowi kilkadziesiąt milionów euro „na uszczelnienie" granicy, a tego rodzaju doświadczenia skłaniały jesienią 2021 r. wielu komentatorów do formułowania tezy, iż nowa faza kryzysu migracyjnego – tym razem o większej skali – miała wymusić zniesienie sankcji i uznanie władzy dyktatora. Sam Łukaszenka starał się wręcz wywołać tego rodzaju wrażenie, deklarując publicznie, że objęta restrykcjami Białoruś nie będzie marnotrawiła środków na chronienie Unii Europejskiej przed migrantami z krajów muzułmańskich.

Białoruscy pogranicznicy i KGB-owcy zaczęli przepychać uchodźców do Polski na większą skalę wkrótce po tym, jak tamtejsze służby specjalne zmusiły do lądowania w Mińsku samolot z Romanem Protasiewiczem, opozycyjnym dziennikarzem, który znajdował się na pokładzie. To też miało wskazywać, że kryzys migracyjny miał przykryć aferę z samolotem linii Ryanair i uprzedzić kolejne sankcje. Jednak późniejsza „kariera" Protasiewicza, który szybko przeszedł na służbę reżimu i zaczął publicznie występować w obronie władzy, wskazuje, że w tym przypadku mówienie o ujętym opozycjoniście nie ma sensu i mieliśmy raczej do czynienia z agentem realizującym wcześniej zaplanowaną operację. Jaki był jej cel? Na to pytanie nie znano wówczas odpowiedzi, ale dziś sprawy wydają się jaśniejsze.

WOJNA HYBRYDOWA

Jeszcze w 2015 r. w Centrum Doktryn i Szkolenia Sił Zbrojnych, ośrodku analitycznym naszej armii, opracowano teoretyczny model rosyjskiej agresji asymetrycznej, określanej potocznie mianem wojny hybrydowej. Był to z pewnością jeden z pierwszych na świecie – bo analogiczne prace na Zachodzie zaczęły pojawiać się dopiero cztery lata później – tak dokładny opis rosyjskich planów działania i niewykluczone, że dlatego, iż wiedzieliśmy, do czego mogą zmierzać Rosjanie i ich sojusznicy, zareagowaliśmy prawidłowo, umacniając jesienią 2021 r. naszą granicę. Gdybyśmy działali opieszale, nie wiedzieli, jakie zamiary przyświecają organizatorom operacji „Śluza" lub ulegli ckliwym wezwaniom ówczesnej opozycji, aby przyjmować „uchodźców", to moglibyśmy się znaleźć w pułapce.

Teoria wojny asymetrycznej przewiduje bowiem rozpoczęcie działań destabilizacyjnych, które poprzedzają agresję wojskową. Ich celem jest skłócenie zaatakowanego społeczeństwa, jego dezorientację, podważenie zaufania do władzy i ludzi w mundurach, którzy zaczynają być postrzegani nie jako obrońcy ojczyzny, ale raczej przedstawiciele aparatu represji.

Dziś nie wiemy, jakie były dalsze plany Rosjan i współpracujących z nimi Białorusinów, choć możemy je rekonstruować. Dziś raczej też nikt nie ma wątpliwości, że Mińsk ani nie decydował, ani nie realizował samodzielnie tego rodzaju działań. Pojawiło się zresztą wiele relacji – ostatnia na portalu The Insider, który opisał drogę kryjącego się za pseudonimem „M" uchodźcy z Iraku do Niemiec przez polsko-białoruską zieloną granicę. Mając rosyjską wizę, przyleciał on do Moskwy i został przewieziony do Mińska. Wiosną tego roku Rosja i Białoruś podpisały zresztą oficjalne dokumenty o wzajemnym uznawaniu swoich wiz, co zdaniem ekspertów może oznaczać już bezpośrednie przejęcie kontroli nad operacją „Śluza" przez Rosjan, którzy odpowiednio skorygowali obowiązujące prawodawstwo.

Wracając do ewentualnych planów Rosjan i Białorusinów – nie wydaje się karkołomną teza, iż inicjując kryzys migracyjny na granicy z Polską i Litwą, raczej przygotowywali się oni do wojny z Ukrainą, a nie walczyli o poluzowanie reżimu sankcyjnego. Już jesienią 2021 r. amerykański wywiad ostrzegał Zełenskiego i polityków z jego otoczenia, że konflikt zbrojny jest nieuchronny, a atak nastąpić może również z północy, z Białorusi. „Operacja specjalna" miała trwać maksymalnie do połowy maja, co potwierdzają zdobyte dokumenty, a jej gorąca, wojenna faza miała się skończyć się po kilkunastu dniach. To dlatego drugiego dnia wojny Putin zaapelował do ukraińskich wojskowych, aby ci obalili rząd i po wyłonieniu nowego rozpoczęli negocjacje kończące konflikt.

Gdyby te apele zakończyły się powodzeniem albo jedna z kilkudziesięciu rosyjskich grup dywersyjnych, które zlikwidowano w pierwszych dniach wojny w Kijowie, osiągnęła swój cel i „dopadła Zełenskiego", to jak wówczas wyglądałaby sytuacja na naszej wschodniej granicy? Zapytajmy w związku z tym, czemu miała służyć operacja „Śluza" i jak wpisywała się ona w ten scenariusz?

INTENCJE ROSJAN

Załóżmy, że ówczesny rząd Mateusza Morawieckiego nie reaguje jesienią 2021 r. na kryzys migracyjny wysłaniem wojska na granicę albo reaguje z opóźnieniem. Do Polski wlewa się fala migrantów, która z każdym dniem i tygodniem zaczyna narastać. Wystąpienia Łukaszenki, które kilka razy dziennie wyświetlane były wówczas w irackiej telewizji, zyskują wiarygodność, bo są potwierdzane relacjami tych, którym udało się przejść przez zieloną granicę do Polski i dostać do Niemiec.

Fala wzbiera i zimą sytuacja staje się krytyczna. Polskie społeczeństwo jest podzielone – niektórzy popierają politykę wpuszczania „uchodźców", inni są jej przeciwnikami. Rząd się chwieje, opozycja zyskuje popularność. W lutym, kilka miesięcy po rozpoczęciu operacji „Śluza", wybucha wojna na Ukrainie. Do dotychczasowej fali migrantów dołącza kolejna, tym razem liczona w milionach, grupa uchodźców z Ukrainy.

Jesienią 2021 r. nikt nie mógł przewidzieć, jak się zachowają Polacy i wiedzieć, że otworzą swe domy oraz serca dla uciekających przed wojną. „Racjonalni" analitycy z białoruskiego KGB i rosyjskiego FSB mogli raczej zakładać, że nasza reakcja będzie inna, zwłaszcza jeśli rząd zareagowałby z opóźnieniem na falę uchodźców z Białorusi i dopiero po kilkunastu tygodniach zaczął wzmacniać ochronę granicy. Fale migrantów nałożyłyby się wówczas na siebie, a skłócone i podzielone społeczeństwo mogłoby się zachować zupełnie inaczej.

Jeśli do ogólnej destabilizacji pierwszych dni wojny, z którym mierzyłoby się państwo ukraińskie, doszedłby gigantyczny kryzys migracyjny na za-

eprasa.pl 3d70f78a7e

chodniej granicy z Polską – bo miliony kobiet i dzieci nie mogłyby się przedrzeć przez kordon – to jak wpłynęłoby to na sytuację i odporność ekipy Zełenskiego?

Gen. Wałerij Załużny, dowodzący siłami zbrojnymi Ukrainy, wspominał pod koniec 2022 r., że dopiero po czterech, pięciu dniach zyskał pewność, że uda się obronić Kijów – wcześniej nic nie było pewne. Eksperci brytyjskiego think tanku strategicznego RUSI oceniali w jednym ze swych raportów, że na kierunku kijowskim Rosjanom udało się uzyskać 12-krotną przewagę nad broniącymi się Ukraińcami i tylko kwestią szczęścia było to, że nie zdobyli zagrożonej stolicy.

Kiedy w styczniu byłem w Buczy, moi ukraińscy rozmówcy mówili mi, że w tej podkijowskiej miejscowości już kilka miesięcy przed wojną zaczęła rosnąć liczba przybyszów, nowych mieszkańców, którzy zaczęli kupować i wynajmować mieszkania, a szczególnie gustowali w lokalach zlokalizowanych na wyższych kondygnacjach wieżowców. Potem, w czasie wojny, okazało się, że tworzono w ten sposób punkty obserwacyjne, cały system naprowadzania rosyjskich uderzeń z powietrza, śledzenia ruchu wojska i kanałów zaopatrzenia. Jeśli przygotowania do wojny obejmowały tego rodzaju działania, to dlaczego zakładamy, że operacja „Śluza", poprzedzająca rosyjską agresję o kilka miesięcy, nie była z nią związana?

Posuńmy się w tych spekulacjach dalej. Kijów pada, Zełenski przyjmuje od Amerykanów ofertę ewakuacji albo podpisuje parafowane porozumienia z Istambułu i w efekcie Ukraina staje się państwem neutralnym, w dużej mierze rozbrojonym oraz realizującym politykę „denazyfikacji", czyli narzuconą im przez Rosjan zmianę rządu na bardziej przychylny Moskwie. Mamy maj, może czerwiec 2022 r. i Rosjanie połykają politycznie Ukrainę, a ich armia nie jest zdziesiątkowana kilkuletnią wojną. Co więcej – jest niesiona kolejnym – po Gruzji i Krymie – sukcesem. Rząd w Kijowie, jak Łukaszenka uzależniony od Moskwy, nie musi się czynnie angażować w kolejne rosyjskie działania – wystarczy jak zabezpieczy Moskalom tyły. Kiedy w 2023 r. byłem na Uniwersytecie Ben Guriona w Tel Awiwie i rozmawiałem tam z ekspertami think tanku, który został powołany przez izraelskie lotnictwo, moi rozmówcy pokazywali mi analizy wszystkich uderzeń rakietowych, które Rosjanie przeprowadzili pierwszego dnia agresji. Raport w tej sprawie został zresztą opublikowany, ale pamiętam zdziwienie izraelskich oficerów, zastanawiających się, dlaczego te ataki były tak niecelne, mało skuteczne. Wydawało się to wręcz nieprawdopodobne, bo przecież Rosjanie, zwłaszcza w przypadku pierwszej salwy, mieli czas, aby prawidłowo wycelować.

> Jeszcze w 2015 r. w ośrodku analitycznym naszej armii opracowano teoretyczny model rosyjskiej wojny hybrydowej. Niewykluczone, że dlatego, iż wiedzieliśmy, do czego mogą zmierzać Rosjanie, zareagowaliśmy prawidłowo, umacniając jesienią 2021 r. naszą granicę

Moi rozmówcy skłaniali się wówczas do hipotezy, iż chodziło raczej o demonstrację, a nie zniszczenie potencjału ukraińskiego lotnictwa i infrastruktury. Oceniając te działania z dzisiejszej perspektywy, wydają się one bez sensu, ale w scenariuszu „krótkiej wojny", która winna się zakończyć po maksymalnie kilku tygodniach politycznymi zmianami w Kijowie, to właśnie intensywne bombardowanie ukraińskich lotnisk, które niedługo mogłyby się okazać przydatne, byłoby działaniem pozbawionym sensu.

RELACJA POGRANICZNIKA

Kijów jednak nie padł, Zełenski nie oddał władzy, operacja „Śluza" nie sparaliżowała rządu Morawieckiego i nie skłóciła Polaków. Po naszej stronie obnażyła jedynie bezmiar naiwności celebrytów i aktorów oraz cynizm ówczesnej opozycji. Zmieniły się też priorytety naszych rywali. Dopiero kiedy okazało się, że Ukraina jest w stanie kontynuować walkę, a Polacy zachowali się prawidłowo, sztucznie wywołany kryzy migracyjny zaczął służyć innym celom, w tym zabiegom o zniesienie czy choćby ograniczenie sankcji. Nie zmieniło się jedno – strumieniami „uchodźców" po białoruskiej stronie nadal kierują tamtejsze służby specjalne.

Portal The Insider opublikował długą relację białoruskiego pogranicznika, który trafił na granicę z Litwą. Opisuje on, jak dowożono tam migrantów, jak wszystkim sterowali „nadzorcy" z KGB i oficerowie powołujący się na „rozkazy z góry" oraz jak musieli uczyć się instrukcji przewidujących również otwarcie ognia. Mówi też o tym, że on i jego koledzy mieli wątpliwości i rozmawiali z dowódcami. „Kilka razy podchodziliśmy do dowódcy jednostki – opowiada – i mówiliśmy: »Szefie, łamiemy wszystkie zasady – cały podręcznik, wszystkie 300 stron, których nas uczono. [...] Po co to wszystko?«. Dowódca po prostu wskazywał palcem w górę, że decyzja została podjęta właśnie tam".

Białoruski pogranicznik mówi też dziennikarzom, że mimo wątpliwości „nie chciał wzniecać buntu", który zresztą byłby zapewne nieskuteczny, bo jego służba na granicy sprowadzała się do kilkudniowych dyżurów, w których uczestniczyli nieznani mu żołnierze z innych jednostek. Wszystkiego pilnowali oficerowie i KGB-owcy, którzy zresztą już na koniec służby zabronili odchodzącym do cywila żołnierzom mówić i pisać o czymkolwiek, bo „i tak was znajdziemy".

Z relacji białoruskiego pogranicznika wyłania się obraz operacji „Śluza" realizowanej przez reżim w Mińsku, której towarzyszy bezmiar ludzkich tragedii. Polscy celebryci, widząc tylko te ostatnie, a nie dostrzegając intencji organizatorów, zapewne z nienawiści do PiS, zaczęli grać w orkiestrze Kremla. Czy ich postawa była motywowana bezmyślnością, czy cynizmem – w tym momencie nie ma to większego znaczenia.

eprasa.pl 3d70f78a7e



Współpraca z PiS jest możliwa

Polska 2050 na pewno się nie kończy, nie będzie niczyją przystawką, a może wewnątrzpartyjne wybory, które mamy w listopadzie, będą początkiem czegoś nowego

Z Kamilem Wnukiem, posłem Polski 2050 Szymona Hołowni, rozmawia Dorota Łosiewicz

Sondaże nie są ostatnio łaskawe dla Polski 2050. We wszystkich jesteście głęboko pod progiem, a w jednym z ostatnich cieszycie się poparciem na poziomie 1 proc. Odbijecie się?

Kamil Wnuk: Skoro jest tak źle, to może być tylko lepiej. Jednak jeśli chodzi o sondaże, to nie przywiązuję do nich większej wagi. Gdyby zawsze się sprawdzały, to nie byłbym posłem, a wcześniej nie zostałbym samorządowcem. Gdy startowałem z lokalnego komitetu, to we wszystkich sondażach był on trzeci w kolejności do wprowadzenia radnych do rady miasta. Tymczasem dwa, które prowadziły, nie wprowadziły żadnych radnych, a mój komitet wprowadził czterech. W 2023 r. ani jeden sondaż nie dawał Trzeciej Drodze mandatu w moim okręgu – miał on przypaść Konfederacji. Ostatecznie nie zdobyła ona mandatu, a ja tak i zostałem posłem. Sondaże to po prostu narzędzie wpływania na opinię publiczną.

Pewnie trochę tak, ale w jakiejś części są też chyba odzwierciedleniem preferencji wyborczych.

Tak powinno być. Częściej jednak służą manipulacji. W bieżących sondażach poparcie dla mojej partii oscyluje pomiędzy 1 a 5 proc. To jest jednak duży rozrzut: 1 czy 5?

Wciąż pod progiem.

No dobrze, przyznaję, poparcie nie jest satysfakcjonujące. Musimy zrobić wszystko, żeby to zmienić.

Jak chcecie to zrobić?

Ciężką pracą dla Polski. Ja np. unikam ostrych sporów politycznych, bo in-

Fot. Kamil Wnuk/Facebook

eprasa.pl 3d70f78a7e

teresuje mnie merytoryczna praca. Zachęcam koleżanki i kolegów do pracy, np. przygotowywania inicjatyw ustawodawczych, zamiast brania udziału w awanturach. Polska 2050 składa obecnie najwięcej poselskich inicjatyw ustawodawczych. Osobiście koncentruję się na tematach mieszkaniowych. Przygotowaliśmy projekt dotyczący pseudometrów. Chodzi o to, żeby to powierzchnia użytkowa decydowała o cenie za metr kwadratowy. Teoretycznie tak powinno być, ponieważ obowiązuje norma polska, a jednak deweloperzy wmyślają różne definicje powierzchni, np. netto, i przez to wliczają ścianki działowe do metrażu. W Warszawie trzy dodatkowe metry na mieszkaniu to ok. 50 tys. zł więcej za całość. A jak jeszcze przeliczymy to na liczbę mieszkań, zobaczymy, jak deweloperzy zyskują na takich praktykach.

Być może ktoś musi pracować, żeby ktoś inny mógł się kłócić. Pozostańmy jednak jeszcze na chwilę przy kondycji Polski 2050. Ostatnio opuścił ją Jacek Bury, były senator, szef lubelskich struktur. Stwierdził, że partia zbyt daleko odeszła od bliskich mu wartości oraz że odradzał koalicję z KO. Przyznał, że spodziewał się, iż możecie zostać pożarci przez większego koalicjanta. Zostaliście już skonsumowani?

Nie zostaliśmy, a jak ktoś zechce nas połknąć, to nabawi się niestrawności. Ja czy minister Gramatyka jesteśmy dość obszerni, więc nie będzie z nami lekko. A mówiąc serio: bardzo szanuję Jacka Burego, pierwszego i jedynego senatora Polski 2050, który w poprzedniej kadencji przyszedł do nas z Koalicji Obywatelskiej. Prywatnie utrzymuję z nim dobre relacje. Jednak on zrezygnował z polityki krajowej, nie chciał ponownie startować ze względów osobistych, jest przedsiębiorcą i działaczem lokalnym. Zupełnie przestał się angażować w krajową politykę.

Ale są tacy, którzy się angażują i także opuszczają Polskę 2050, np. Izabela Bodnar czy Tomasz Zimoch. Coraz więcej osób traci wiarę w ten projekt.

Jestem tak wychowany, żeby o innych mówić albo dobrze, albo wcale. Może więc odpowiem najgrzeczniej, jak się da. Gdy wchodzi się w jakiś projekt, startuje się z jakiejś listy, to warto dotrzymywać zobowiązań. W życiu ważna jest lojalność i uczciwość. Wobec współpracowników i wyborców, wobec ludzi, z którymi się na coś umówiliśmy. Startując w 2023 r. z list Trzeciej Drogi, umówiłem się na coś z Szymonem Hołownią, z kolegami z partii, z wyborcami. Jestem tu po to, żeby realizować program i pracować dla kraju. Okazało się, że dla części moich kolegów ważniejsze było poparcie w wyborach prezydenckich kandydata innej partii niż własna, a nie walka o to, na co umawialiśmy się w 2023 r. To ich wybór i droga. Ocenią to wyborcy.

A co się wydarzy w Polsce 2050 w listopadzie? Ryszard Petru twierdzi, że gdy Szymon Hołownia przestanie być marszałkiem Sejmu, zmieni się także przywództwo w partii.

Tego nie można wykluczyć, a to dlatego, że w listopadzie mamy wybory wewnątrzpartyjne. Najpierw odbędą się elekcje w regionach, później w województwach, a na początku przyszłego roku wybory na szefa partii. Po prostu kończy się kadencja władz. Zmiana jest możliwa, ale dzisiaj szefem naszej partii i niekwestionowanym liderem pozostaje Szymon Hołownia. Nasza partia na pewno się nie kończy, nie będzie niczyją przystawką, a może wybory będą początkiem czegoś nowego.

Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz może zostać szefową?

Polityka jest grą zespołową. Zdecyduje nowo wybrana Rada Krajowa i nowy zarząd. Minister Pełczyńska-Nałęcz jest dziś pierwszym zastępcą Szymona Hołowni, ma więc realne szanse. W tym momencie nie ma decyzji, że będzie chciała startować. Mam przyjemność często współpracować z panią minister i to jest bardzo dobra, merytoryczna współpraca. Wspólnie napisaliśmy wiele projektów ustaw dotyczących spraw mieszkaniowych. Cenię ją za ogromne kompetencje i pracowitość, nawet politycy opozycji ją doceniają i pozytywnie oceniają jej pracę na tle rządu.

Co więc z przyszłością Szymona Hołowni? Niełatwo będzie budować polityczną pozycję, nie będąc marszałkiem, nie mówiąc już o utracie kierownictwa w partii.

Muszę wrócić do kampanii. Chcę powiedzieć, że mam pretensję do wielu mediów (nie do tych, które pani reprezentuje) za kampanię, która była wybitnie nie fair play, z chwytami poniżej pasa wobec dwóch głównych kandydatów. W kampanii mocno też oberwał Szymon Hołownia. A jeszcze mocniej dostał po kampanii, gdy zapowiedział zwołanie Zgromadzenia Narodowego, czyli zachował się tak, jak nakazuje mu konstytucja. Za zachowanie zgodne z prawem spotkał go niewyobrażalny hejt. W tym też upatruję sondażowych problemów Polski 2050.

Może ten hejt spotkał go dlatego, że w kampanii ostro atakował rząd, Rafała Trzaskowskiego, a po wyborach nie spełnił oczekiwań środowiska KO, nie storpedował wyborów i powiedział o próbie zamachu stanu? Tak działają liberalne i lewicowe media oraz politycy. Nie grasz z nimi, to grasz przeciwko nim.

Często jesteśmy atakowani za to, że pozostajemy przystawkami Tuska i wsparliśmy rząd. Ale jak przeanalizujemy zachowanie marszałka Hołowni czy prace naszych posłów, to okaże się, że jesteśmy obiektywni i pragmatyczni w naszych działaniach. Jeśli zgadzamy się z projektem rządowym, to go popieramy. W sytuacji, o której mówimy, Szymon Hołownia nie tyle powiedział „nie" pomysłowi, z którym się nie zgadzał, ile po prostu wybrał drogę konstytucji, prawa i prawdy. To spotkało się z wściekłym atakiem Romana Giertycha i jego środowiska czy pseudodziennikarzy, do których miałem kiedyś ogromny szacunek, a dziś widzę chorych z nienawiści publicystów, nakręcających negatywnie opinię publiczną. A Szymon Hołownia stara się łączyć, a nie dzielić. Współpracuje ze skłóconymi środowiskami. Potrzebujemy takich ludzi w polityce. Marszałek sam zdecyduje o swojej przyszłości politycznej. To bardzo mądry człowiek. Nie powiedział jeszcze ostatniego słowa w polityce. Ma wielką wiedzę, talent oratorski, zbudował wspaniałe relacje międzynarodowe.

Może zmienicie nazwę, jak planuje to KO?

eprasa.pl 3d70f78a7e

Nie planujemy zmieniać nazwy partii. Może w 2049 r. Z pewnością przemyślimy sposób komunikacji i działania. Mamy kolejne inicjatywy legislacyjne. Mamy swoje zdanie, pomysły, które realizujemy, i to skutecznie. Musimy pokazać opinii publicznej sprawczość w działaniu. Mówi pani o zmianie nazwy Koalicji Obywatelskiej. Pytanie, czy oni potrzebują zmiany nazwy, czy zmiany lidera i kto miałby nim zostać.

Może Radosław Sikorski? Ryszard Petru jest przekonany, że wkrótce to minister spraw zagranicznych będzie premierem.

Na pewno obok Donalda Tuska najpopularniejszymi politykami PO są Rafał Trzaskowski i Radosław Sikorski. Ten pierwszy mocno zawiódł swój elektorat w kwestii uchwały prohibicyjnej, a ten drugi nie ma tak mocnego poparcia w partii, o czym świadczy słaby wynik w prawyborach. Może świetnie się odnajduje na forum ONZ, ale gorzej we własnej partii. Czy uzyska poparcie całego ugrupowania, by zostać premierem?

Nawiązał pan do awantury w Radzie Warszawy o prohibicję, gdzie Rafał Trzaskowski przegrał z ludźmi Marcina Kierwińskiego. Chodziło o to, żeby pokazać prezydentowi stolicy miejsce w partii po porażce wyborczej?

Rozgrywki wewnątrz struktur to jedno, a wystawienie do wiatru własnych wyborców to drugie. Warszawiacy chcieli ograniczenia sprzedaży alkoholu w godzinach nocnych, a radni zagłosowali przeciwko nim. Ofiarą awantury o prohibicję był także Jacek Wiśnicki, wiceprezydent Warszawy z Polski 2050, który pilotował ten projekt i wolał ustąpić niż przyglądać się deptaniu woli wyborców. Co się zaś tyczy porażki Rafała Trzaskowskiego – dla jego środowiska była ona szokiem. Trzaskowski był pewniakiem, i to większym niż Bronisław Komorowski w 2015 r., a przegrał z nieznanym szerzej prezesem IPN. Trudno się więc dziwić, że nie wszyscy otrząsnęli się po porażce.

Pomóc w otrząśnięciu się miała rekonstrukcja rządu. Tymczasem inny polityk pana partii, Michał Kobosko, mówi, że to rekonstrukcja pełzająca, niewiele dała i okazała się mokrym kapiszonem. Jak pan ją ocenia?

Idea była słuszna, ale za długo to trwało i nie została ona zrealizowana do końca. Pojawiło się dwóch młodych ministrów: Miłosz Motyka i Marta Cienkowska. To był pomysł dobry wizerunkowo, zabrakło jednak konkretnych, kompleksowych działań. My mocno weszliśmy w rekonstrukcję, dotrzymaliśmy słowa, niektórzy nasi wiceministrowie sami zrezygnowali, żeby odchudzić rząd. Ale odchudzanie rządu nie zostało dokończone i może w najbliższym czasie będzie finał. To jednak trwa za długo. Gdyby wszystko zostało zrobione za jednym zamachem, efekt byłby lepszy dla koalicji.

> Zależy nam na dobrych relacjach z prezydentem i na współpracy, bo to od głowy państwa zależy, jakie przepisy wejdą w życie. Ciągły konflikt do niczego nas nie doprowadzi

Dzieje się na scenie politycznej. KO chce zmieniać nazwę, powstają też nowe ugrupowania, jak Nowa Polska z Wadimem Tyszkiewiczem na czele. To nowa odmiana Trzeciej Drogi, czyli powyborczej kroplówki dla PO?

Bardzo lubię senatora Tyszkiewicza, ale ciężko zliczyć na palcach wszystkie inicjatywy, za którymi stał. Jednym z jego uczniów był Łukasz Mejza, który dziś jest posłem PiS. Wcześniej senatorowie zaangażowali się w samorządowy ruch Tak dla Polski i chcieli na tym budować jakąś organizację. Teraz słyszymy o nowym pomyśle – Nowej Polsce. Może z powodu dwukadencyjności samorządowcy będą chcieli startować do Sejmu i potrzebują takiego ugrupowania. Jeśli to będzie zdrowa rywalizacja, chętnie wejdę z nimi w polemikę.

Mamy też Zryw Sikorskiego. To ma go wzmocnić?

Każda inicjatywa, w którą angażują się młodzi ludzie, jest dobra. Jeśli chcą się spotykać i zrobić Zryw, by w Polsce było lepiej, by polityka była lepsza, niech to robią. Czy będzie z tego partia polityczna? Nie wiem.

To Trzecia Droga miała zmieniać polską politykę, tymczasem to polityka zmienia was.

My robimy swoje. Jedyną drogą, jaką znam, by osiągnąć sukces w polityce, to ciężka praca, realizacja programu i obietnic. Ja to robię i nawet jeśli nie wszystko wyszło, to udało się dużo i jeszcze się uda. I to w różnych konfiguracjach. Na przykład w sprawie TBS rząd miał inne zdanie niż moja partia, poprosiliśmy więc opozycję o wsparcie i udało się. Zapisy, takie jak możliwość dojścia do własności w miejscowościach poniżej 100 tys. mieszkańców, czyli moja poprawka, przeszła głosami PiS i Konfederacji, a przeciw głosował rząd. Nie wszystko więc, co dobre dla Polaków, musi przechodzić głosami koalicji rządzącej. Zależy nam też na dobrych relacjach z prezydentem i na współpracy, bo to od głowy państwa zależy, jakie przepisy wejdą w życie. Jestem zwolennikiem rozmawiania z prezydentem i przekonywania go do dobrych pomysłów, ciągły konflikt do niczego nas nie zaprowadzi.

Widzi pan możliwość współpracy z PiS po wyborach, o ile przekroczycie próg wyborczy?

W 2023 r. startowaliśmy przeciwko rządowi Mateusza Morawickiego. Jednak będąc w Sejmie, widzę, że jest wiele kwestii, co do których można się porozumieć. Łatwiej się dogadać w kuluarach niż na sali plenarnej. Jest szerokie pole do współpracy. Są sprawy, w których się zupełnie nie zgadzamy – to np. kwestie światopoglądowe. Jeśli chodzi o gospodarkę, politykę zdrowotną, bezpieczeństwo – wiele nas łączy. A to kluczowe kwestie dla Polaków. Wszedłem do polityki, żeby zmieniać Polskę na lepsze. By to osiągnąć, jestem gotowy rozmawiać z każdym, byle mieć wpływ na rzeczywistość.

eprasa.pl 3d70f78a7e

Oddam Polskę w obce ręce



PIOTR FILIPCZYK

11 listopada ma rozpocząć działalność Park Narodowy Doliny Dolnej Odry. Jeśli do tego dojdzie, w dniu polskiego narodowego święta korki od szampana wystrzelą też w Berlinie

„Przepiękna Odra, mnóstwo cieków wodnych, mokradła, torfowiska. Do tego ptaki, rośliny, ludzie. Wszyscy skorzystają na tym, że to właśnie tu powstanie Park Narodowy Doliny Dolnej Odry" – mówi w reklamówce sztandarowego „zielonego" projektu rządu Donalda Tuska minister klimatu i środowiska Paulina Hennig-Kloska.

„Decyzja o utworzeniu Parku Narodowego Dolnej Odry uderzy przede wszystkim w takie miejsca jak to, Gryfino, które może się rozwijać jako port rzeczny, jako centrum logistyczne

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 3d70f78a7e

rozwijające port Szczecin-Świnoujście. To decyzja, którą dzisiaj Tusk próbuje przeforsować rękami minister Hennig-Kloski, która dąży do zablokowani żeglugi, rozwoju Odry. Co ma powstać w takich miejscach? Centra edukacyjne służące tworzeniu ekologów, pseudoekologów, a może ekoterrorystów, którzy opłacani zza zachodniej granicy, będą blokowali inwestycje prorozwojowe, a przede wszystkim żeglugowe. Odra stanie się martwą rzeką" – to z kolei wypowiedź posła PiS z Pomorza Zachodniego, byłego ministra odpowiedzialnego za gospodarkę morską i rzeczną Marka Gróbarczyka.

DWIE WIZJE, JEDEN DŁUG

W tym dwugłosie zderzają się dwie wizje tego, czym powinien być region leżący na polsko-niemieckim pograniczu. Wizja „pisowska" zakładała rozwijanie żeglowności Odry, regulację rzeki, rekultywację terenu. Była i jest opisywana w kategoriach budowania potencjału państwa. W przekazach dominują takie słowa, jak „szansa", „gospodarka", „rozwój", „zyski". No i „Polska".

Wizja obecnej władzy zakłada utrzymanie rzekomo nietkniętego ludzką ręką obszaru dla następnych pokoleń. Sukcesem i przełomem ma być to, że Park Narodowy Doliny Dolnej Odry będzie „pierwszym nowym parkiem narodowym od 24 lat". Podkreślany jest fakt, iż 3,8 tys. ha podeń przeznaczonych to teren piękny i dziki, kraina, w której „przyroda rządzi się własnymi prawami".

Nieprzypadkowa jest kolejność, w jakiej Paulina Hennig-Kloska wymienia beneficjentów rządowego planu: najpierw ptaki, potem rośliny, na końcu ludzie. Przede wszystkim – czego oczywiście pani minister nie mówi – Niemcy. Bo pod powierzchnią rywalizacji odmiennych rozwojowych wizji i wrażliwości toczy się gra o to, czy Polacy mają prawo robić u siebie to, co jest dla nich dobre. I niekończąca się dyskusja, czy rząd Donalda Tuska nie spłaca przypadkiem – monetami polskiego interesu narodowego – jakichś długów zaciągniętych w Berlinie.

A te są poważne. Od dosłownych (przypomnijmy ujawnioną przez Pawła Piskorskiego sprawę przekazywania przez CDU pieniędzy Kongresowi Liberalno-Demokratycznemu Donalda Tuska czy 1,5 mld zł wydanych na „projekty łączące Polaków i Niemców" przez założoną przez Jana Krzysztofa Bieleckiego i Helmuta Kohla Fundację Współpracy Polsko-Niemieckiej) po mentalne i polityczne.

Pieniądze płynęły i płyną z Zachodu na Wschód szerokim strumieniem, a oficjalny cel był jeden – „budowanie przyjaznych relacji polsko-niemieckich". Dla obu stron oznaczało to jednak co innego.

PRZYJAŹŃ BEZ WZAJEMNOŚCI

Dla polityków obozu lewicowo-liberalnego poprawne relacje polsko-niemieckie stały się azymutem. Zarówno za czasów pierwszych rządów Tuska, jak i po wyborach w 2023 r. Czasem ta orientacja na naszego zachodniego sąsiada przybierała dość żenującą formę, jak w przypadku osławionego „hołdu berlińskiego" Radka Sikorskiego, który zaapelował o większe zaangażowanie Niemiec w budowę Europy i poprosił o światłe przywództwo Berlina.

Tego typu akty strzeliste, choć szkodliwe z punktu widzenia dyplomacji, bo stawiające Polskę w roli petenta, „brzydkiej panny na wydaniu", można by było jeszcze przełknąć i z niesmakiem przeczekać, gdyby nie szło za nimi kompletne poddaństwo w sferze politycznej i gospodarczej. A to niestety niesie za sobą dalekosiężne skutki, bo osłabia nas ekonomiczne, prowadzi do uzależnienia od bogatszego sąsiada i uderza w nasze bezpieczeństwo.

Grzechem założycielskim III RP i skutkiem działalności organizacji, takich jak wspomniana Fundacja Współpracy Polsko-Niemieckiej, jest przekonanie części naszego społeczeństwa, że Niemcom zależy na budowie bogatej, silnej i demokratycznej Europy, gdzie bogactwo i dostatek będzie udziałem wszystkich zjednoczonych państw. Przede wszystkim bowiem zależy im – tak jak każdemu innemu państwu – na własnym dobrobycie, rozwoju i potędze. Ta zaś – w jakimś przynajmniej stopniu – uzależniona jest od słabości Polski. Berlin nie chce mieć w Warszawie silnego sojusznika i partnera, z którym przyszłoby mu prowadzić często trudne negocjacje, a powolnego klienta, nabywcę niemieckich towarów, rezerwuar siły roboczej, miejsce, do którego można wysłać niebezpieczne śmieci z fabryk czy niechcianych migrantów.

Mamy też być leśną ostoją, skansenem, do którego można przyjechać i wypocząć, np. gdy się jest bogatym niemieckim emerytem. Niemcy próbują sabotować działalność Lasów Państwowych, wymuszając na nas certyfikaty FSC, których sami nie posiadają – tam w większości obowiązują dużo łagodniejsze certyfikaty PEFC, o czym możemy się dowiedzieć, śledząc choćby opakowania produktów z Rossmana. Solą w oku są też porty w Gdańsku i Gdyni, terminal przeładunkowy w Małaszewiczach, jakże pięknie przyblokowany obecnie ze względu na napięte relacje z Białorusią, elektrownia w Turowie, czy last but not least CPK. Przypomnijmy, że podczas protestów przeciwko budowie tego ostatniego też używano argumentów o ochronie przyrody.

W skrócie: mamy nic nie robić, a jeśli już coś robimy, konsultować to z Berlinem (przypomnijcie sobie państwo wezwania do „wspólnych ustaleń" dobiegające z Niemiec po ogłoszeniu przez Donalda Tuska, że odkryliśmy nowe, podobno wielkie złoża ropy i gazu na Bałtyku) oraz być wdzięczni, że nasi „przyjaciele" chcą zostawiać w Polsce swoje pieniądze.

DOBRE RADY Z BERLINA

Oczywiście Niemcy od zawsze kibicowali projektowi nowego polskiego parku narodowego. Dla ich narracji charakterystyczne jest stanowisko Nationalpark Unteres Odertal (niemiecki Park Narodowy Dolnej Odry) z 2021 r., opublikowane w reakcji na doniesienia polskich mediów, iż rząd PiS chce sięgnąć po fundusze unijne, by zrekultywować Międzyodrze.

Najpierw dostaliśmy od Niemców rys historyczny.

„Obszar ten, znany po stronie niemieckiej jako Polder Schillersdorf i Gartz, został przed 100 laty uregulowany i obwałowany przez państwo pruskie przy współudziale holenderskich specjalistów, a następnie użytkowany

eprasa.pl 3d70f78a7e

rolniczo (podobnie jak dziś Polder Fiddichow – Polder nr 10). Po II wojnie światowej, kiedy tereny te znalazły się po polskiej stronie Odry i Nysy, obszar o powierzchni ok. 6 tys. ha w dużej mierze leżał odłogiem. Urządzenia hydrotechniczne nie zostały ponownie uruchomione, a woda mogła wpływać i odpływać zależnie od poziomu Odry. Wytworzyła się wtórna dzika przyroda – na tyle cenna, że województwo polskie objęło ten teren ochroną jako park krajobrazowy" – czytamy w oświadczeniu władz niemieckiego parku.

Potem opis bulwersujących planów polskich nacjonalistów, którzy mają przecież co jeść, a jedyne, na czym im w związku z rekultywacją zależy, to dopłaty unijne do ziemi rolniczej.

„Polski rząd planuje teraz ponownie przeznaczyć obszar do użytku rolniczego, wzmocnić wały i odbudować 33 budowle regulujące przepływ wody. Przeznaczono na to 80 mln zł (ok. 17,5 mln euro). Tłem tego projektu jest najpewniej chęć pozyskania dopłat unijnych do gruntów rolnych, jeśli tereny te ponownie zostaną włączone do użytkowania. Polska nie ma bowiem problemu z niedoborem ziemi uprawnej do wyżywienia swojej ludności".

Następnie: dobre rady, tak chętnie udzielane nam przez Niemców.

„Bardziej sensowne byłoby pozostawienie tego obszaru dalszemu naturalnemu rozwojowi bez wielkich inwestycji i wykorzystywanie unikatowych mokradeł – niezwykle ważnych dla ochrony klimatu – w sposób ekstensywny. Można by np. utworzyć szlak turystyczny wokół Międzyodrza na dawnych wałach, dostępny dla rowerzystów i pieszych, z którego dałoby się obserwować przyrodę" – zaznaczały władze Nationalpark Unteres Odertal.

Są też dowody uznania dla wspierającej dziś plany rządu Tuska organizacji Stowarzyszenie Przyjaciół Niemiecko-Polskiego Europejskiego Parku Narodowego Dolina Dolnej Odry (Nationalparkverein).

Organizacja ta, „będąca aktywnym członkiem związku niemal wszystkich największych organizacji ochrony przyrody, sprzeciwia się planowanej rozbudowie Odry, wskazując zarówno na argumenty ekonomiczne, jak i ekologiczne". Nationalparkverein „uważa przedsięwzięcie za nieracjonalne gospodarczo i katastrofalne ekologicznie". A skoro „strona społeczna" tak sądzi, to trudno z nią polemizować.

„To właśnie stowarzyszenie jako pierwsze odkryło potajemnie przygotowywane plany rozbudowy Odry, ujawniło je publicznie i zwróciło się listownie do Banku Światowego i rządu federalnego Niemiec, zdobywając posłuch jako głos rozsądku. Za swoje najważniejsze zadanie uznaje nadal ochronę i rozwój resztek wtórnej dzikiej przyrody oraz ich udostępnienie ludziom – zarówno mieszkańcom, jak i odwiedzającym" – podkreślają Niemcy.

> Mamy być leśną ostoją, skansenem, do którego można przyjechać i wypocząć, np. gdy jest się bogatym niemieckim emerytem

Nationalpark Unteres Odertal dziś już nie ma o nic pretensji do Polski. Władze parku w pełni popierają plany rządu Donalda Tuska. Powołują się przy tym na dziedzictwo enerdowskiego biologa i ekologa Michaela Succowa, który wraz ze swoimi współpracownikami nakreślił wizję doliny dolnej Odry z obszarami ochronnymi po obu stronach granicy.

„Marzyli o wspólnej, mieszanej administracji całego parku, w której pracowaliby Polacy i Niemcy. Ich wizją był prawdziwie europejski park narodowy, który urzeczywistniłby ideę zjednoczonej Europy" – stwierdził w jednym z wywiadów dyrektor niemieckiego parku Dirk Treichel.

REZERWAT

25 września sejmowa Komisja Ochrony Środowiska, Zasobów Naturalnych i Leśnictwa rozpatrzyła rządowy projekt ustawy o utworzeniu Parku Narodowego Doliny Dolnej Odry z siedzibą w Gryfinie. Zgodnie z jego uzasadnieniem park tworzy się w celu „zachowania różnorodności biologicznej, zasobów, tworów i składników przyrody nieożywionej oraz walorów krajobrazowych oraz przywrócenia właściwego stanu zasobów i składników przyrody". Granice chronionego obszaru zostały uzgodnione z radą miasta Szczecin, radą gminy Widuchowa i Kołbaskowo, radą powiatu polickiego i gryfińskiego oraz z sejmikiem województwa zachodniopomorskiego (wszystkie zdominowane przez PO i sympatyzujące z nią lokalne komitety). Ich szczegółowy przebieg zostanie określony w rozporządzeniu Rady Ministrów. Park będzie udostępniany m.in. dla celów turystycznych, rekreacyjnych oraz edukacyjnych. Na jego terenie będzie także możliwe – pod pewnymi warunkami – wędkarstwo. I nic więcej.

Odrzański projekt znalazł się na nowej (której to już?) liście „priorytetów rządu". Aby podkreślić znaczenie utworzenia parku, Komisja Ochrony Środowiska, Zasobów Naturalnych i Leśnictwa zaproponowała, by datę jego formalnego utworzenia wyznaczyć na 11 listopada. Paulina Hennig-Kloska i jej zastępca Mikołaj Dorożała paradowali zaś w Sejmie z okularami VR (umożliwiają użytkownikom doświadczenie wirtualnej rzeczywistości za pomocą smartfona), dzięki którym każdy może zobaczyć, jak piękna i dzika jest dolna Odra.

Wszystko wskazuje na to, że Park Narodowy Doliny Dolnej Odry będzie na razie właśnie takim czysto wirtualnym bytem. Nikt przy zdrowych zmysłach nie może przecież zakładać, że prezydent Karol Nawrocki podpisze ustawę Hennig-Kloski. Z całą pewnością jednak nie zakończy to walki.

Czerwcowe zwycięstwo Nawrockiego pokazało wszak obecnej ekipie, że należy się spieszyć, by kolanem dopchnąć to, czego oczekują berlińscy sojusznicy. Nie licząc się z konsekwencjami. „Po nas choćby potop" – zdaje się wybrzmiewać w rządowych gmachach. Te fale już się zresztą piętrzą. I to nie tylko na Odrze.

eprasa.pl 3d70f78a7e



Strzelanina na morzu

epresa.pl 30.07.2025



Jakakolwiek wspólna europejska polityka ochrony przed zalewem migrantów dziś jest już nie tylko politycznie niemożliwa, lecz także nawet intelektualnie trudna do wyobrażenia



JAN ROKITA

U nas ostatnio osłabł trochę entuzjazm do obrony granic przed „niemieckim agresorem" (by przywołać słynny sejmowy meldunek lidera Ruchu Obrony Granic), choć nie ustało odsyłanie do Polski nielegalnych migrantów, którzy idąc do Niemiec, przeszli wcześniej przez nasz kraj. No cóż, żaden spektakl nie może przecież trwać bez końca.

Z kolei premier Donald Tusk, jak bez celu najpierw zamknął granicę na wschodzie, tak ostatnio również bez celu ją otworzył. Od zamknięcia dla międzynarodowego handlu polsko-białoruskich przejść granicznych niczyje bezpieczeństwo u nas się nie polepszyło, a za ich ponowne otwarcie Polska od nikogo nie otrzymała (ani od Chin, ani od Białorusi) nawet najmniejszych koncesji. Marną pociechą może być to, że w całej demokratycznej Europie kwestia granic dawno przestała być przedmiotem roztropnej polityki, a rządzą nią przeważnie doraźne potrzeby liderów partyjnych. Ów przewlekły brak roztropności Zachodu w polityce granicznej sprawił, że status granic i problem migracji nabrał charakteru politycznej kwadratury koła. A ostatnio znów widać to na śródziemnomorskiej, czyli południowej granicy Unii Europejskiej.

DWUDZIESTOMINUTOWY OSTRZAŁ

Właśnie w tych dniach zrobiło się głośno wokół akcji podjętej wspólnie przez europejskie organizacje praw człowieka z Amnesty International czy Lekarzami bez Granic na czele. W petycjach skierowanych do Rady, Komisji i Parlamentu Europejskiego połączony ruch praw człowieka żąda, aby Unia zmusiła Włochy do zerwania zawartych w przeszłości układów z Libią i doprowadziła – zgodnie ze swymi traktatowymi ideałami – do „przywrócenia praworządności" na śródziemnomorskiej granicy Europy. Jak wiadomo, Włochy od wielu lat próbują się ratować współpracą z dyktaturami północnoafrykańskimi, tak by nakłonić tamtejsze reżimy do zatrzymania masowej wędrówki Murzynów z afrykańskiego interioru, napierających na włoską granicę. A premier Giorgia Meloni zintensyfikowała tę politykę, czego dowodem jest choćby odesłanie, w geście przyjaźni, bezpiecznie do domu w Libii jednego z watażków tamtejszej wojny domowej, ściganego przez haski Trybunał Karny za zbrodnie przeciw ludzkości.

> Jak to możliwe – pytali posłowie z komisji praw człowieka Parlamentu Europejskiego – że Unia finansuje próby zabicia na morzu ludzi, których wyłowił statek ratunkowy?

Ale źródłem obecnej akcji obrońców praw człowieka jest sierpniowe zdarzenie na Morzu Śródziemnym, rzeczywiście bezprecedensowe. Oto bowiem 24 sierpnia libijski kuter patrolowy przez 20 minut ostrzeliwał z niewielkiej odległości salwami z karabinów statek Ocean Viking, na pokładzie którego znajdowało się 120 osób: 30 członków załogi oraz ok. 90 afrykańskich migrantów, uratowanych na morzu. Nikomu nic się nie stało, ale trzeba przyznać, że widok podziurawionego seriami pocisków statku, który w końcu jakoś dowlókł się do portu w Augusście na Sycylii, robi wrażenie.

Rzecz w tym, że statek należy do znanej organizacji SOS Mediterranee, zajmującej się transportem migrantów do państw europejskich, głównie do Włoch. A libijski kuter patrolowy, który strzelał na międzynarodowych wodach otwartych, daleko od wybrzeża libijskiego, został zakupiony przez Libię z pomocowych funduszów europejskich przeznaczonych na powstrzymywanie nielegalnej migracji przez Morze Śródziemne.

Nic dziwnego, że z takiego politycznego *qui pro quo* wyniknęło w Europie trochę politycznego zamieszania. Jak to możliwe – pytali posłowie z komisji praw człowieka Parlamentu Europejskiego – że Unia finansuje próby zabicia na morzu ludzi, których wyłowił statek ratunkowy? I natychmiast powróciła, tym razem nie bez racji, kwestia „przywracania praworządności". Co by w końcu nie myśleć na temat złych skutków wielkich migracji, to jedna rzecz jest niewątpliwa: próba zabicia nieuzbrojonych ludzi na otwartym morzu jest niczym innym, jak klasycznym korsarstwem.

A sprawa wygląda jeszcze bardziej groteskowo, gdyż SOS Mediterranee – jako francuska organizacja charytatywna – korzysta ze wsparcia funduszów gmin francuskich dofinansowywanych przez Unię. Wygląda więc na to, że zarówno ci, którzy strzelali na morzu, jak i ci, do których strzelano, są przynajmniej pośrednio klientami Brukseli.

UKŁAD Z DYKTATOREM

Śródziemnomorską kwadraturę koła pogłębia jeszcze to, co się dzieje na

Fot. Tricani Alessio/Shutterstock.com



afrykańskim wybrzeżu, w Libii. Po wojnie domowej kraj ten rozpadł się *de facto* na dwa nienawidzące się państwa. Strzelający na morzu kuter należy do „państwa wschodniego" ze stolicą w Bengazi, rządzonego przez sławnego, okrutnego i wyjątkowo chimerycznego dyktatora Chalifę Haftara, którego akcje polityczne swego czasu finansował amerykański wywiad (ponoć zresztą był po prostu agentem CIA). Ale ostatnio Haftar doszedł do wniosku, iż wygodnie mieć sojusz z Moskwą, więc urządził w Bengazi defiladę rosyjskiego sprzętu wojskowego, a teraz – ku zgrozie Włochów i Greków – chciałby ponoć zaoferować flocie rosyjskiej bazę w Tobruku, na Saharze zaś ustawić rosyjskie rakiety wymierzone w Europę.

Niektórzy eksperci lekceważą wprawdzie nieskoordynowane ruchy dyktatora z Bengazi, zwłaszcza jego aktualne sympatie putinowskie, które zapewne okażą się krótkotrwałe. Ale w lipcu, ku zgorszeniu dyplomacji europejskiej, Haftar wyrzucił z Libii unijnego komisarza ds. migracji Austriaka Magnusa Brunnera, gdy ten składał „kontrowersyjną" (jak się to mawia w dyplomacji) wizytę, w trakcie której chciał omówić wzajemną współpracę w zwalczaniu migracji.

Niemniej armia „wschodniej Libii", współfinansowana przez Włochy i programy unijne, ciągle jeszcze na serio wydaje się traktować misję „zwalczania migracji" do Europy. Wyłapuje więc wymęczonych długą drogą Murzynów z Afryki, więzi ich, głodzi albo zostawia na pustyni, a jeśli jakimś cudem uda im się jednak przedrzeć na morze, to właśnie zaczęła do takich strzelać.

O ile prześladowanie, morzenie głodem i okrutne traktowanie afrykańskich migrantów na libijskim lądzie jest – powiedzmy to sobie uczciwie – dla rządów europejskich akceptowalne, to tak spektakularna próba pozbawienia ich życia na otwartym morzu rodzi już w Europie pewien dyskomfort. Tym bardziej że czegoś takiego nie da się w żaden sposób ukryć. I nie tylko sfanatyzowani sędziowie oraz zieloni i lewicowcy, lecz także całkiem normalni ludzie zaczynają pytać: czy aby na pewno chcemy tego, aby zabijać migrantów z naszą pomocą, tyle że nie bezpośrednio naszymi, europejskimi rękoma?

GRANICZNY WĘZEŁ GORDYJSKI

Tymczasem ci, którym z państwa Haftara z pomocą przemytników udaje się wydostać na morze, najbliżej mają na grecką Kretę. Podczas ostatnich wakacji na wyspę, będącą dotąd arkadią europejskiej turystyki, przypływało z Afryki ok. 2 tys. migrantów tygodniowo. Zirytowany rząd grecki wyprowadził w celu patrolowania morza wokół Krety dwa okręty wojenne, co okazało się szaloną pomyłką. Murzyni na łódkach, widząc w pobliżu grecki okręt wojenny, z radością skakali do morza, przekonani nie bez racji, że właśnie napotkali w końcu swój ratunek. W konsekwencji Ateny – podobnie jak wcześniej Polska – zawiesiły prawo do wnioskowania przez kogokolwiek o azyl na Krecie, spychając w ten sposób zdesperowanych przybyszów do szukania możliwości dostania się do Włoch.

To wywołało z kolei tym większą wzajemną nieufność pomiędzy rządami włoskim i greckim oraz różne sztuczki próbujące przekierować szlak migracyjny na sąsiadów. Absurd goni tutaj absurd. To może stanowić wątpliwe pocieszenie, że absurdy, z jakimi mamy do czynienia ostatnimi czasy na granicy polsko-niemieckiej i polsko-białoruskiej, nie są we współczesnej Europie odosobnione.

Graniczny węzeł gordyjski na Morzu Śródziemnym jest już w zasadzie niemożliwy do rozsupłania. Stopień zapętlenia problemów jest tu nieporównanie większy niźli na lądowej wschodniej granicy Unii, np. w Polsce. Ani mury, ani wieże strażnicze, ani zasieki, ani armia strażników granicznych niczego nie jest tu w stanie zmienić. A strzelanie do nieuzbrojonych statków na otwartym morzu od wieków jest traktowane przez ludzkość jako ciężka zbrodnia, a przy tym dowód barbarzyństwa. Co więcej, każda próba podjęcia jakichś narodowych kroków obronnych kończy się konfliktem z unijnym sąsiadem, tak jak pomiędzy Polską a Niemcami, Anglią a Francją czy Włochami a Grecją. A jakakolwiek wspólna europejska polityka ochrony przed zalewem migrantów jest już dziś nie tylko politycznie niemożliwa, lecz także nawet intelektualnie trudna do wyobrażenia.

Donaldowi Trumpowi łatwo perorować przed Zgromadzeniem Ogólnym ONZ: „Czas zakończyć nieudany eksperyment z otwartymi granicami, musicie to zrobić teraz. To mogę wam powiedzieć, jestem w tym naprawdę dobry: wasze kraje idą do piekła". Tyle tylko, że choćby po Włoszech czy Grecji widać jasno, iż zapętlenie problemu granicy morskiej Europy jest już tak duże, iż każda próba cofnięcia się z drogi do piekła przekształca się w swoje tragikomiczne zaprzeczenie. Ostatnio w Anglii (to wprawdzie nie Morze Śródziemne) szefowa tamtejszego MSW Shabana Mahmood (notabene pakistańska muzułmanka) triumfowała w mediach, mogąc oznajmić, iż w ramach wielkiej umowy międzypaństwowej zawartej przez Macrona i Starmera udało się deportować do Francji jedną osobę spośród ok. 30 tys., które nielegalnie przepłynęły na łódkach kanał La Manche od początku roku. I co w tym najbardziej absurdalne: nie natknąłem się na żadną europejską gazetę, która nie informowałaby o tym fakcie z całkowitą i nieudawaną powagą.

Fot. Hussein Eddeb/Shutterstock.com

eprasa.pl 3d70f78a7e

Klimatyczne mrzonki

10 lat po porozumieniu paryskim wydobycie paliw kopalnych stale rośnie, a państwa, takie jak Kanada czy Norwegia, nie będą w stanie dotrzymać celów klimatycznych, które same sobie wyznaczyły – wynika z raportu międzynarodowych ekspertów



Fot. BKAnastasia/Shutterstock.com

epresa.pl 3d70f78a7e



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

W miniony wtorek delegaci na sali obrad Organizacji Narodów Zjednoczonych siedzieli w oszołomionym milczeniu, gdy prezydent USA ganił ich za doprowadzenie swoich krajów do katastrofy, wyśmiewał gospodarzy za zepsute schody ruchome oraz teleprompter, przedstawiając to jako metaforę – jego zdaniem – bezużyteczności ONZ. Najwięcej złośliwości Donald Trump zarezerwował jednak dla walki ze zmianami klimatu. „To moim zdaniem największe oszustwo, jakie kiedykolwiek popełniono na świecie" – powiedział prezydent USA. „Ślad węglowy to mistyfikacja wymyślona przez ludzi o złych intencjach, którzy zmierzają ku całkowitej zagładzie" – dodał.

Ślad węglowy odnosi się do całkowitej ilości emisji gazów cieplarnianych spowodowanych przez osobę, grupę lub produkt, mierzonej w jednostkach dwutlenku węgla (CO_2) lub ekwiwalentach dwutlenku węgla. Ten termin został spopularyzowany w połowie pierwszej dekady XXI w. przez firmę reklamową pracującą dla giganta naftowego BP. Zresztą dla Trumpa oszustwem jest nie tylko ślad węglowy, lecz także odnawialne źródła energii, które nazwał „żartem". „Nie działają, są zbyt drogie" – powiedział, chwaląc się, że jego administracja zniosła ulgi podatkowe na czystą energię. Według niego zielone technologie są „żałosne" i „złe", a USA zamiast na nie będą stawiały na nowe złoża ropy naftowej, gazu i węgla.

AMBICJE A RZECZYWISTOŚĆ

Mimo przerażonych min delegatów na forum ONZ, szczególnie tych z Europy albo Kanady, a nawet złośliwych uśmiechów na twarzach jednych czy drugich, większość krajów rozwiniętych planuje produkować do 2030 r. ponaddwukrotnie więcej paliw kopalnych niż pozwalałby na to cel ograniczenia globalnego ocieplenia do 1,5 st. Celsjusza, zawarty w paryskim porozumieniu klimatycznym z 2015 r. Tak w każdym razie wynika z raportu „The Production Gap Report 2025" opublikowanego w minionym tygodniu przez Instytut na rzecz Środowiska (SEI) w Sztokholmie.

„Wiele krajów planuje jeszcze większe wydobycie paliw kopalnych w porównaniu z sytuacją sprzed dwóch lat. Pokazuje to ogromny rozdźwięk między ambicjami klimatycznymi a rzeczywistością" – podkreślił podczas prezentacji raportu klimatolog Derik Broekhoff, jeden z jego autorów. Raport sugeruje, że do 2030 r. kraje posiadające paliwa kopalne zamierzają wydobywać ich o 120 proc. więcej, niż byłoby zgodne z utrzymaniem poziomu globalnego ocieplenia poniżej 1,5 st. Celsjusza, i o 77 proc. więcej, niż byłoby zgodne z limitem 2 st. Celsjusza. „Poziom produkcji węgla – czytamy dalej – ma być wręcz o 500 proc. wyższy niż poziom konieczny do utrzymania globalnego ocieplenia poniżej 1,5 st. Celsjusza". Globalna produkcja ropy naftowej i gazu już teraz jest odpowiednio o 31 i 92 proc. wyższa, niż powinna być do osiągnięcia celu klimatycznego zwartego w porozumieniu paryskim. A jeszcze wzrośnie.

ZWIĘKSZONE WYDOBYCIE

Raport przedstawił zaktualizowane profile 20 głównych krajów produkujących paliwa kopalne: Australii, Brazylii, Kanady, Chin, Kolumbii, Niemiec, Indii, Indonezji, Kazachstanu, Kuwejtu, Meksyku, Nigerii, Norwegii, Kataru, Federacji Rosyjskiej, Arabii Saudyjskiej, Republiki Południowej Afryki, Zjednoczonych Emiratów Arabskich, Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii i Irlandii Północnej oraz Stanów Zjednoczonych.

Według autorów raportu tylko sześć spośród tych krajów wciąż planuje produkcję paliw kopalnych na poziomach zgodnych z ich ambicjami w zakresie zeroemisyjności. Reszta najwyraźniej zrezygnowała z tych ambicji. 11 państw wręcz zwiększyło swoje perspektywy wydobywcze w porównaniu z tym, czego oczekiwały w 2023 r.

Ponadto mimo międzynarodowego zobowiązania do stopniowego wycofywania „nieefektywnych subsydiów do paliw kopalnych" – powtórzonego na konferencji klimatycznej COP28 w Dubaju – wiele rządów nadal zapewnia znaczne bezpośrednie i pośrednie wsparcie finansowe dla tych paliw. Jednym z tych krajów jest Kanada. Jej nowy premier Mark Carney, który zastąpił niepopularnego Justina Trudeau, według tygodnika „Polityka" jest „chodzącym wzorcem wszystkiego, czego Donald Trump nienawidzi najbardziej". Liberalne elity w Europie miały nadzieję, że Carney będzie „prorokiem antypopulistycznej reakcji" i w przeciwieństwie do Trudeau zrezygnuje z nowych projektów wydobycia gazu i ropy. Tak się jednak nie stało. Mało tego, premier wstrzymał państwowe dotacje dla pojazdów elektrycznych po podejrzeniach, że na ich tle doszło do wyłudzenia milionów dolarów. Nie zajął również stanowiska w sprawie celów emisji na lata 2030 i 2035, choć rząd twierdzi, że nadal koncentruje się na osiągnięciu zeroemisyjności do 2050 r.

MILIARDY NA PALIWA KOPALNE

„Przyszłość polityki ograniczania emisji w sektorze ropy naftowej i gazu wydaje się w Kanadzie wysoce niepewna" – czytamy w raporcie. Prowincja Alberta – główny kanadyjski producent ropy – oraz grupy przemysłu naftowego skrytykowały tę politykę jako barierę dla wzrostu i domagały się jej anulowania. W międzyczasie Alberta zamroziła cenę emisji dwutlenku węgla dla przemysłu do 2026 r., a prowincja Saskatchewan podjęła działania mające na celu przedłużenie żywotności swoich elektrowni węglowych. W raporcie jest także mowa o dziesiątkach miliardów dolarów, jakie Kanada wydała na budowę rurociągu Trans Mountain o przepustowości ok. 890 tys. baryłek dziennie, transportującego ropę z Alberty do portu w Burnaby (Kolumbia Brytyjska) w celu eksportu na rynki azjatyckie. W 2023 r. kanadyjski rząd federalny oraz władze prowincji przeznaczyły ok. 900 mln dol. kanadyjskich (700 mld USD) na dotacje dla producentów paliw kopalnych. W tym samym roku i ponownie w 2024 r. Export

eprasa.pl 3d70f78a7e

Development Canada przekazało producentom do 8 mld dol. kanadyjskich (6 mld USD) w celu ułatwienia eksportu paliw kopalnych.

„Wkład Kanady w produkcję paliw kopalnych jest prawdopodobnie niedoszacowany w raporcie, ponieważ opiera się on na prognozach z 2023 r., zanim rząd dał zielone światło kilku nowym projektom dotyczącym skroplonego gazu ziemnego" – powiedziała Nichole Dusyk, współautorka raportu i starsza doradczyni ds. polityki w Międzynarodowym Instytucie Zrównoważonego Rozwoju.

Kanada jest jednym z czołowych producentów i eksporterów ropy naftowej, posiadając największe znane złoża piasków roponośnych, co czyni ją potęgą energetyczną. W 2020 r. była czwartym największym producentem ropy naftowej na świecie. Według „The Canadian Press" Kanada, jeśli chodzi o stałe zwiększanie produkcji paliw kopalnianych, niczym nie ustępuje Arabii Saudyjskiej, Nigerii czy USA. Klimatyczne cele to jedno, ale jest jeszcze gospodarcza rzeczywistość kraju, który znalazł się w stagnacji i próbuje z niej wyjść. OBWE przewiduje, że kanadyjska gospodarka wzrośnie w tym roku o zaledwie 1,1 proc.

LICENCJE W ARKTYCE

Mówiąc o hipokryzji, raport wymienia także Norwegię, która w kwietniu br. opublikowała nową białą księgę strategii klimatycznej zawierającą zrewidowany cel redukcji emisji gazów cieplarnianych o 70–75 proc. do 2035 r. w porównaniu z poziomami z 1990 r. Jednocześnie rząd w Oslo oświadczył, że osiągnięcie tego celu „w tych ramach czasowych jest mało prawdopodobne". Rok wcześniej Norweski Dyrektoriat ds. Wydobycia Morskiego (NOD) zaktualizował oficjalne scenariusze dotyczące przyszłego wydobycia ropy naftowej i gazu. Wynika z nich, że po 2032 r. to wydobycie „umiarkowanie wzrośnie".

Rząd Norwegii kontynuuje zresztą udostępnianie nowych obszarów morskich pod poszukiwania ropy naftowej i gazu poprzez coroczne wydawanie licencji. Jak czytamy w raporcie, w 2025 r. udostępniono firmom naftowym i gazowym rekordową liczbę licencji, przy czym najwięcej z nich dotyczyło Arktyki. Gabinet zapewnia również ulgi podatkowe wspierające wydobycie ropy naftowej i gazu. Na początku roku mniejszościowi właściciele państwowej spółki naftowej Equinor złożyli rezolucję wzywającą firmę do wyjaśnienia „istotnych rozbieżności" między jej planami zwiększenia produkcji a polityką klimatyczną rządu. Rezolucja została odrzucona, a rada dyrektorów spółki argumentowała, że działania mające na celu zwiększenie produkcji krótkoterminowej przy jednoczesnym inwestowaniu w odnawialne źródła energii i czyste technologie energetyczne są „zgodne z porozumieniem paryskim".

Jak zauważa raport, Niemcy „zużywają więcej węgla niż jakikolwiek inny kraj europejski, głównie węgla brunatnego". A rządy krajów związkowych w Niemczech zapewniają producentom węgla brunatnego zwolnienia podatkowe w wysokości ok. 56 mln euro rocznie

NAJWYŻSZY MOŻLIWY POZIOM

W raporcie jest także wzmianka o Niemczech – kraju, w którym transformacja energetyczna jest najbardziej zaawansowana. 60 proc. prądu pochodzi tam ze źródeł odnawialnych. Obecny rząd koalicyjny złożony z CDU i SPD wyraził poparcie dla propozycji UE dotyczącej 90 -proc. redukcji emisji do 2040 r. pod warunkiem, że Niemcy będą w stanie osiągnąć do 3 proc. tego celu dzięki „międzynarodowym kompensacjom", czyli m.in. systemowi ETS.

Jak zauważa raport, Niemcy „zużywają więcej węgla niż jakikolwiek inny kraj europejski, głównie węgla brunatnego". A rządy niemieckich krajów związkowych zapewniają producentom węgla brunatnego zwolnienia podatkowe w wysokości ok. 56 mln euro rocznie. Oczekuje się, że ceny emisji dwutlenku węgla sprawią, że eksploatacja elektrowni węglowych stanie się ekonomicznie nieopłacalna jeszcze przed 2038 r. – terminem, do którego Niemcy zobowiązały się zlikwidować wszystkie takie elektrownie. Niemiecki rząd sygnalizuje jednak, że to wszystko może się opóźnić, jeśli budowa nowych elektrowni gazowych będzie postępować zbyt wolno.

Na podstawie raportu SEI widać aż nader wyraźnie, że wiele krajów, w tym większość dużych emitentów, nie wywiązuje się ze swoich zobowiązań klimatycznych, a tempo wdrażania działań jest niewystarczające, aby osiągnąć choćby cele klimatyczne wyznaczone w porozumieniu paryskim. Dla klimatologów jest to okazja do alarmistycznych apeli o zwiększenie wysiłków w kierunku zeroemisyjności. Nie jest to jednak ani realistyczne, ani zdroworozsądkowe. Paliwa kopalne nie są przeżytkiem – przeciwnie, są potrzebne, wręcz niezbędne. Wszyscy zdaliśmy sobie z tego sprawę choćby w przypadku pełnoskalowego ataku Rosji na Ukrainę lub obserwując katastrofalne dla gospodarki skutki niemieckiej Energiewende. OZE nie są w stanie zastąpić ropy, węgla i gazu, a raport SEI pokazuje hipokryzję państw, które zapisały się do klimatycznej ideologii. Z jednej strony ważkie deklaracje, z drugiej business as usual. Chiny właśnie zadeklarowały, że w ciągu następnej dekady zamierzają zredukować swoje emisje CO_2 o 7–10 proc., ale dopiero po tym, jak „osiągną one najwyższy możliwy poziom w tym roku". Albo w następnym. Państwo Środka to największy emitent dwutlenku węgla odpowiadający za ok. jedną trzecią globalnych emisji. Te kilka procent redukcji od nie wiadomo jakiego poziomu raczej nie uratuje planety.

eprasa.pl 3d70f78a7e

Parafia i rodzina to naturalne miejsca przekazywania wiary

Szkoła bez nauki religii czy etyki to nieroztropne odcinanie młodzieży od ich duchowej i narodowej tożsamości i korzeni, to prowokowanie szybszej społecznej dezintegracji

Z bp. sosnowieckim Arturem Ważnym, przewodniczącym Zespołu Komisji Episkopatu Polski ds. Katechezy Parafialnej, rozmawia Goran Andrijanić

Od marca tego roku jest biskup przewodniczącym zespołu, który ma na celu wzmocnienie aktywności katechetycznych w parafiach. Jak to ma wyglądać?

bp Artur Ważny: Pracując, nawiązujemy do ogłoszonego w 2020 r. Dyrektorium Ogólnego o Katechizacji. Ten dokument przygotowywała Papieska Rada ds. Nowej Ewangelizacji, a nie – jak poprzedni dokument z 1997 r. – Kongregacja ds. Duchowieństwa. Wspominam o tym, ponieważ katecheza parafialna ma mieć bardziej ewangelizacyjny charakter, a nauczanie kerygmatyczne stanie się jej sercem. Chodzi o to, by w centrum było głoszenie Jezusa Chrystusa. Chcemy także trafiać do człowieka z niewielką lub żadną znajomością Jezusa, budzić wiarę.

Katecheza jest jednym z etapów ewangelizacji i nie jest jej alternatywą. Rozważamy zaproponowanie takiego modelu, swoistych wytycznych, w których katecheza parafialna będzie procesem. Od katechezy ewangelizacyjnej poprzez katechezę chrzcielną czy katechumenat chrzcielny dla nieochrzczonych do katechezy rodziców i dzieci przygotowujących się do pierwszej komunii i spowiedzi świętej.

A potem bierzmowanie albo, jak niektórzy mówią, „sakrament pożegnania z Kościołem".

I właśnie dlatego potrzebujemy rozwijać katechezę dla młodych, związaną z bierzmowaniem czy przygotowaniem do małżeństwa, a później dotyczącą rodziny i wychowania. Pracuje nad tym Rada ds. Rodziny KEP.

Te typy katechezy występują w mniejszym czy większym stopniu w każdej parafii. W przygotowywanych wskazaniach pragniemy jednak zaproponować spójny model. Nie pomijając katechezy mistagogicznej, czyli wprowadzającej w tajemnice liturgii i związanych z tym obrzędów, oraz permanentnej katechezy dla dorosłych, proponując treści biblijne, moralne, dogmatyczne czy społeczne. Ważna jest także zmiana mentalności. Za proces katechetyczny w parafii odpowiada nie tylko kapłan, lecz także przygotowani katecheci, animatorzy świeccy, a zwłaszcza rodzice czy opiekunowie dzieci oraz sami młodzi wobec swoich rówieśników.

Jaki związek będzie miała ta katecheza z nauką religii w szkole? Pytam, bo część społeczeństwa ma wrażenie, że pod presją obecnego rządu Kościół nieco zrezygnował z religii w szkołach i w związku z tym oddaje katechezę parafiom.

Z tym drugim stwierdzeniem częściowo się zgadzam. Chcemy przywrócić katechezę w parafiach w bardziej zdefiniowany sposób. Nadać jej właściwe znaczenie i miejsce. Wspólnota parafialna, a wcześniej rodzinna, to naturalne miejsca przekazu treści wiary w usystematyzowany sposób. Pamiętajmy jednak, że Episkopat myślał o takich zmianach już wcześniej, właśnie w związku z opublikowaniem wspomnianego dyrektorium. Jestem w konferencji Episkopatu piąty rok i pamiętam, że od początku temat katechezy parafialnej się pojawiał. Bez wątpienia obecna trudna sytuacja związana z lekcjami religii w szkole daje nam dodatkowy impuls, by zdynamizować prace nad katechezą w parafii.

Nie oznacza to jednak, że rezygnujemy z religii w szkole. Aktualne uregulowania dokonują się poza nami, a także wbrew dotychczaso-

Fot. Diecezja Sosnowiecka/Facebook

eprasa.pl 3d70f78a7e



wym ustaleniom, bez porozumienia z Kościołem katolickim lub innymi wspólnotami religijnymi, czy nawet wbrew prawu. Religia w szkole – co podkreśla również dyrektorium katechetyczne – ma walor istotowy, ponieważ uczniowie mają prawo otrzymać wykształcenie całościowe, uwzględniające duchowy aspekt człowieka. Nie bez znaczenia są też elementy kulturowe, patriotyczne, społeczne czy inne, które integrują nasze społeczeństwo zbudowane na chrześcijańskich fundamentach.

Szkoła bez nauki religii czy etyki to nieroztropne odcinanie młodzieży od ich duchowej i narodowej tożsamości i korzeni, to prowokowanie szybszej społecznej dezintegracji.

Ale często się mówi, że religia w szkołach miała charakter raczej informacyjny niż formacyjny, co prowadziło do „płytkiej" wiary. Czy biskup się z tym zgadza?

To jest temat, który warto przeanalizować głębiej, aby wyciągnąć wnioski na przyszłość. Sam jako młody katecheta pamiętam pokomunistyczny powrót religii do szkoły. Wspominam ten czas bardzo wdzięcznie. Mogłem spotykać młodych, którzy wcześniej nie pojawiali się w parafii, budować relacje z nauczycielami czy innymi pracownikami szkoły. Udawało się nam podejmować wiele działań i inicjatyw dla wspólnoty nie tylko szkolnej. I o ile religia w szkole nie zastąpi katechezy parafialnej, stanowi jej naturalne uzupełnienie. To chyba kluczowa sprawa, że o tym zapominaliśmy, przerzucając ciężar procesu katechetycznego na szkołę. Dotyczy to zarówno parafii, jak i rodziny. Trochę zwolniliśmy się z misji ewangelizowania i katechizowania dzieci oraz młodzieży na rzecz szkoły.

Szkoła nie jest środowiskiem wiary, w każdym razie w większości sytuacji, a wspólnota wiary to przecież miejsce katechezy. W szkole trudno też prowadzić katechezę ewangelizacyjną czy liturgiczną. Do tego dochodzą zmiany kulturowe, rozwój technologii, zmiana priorytetów czy słabości ludzi Kościoła, a obecnie decyzje ministerialne nie sprzyjają atrakcyjności

eprasa.pl 3d70f78a7e

religii w szkole. Ale religia w szkole funkcjonuje w większości krajów europejskich, warto o tym przypominać.

Co się stanie z katechetami? Ograniczenie liczby lekcji religii w szkołach postawiło wielu z nich w trudnej sytuacji. Jak Kościół może im pomóc?

Dzięki Bogu, jak się okazuje chociażby w mojej diecezji sosnowieckiej, sytuacja katechetów nie jest tragiczna, aczkolwiek pozostawia wiele do życzenia.

Niesprawiedliwy jest przede wszystkim sposób wprowadzania zmian, który nie dawał możliwości okresu przejściowego potrzebnego do przekwalifikowania się przez katechetów czy uzyskania dodatkowych kompetencji. Większość z nich to dobrzy pedagodzy, z wieloletnim doświadczeniem, a nauczycieli raczej nie przybywa. Dając im odpowiedni czas, można było pozyskać świetnych fachowców do innych przedmiotów. Warto także podziękować wielu kapłanom, którzy udostępnili własne godziny, a więc części etatów, swoim świeckim koleżankom czy kolegom z pracy.

Pracując nad koncepcjami katechezy parafialnej, już dziś widzimy możliwość zatrudniania katechetów do konkretnych zadań w ramach tej katechezy. Zatrudnienie dodatkowej osoby dla jednej, zwłaszcza małej parafii może być trudne, ale w ramach kilku parafii czy dekanatu będzie to możliwe. Na podobnej zasadzie uregulowaną pracę w wielu miejscach ma organista czy zakrystianin. To również wpłynie na zmianę mentalności, inicjującą bardziej misyjny kształt Kościoła.

Z jednej strony ograniczenie lekcji religii, z drugiej – próby wprowadzenia do szkół publicznych edukacji seksualnej bazującej na zasadach permisywności w formie edukacji zdrowotnej. Czy Kościół przegrywa wojnę o dusze polskiej młodzieży?

Bez wątpienia mamy do czynienia z wielkim wyzwaniem. Jubileusz Młodych w Rzymie pokazał, że dla młodych ludzi wiara wciąż może być atrakcyjna i dla wielu stanowi nieodzowny element ich życia oraz powołania. Milion młodych zgromadzonych wokół Leona XIV na Tor Vergata daje nadzieję. Wiemy jednak, że sytuacja jest zróżnicowana w zależności od szerokości geograficznej. Wspomniane już zmiany kulturowe i rozwój technologii, w tym kultury cyfrowej i sztucznej inteligencji, nie ułatwiają refleksji o świecie duchowym.

Na ile Kościół przygotował się na nowe czasy?

Nie do końca i powinniśmy się do tego przyznać. Trudno nam znaleźć odpowiednie formy i język, aby trafić do młodego człowieka z ewangelicznym przesłaniem. Liczby mówią o poważnym kryzysie, ale moje osobiste doświadczenie nie jest tak pesymistyczne. Może dlatego, że młodzi zawsze byli mi bliscy i większą część mojego kapłańskiego, a teraz biskupiego życia towarzyszę młodym w ich drodze z Chrystusem. Chcę więc mówić o znakach nadziei, które widziałem w minione wakacje. Oprócz wspomnianego Jubileuszu Młodych miałem okazję zobaczyć wiele inicjatyw, wydarzeń, spotkań, rekolekcji w różnych miejscach Polski – także u mnie, w Sosnowcu – gdzie młodzież gromadziła się liczniej niż w ubiegłych latach i z entuzjazmem przeżywała swoją przygodę z Jezusem w środowisku rówieśników. Niektóre bitwy przegrywamy jako Kościół, ale są też małe zwycięstwa, które mogą nas inspirować i zachęcać do większej kreatywności i mobilizacji.

> Za proces katechetyczny w parafii odpowiada nie tylko kapłan, lecz także przygotowani katecheci, animatorzy świeccy, a zwłaszcza rodzice czy opiekunowie dzieci oraz sami młodzi wobec swoich rówieśników

Według badań prof. Jörga Stolza z Uniwersytetu w Lozannie Polska sekularyzuje się najszybciej na świecie. Czy sytuacja naprawdę jest tak trudna?

Odpowiem anegdotą. Na początku lat 90., gdy w Polsce zachodziły zmiany społeczno-polityczne, zapytano znanego duchownego o tempo laicyzacji w kontekście innych europejskich krajów. Odpowiedział z właściwym sobie humorem, że Kościół w Polsce jest inny niż ten na Zachodzie, ma inną historię i pobożność ludową. Dlatego uważa, że te zmiany nie będą przebiegać z taką samą dynamiką, ale jak zna polskich biskupów, to skończy się na peregrynacji. Mówię to świadomy tego, że w mojej diecezji właśnie rozpoczęła się trzecia odsłona peregrynacji Cudownego Wizerunku Jasnogórskiego. Okazuje się, że ów ksiądz miał w pewnym sensie rację. Równocześnie widzę, że dla starszych peregrynacja stanowi ważny element ich tożsamości religijnej. Spotkania w parafiach mobilizują wiernych, a niektórzy po latach wracają do Kościoła. Jestem wdzięczny za łaskę peregrynacji.

Nie może to być jednak dla nas jedyny program na te czasy, który wtedy uruchomił bł. kard. Stefan Wyszyński. Wówczas pozwolił Kościołowi zwycięsko przejść bolesne doświadczenia czasów komunizmu. Dziś to za mało. Na pewno potrzebujemy nowego impulsu, nowego rozeznania, jak nie tylko zatrzymać proces sekularyzacji, lecz także podjąć wyzwanie ewangelizacji w naszych parafiach, zwłaszcza wobec dzieci i młodzieży. Mam nadzieję, że nowe wytyczne dla katechezy parafialnej, które opracowujemy, staną się zaczynem mobilizującym nasze parafie i wspólnoty do odkrycia na nowo Ewangelii łaski i wprowadzania jej z radością w życie społeczne.

eprasa.pl 3d70f78a7e



Austria w sprawie reparacji powinna siedzieć cicho



Austriacki ekonomista i polityk Günther Fehlinger-Jahn grozi Polsce rewizją granic. Tymczasem to właśnie Austria była ojczyzną Hitlera, entuzjastycznie przyjęła Anschluss i dała miliony żołnierzy Wehrmachtu oraz setki tysięcy funkcjonariuszy SS. Czy nie czas przypomnieć, że rachunek za wojnę należy się także Wiedniowi?



STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

W dniu wizyty prezydenta Karola Nawrockiego w Niemczech Günther Fehlinger-Jahn opublikował skandaliczny wpis na platformie X: „Drogi, proputinowski prezydencie Polski, który nienawidzisz Ukrainy, Niemiec i UE... witamy w Niemczech. Jeśli jeszcze raz powiesz, że Niemcy powinny zapłacić Polsce reparacje za II wojnę światową – podczas gdy Niemcy rocznie przekazują Ukrainie 9 miliardów –rozpocznę kampanię, by Polska zwróciła niemieckie ziemie". Te skandaliczne słowa oburzają tym bardziej, gdy spojrzy się na historię jego kraju.

Austria przez dekady pielęgnowała mit „pierwszej ofiary Hitlera", powołując się na fakt, że Anschluss z 1938 r. miał być przeprowadzony siłą przez III Rzeszę. Już po wojnie Wiedeń chętnie ustawiał się w roli ofiary nazizmu. Tymczasem źródła historyczne i relacje świadków nie pozostawiają złudzeń: większość Austriaków przyjęła Hitlera z entuzjazmem. Wiedeń, Graz czy Linz witały führera wiwatującymi tłumami. Austriacy nie byli ofiarami, lecz współtwórcami nazistowskiej machiny zbrodni. I nie wynika to jedynie z powszechnie znanego faktu, że Adolf Hitler pochodził z Austrii. Historia austriackiego wkładu w zbrodnię III Rzeszy pozostaje jedną z najbardziej zmanipulowanych.

Fot. Everett Collection/Shutterstock.com, x.com

eprasa.pl 3d70f78a7e

AUSTRIACKA TRAUMA

W 1866 r. Królestwo Prus pokonało cesarstwo austriackie, co oznaczało kres roli tego ostatniego w niemieckiej polityce i odrzucenie koncepcji zjednoczenia Niemiec pod auspicjami Wiednia. Rok później powstały Austro-Węgry, coraz bardziej skupione na Wschodzie i Bałkanach. Austriacy stanowili elitę monarchii, lecz stopniowo czuli się coraz bardziej osamotnieni wobec Węgrów, licznych narodów słowiańskich czy nawet zgermanizowanych Żydów. Niemiecki żywioł w państwie słabł, a to prowadziło do narastania postaw antysemickich i antysłowiańskich.

I wojna światowa wzmocniła te nastroje. Z kampanii bałkańskich oficerowie wynosili pogardę dla walki partyzanckiej, a zdrada legionu czechosłowackiego czy kryzys przysięgowy w polskich oddziałach były uważane za dowody nielojalności Słowian. Klęska i rozpad monarchii w 1918 r. były traumą dla Austriaków. Z imperium stali się nagle niewielkim państwem, mniejszym nawet od innych powstałych na bazie Austro-Węgier. Poczucie narodowej zdrady ze strony Słowian i Żydów prowadziło do radykalizacji życia publicznego. W Republice Austrii popularne stały się antysemickie i antysłowiańskie hasła, które w Niemczech uznawano jeszcze za skrajne. Nic dziwnego, że właśnie tu szczególnie dobrze trafiały idee zawarte w „Mein Kampf". Austria okazała się bardziej podatnym gruntem niż niektóre części właściwych Niemiec.

DROGA DO NAZIZMU

Coraz więcej młodych Austriaków wierzyło, że to z Niemiec może przyjść nadzieja na przełom w ich najnowszej historii. W Wiedniu prężnie rozwijały się lokalne struktury NSDAP, a Alfred Frauenwelt organizował pierwsze bojówki i umundurował oddziały austriackiego SS. Gdy Hitler przejmował władzę w Niemczech, austriaccy naziści nadal musieli walczyć przeciwko rządom swojego kraju, często metodami terrorystycznymi. Radykalizacja Wiednia postępowała.

W 1933 r. kanclerz Engelbert Dollfuss zdelegalizował NSDAP i stworzył Front Ojczyźniany, który miał bronić państwa zarówno przed socjalistami, jak i nazistami. Rok później austriackie SS podjęło próbę zamachu stanu. Pucz upadł, ponad setka nazistów zginęła, a kilka tysięcy trafiło do więzień. Problem wewnętrznego wroga jednak pozostał i toczył Austrię aż do 1938 r. Władze nie potrafiły powstrzymać infiltracji aparatu państwowego przez nazistów. Sympatia dla Hitlera była szczególnie mocno widoczna wśród młodszych oficerów armii. W sztabie austriackiej Bundeswehry dominowali przeciwnicy nazizmu, ale niższe kadry coraz wyraźniej opowiadały się za przyłączeniem do III Rzeszy niemieckiej.

> Podczas II wojny światowej wielu Austriaków zaczęło grać nie pomocnicze, a wręcz wiodące role w zbrodniczym systemie. Najbardziej ponurą postacią był Adolf Eichmann, organizator „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej"

CENTRUM RADYKALIZMU

13 marca 1938 r. Austria została wchłonięta przez Niemcy. Hitler przedstawiał Anschluss jako naturalne zjednoczenie i szansę udziału wszystkich Niemców w sukcesie przyszłej Wielkiej Rzeszy. Obiecywał także zemstę na „zdrajcach" z 1918 r., co trafiało w nastroje wielu Austriaków. Już wiosną 1938 r. Heinrich Himmler tworzył na terenie Austrii struktury SD i Gestapo. Proces ten przebiegał błyskawicznie i niemal bez oporu. Wiedeński hotel Metropol, przekształcony w siedzibę Gestapo, zapełnił się austriackimi policjantami. Aż 80 proc. kadry stanowili dawni funkcjonariusze stołecznych komisariatów, którzy bez problemu odnaleźli się w nowej rzeczywistości.

Zadziwia tempo, w jakim radykalizm Austriaków został uwolniony w ramach III Rzeszy. W odróżnieniu od niektórych zachodnich regionów Niemiec tutaj nie trzeba było „edukować" społeczeństwa. Już po kilku dniach Reinhard Heydrich donosił o konieczności powstrzymywania Austriaków, którzy samowolnie napadali na żydowskich przechodniów i rabowali ich majątki. Hermann Göring miał inne wnioski. Twierdził, że Niemcy powinni brać przykład ze swoich rodaków. Latem 1938 r. przez całą III Rzeszę niemiecką przetoczyła się fala antyżydowskiej przemocy. Kulminacją stała się noc kryształowa z 9 na 10 listopada 1938 r., szczególnie brutalna właśnie w dawnej austriackiej stolicy. W kolejnych latach ten austriacki radykalizm idealnie wpisał się w struktury państwa Hitlera, czyniąc z Austriaków jednych z najgorliwszych wykonawców polityki nazistowskiej.

AUSTRIA, CZYLI OSTMARK

Po Anschlussie Austria przestała istnieć formalnie i symbolicznie. Nie tylko traciła swoją niezależność, lecz także – mówiąc dosłownie – nazwę. Stawała się „Ostmark", czyli Marchią Wschodnią. Proces integracji Austrii odbywał się pod czujnym nadzorem urzędników ze „starej" Rzeszy, wysyłanych do nadzorowania miejscowych struktur. Umiarkowani zwolennicy przyłączenia mogli poczuć się obywatelami drugiej kategorii. Jednocześnie system stwarzał jednak ogromne szanse kariery. To zachęcało wielu Austriaków do szczególnego zaangażowania w nazistowski aparat władzy.

Przykładem był urodzony w Wiedniu Adolf Eichmann. Już w marcu 1938 r. wyróżniał się inicjatywą, przedstawiając swoim przełożonym pomysły, jak uczynić z Wiednia całkowicie aryjskie miasto. To właśnie w austriackiej stolicy testował pierwsze rozwiązania, jeszcze pozornie bezkrwawe, przekonując Żydów do współpracy w procesie własnego wysiedlenia. Austria stała się laboratorium metod, które później Eichmann i inni naziści eksportowali do Czech, Polski i całej okupowanej Europy.

Ekstremizm austriackich struktur dostrzegali nawet czołowi działacze

eprasa.pl 3d70f78a7e

NSDAP. Gauleiter Wiednia Baldur von Schirach zeznawał w Norymberdze: „Moim zdaniem naziści w Austrii byli bardziej radykalni. W Austrii zawsze spotykałem się z krytyką ze strony niższych szczebli, zarzutami, że nie jestem wystarczająco aktywny i nie propaguję idei narodowosocjalistycznych".

NAJGORSI Z NAJGORSZYCH

Podczas II wojny światowej wielu Austriaków zaczęło grać nie pomocnicze, a wręcz wiodące role w zbrodniczym systemie. Można odnieść wrażenie, że swoją nadgorliwością usiłowali nadrobić stracone pięć lat między przejęciem władzy przez Hitlera w Niemczech a Anschlussem. Co więcej, w Berlinie obszary Galicji czy Jugosławii uznawano za starą domenę Austrii, nawet bez początkowych i jawnych planów eksterminacji ludności. Austriaccy funkcjonariusze mogli być traktowani jako specjaliści od zarządzania tymi obszarami, które później stały się rejonem wprowadzenia najbardziej zbrodniczych planów. Najbardziej ponurą postacią był wspomniany Adolf Eichmann, organizator „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej". To on nadzorował logistykę deportacji milionów Żydów do obozów śmierci, w tym do Auschwitz-Birkenau. Jego prawą ręką był Austriak Alois Brunner. Z Marchii Wschodniej pochodził również Ernst Kaltenbrunner, jeden z najważniejszych dowódców SS i szef Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy (RSHA). Był współodpowiedzialny za system obozów koncentracyjnych, masowe deportacje i politykę terroru w okupowanej Polsce.

Odilo Globocnik był jednym z najokrutniejszych zbrodniarzy nazistowskich. Jako dowódca SS i Policji w dystrykcie lubelskim Generalnego Gubernatorstwa szybko otoczył się austriackimi oficerami. Rozmachem pomysłów wymordowania podległej mu ludności zaskoczył nawet przełożonych. Dowodził akcją „Reinhardt", czyli eksterminacją Żydów na ziemiach polskich. Nadzorował obozy zagłady w Sobiborze, Treblince i Bełżcu, w których zamordowano ok. 1,5 mln ludzi. Komendantem pierwszych dwóch obozów był inny Austriak – Franz Stangl.

Lista austriackich oprawców jest znacznie dłuższa. Do grona czołowych austriackich zbrodniarzy należeli także: Franz Kutschera – dowódca SS i policji na dystrykt warszawski, nieprzypadkowo nazywany katem Warszawy, Amon Göth – komendant obozu w Płaszowie pod Krakowem, znany ze strzelania do więźniów z balkonu swojej willi, czy Arthur Seyss-Inquart – namiestnik Rzeszy w Austrii, a później komisarz Rzeszy w Holandii.

ZATRWAŻAJĄCA NADREPREZENTACJA

Tysiące Austriaków służyło w SS, w tym w jednostkach SS-Totenkopfverbände – jako strażnicy obozów koncentracyjnych i zagłady. Inni trafiali do Schutzpolizei, żandarmerii oraz innych formacji policyjnych, które na okupowanych terenach Europy dopuszczały się brutalnych zbrodni. Strażnik z warszawskiego Pawiaka Franz Bürkl własnoręcznie zamordował co najmniej kilkudziesięciu więźniów. Równie ponurą postacią była Austriaczka Maria Mandl, SS-Lagerführerin, czyli kierowniczka kobiecego obozu w Auschwitz II-Birkenau. To ona odpowiadała za wiele aktów bestialstwa wobec więźniarek. Nie można pominąć Ariberta Heima, znanego jako „Doktor Śmierć". Ten austriacki lekarz SS zasłynął z przeprowadzania sadystycznych eksperymentów medycznych na więźniach w Mauthausen.

Austriacy odegrali także szczególną rolę w jednostkach pacyfikacyjnych. Stanowili aż 70 proc. stanu osobowego 1. zmotoryzowanego batalionu żandarmerii SS. Formacja ta spacyfikowała dziesiątki wsi na terenie Generalnego Gubernatorstwa. Z kolei Gerulf Mayer, pochodzący z Gloggnitz w Styrii jako kapitan Ordnungspolizei odpowiadał m.in. za wymordowanie 92 mieszkańców wsi Skałka Polska w maju 1943 r., a także za liczne zbrodnie przeciwko Żydom i ludności cywilnej Kielecczyzny.

W oczy rzuca się nie tylko bestialstwo, lecz także nadreprezentacja Austriaków w strukturach III Rzeszy, zwłaszcza w aparacie terroru i zagłady. Dr Sara Berger z Uniwersytetu we Frankfurcie, analizując biografie sprawców akcji „Reinhardt", zauważyła, że znaczna większość pochodziła z Austrii, okolic Berlina i Saksonii, a także terenów utraconych przez Niemcy po 1918 r. Berger zwróciła uwagę na to, że istniała korelacja między radykalizmem a przygranicznym nacjonalizmem. Zasada ta odnosi się również do nastrojów panujących w Austrii.

Jak wyliczył David Art z uniwersytetu w Cambridge, Austriacy stanowili zaledwie ok. 8 proc. populacji Wielkiej Rzeszy, a mimo to odpowiadali za 13 proc. stanu osobowego SS. Szczególnie uderzające jest to, że z Austrii miało pochodzić ponad 75 proc. komendantów obozów koncentracyjnych i zagłady, a także nawet 40 proc. członków ich załóg. W późniejszych latach z liczbami polemizowali inni historycy. Nie ulega jednak wątpliwości, że Austriacy byli szczególnie widoczni w newralgicznych obszarach działalności nazistowskiej machiny terroru, a ich nadreprezentacja pozostaje faktem.

POWOJENNY MIT

Po zakończeniu II wojny światowej i proklamowaniu niepodległości 27 kwietnia 1945 r. Austria natychmiast zaczęła budować nową narrację o swojej roli w minionym konflikcie. Kluczowym elementem stał się mit „pierwszej ofiary Hitlera". To wygodne kłamstwo wykorzystywano w negocjacjach traktatu państwowego z 1955 r., dzięki któremu Austria odzyskała pełną suwerenność, a także debatach dotyczących restytucji. Narracja ofiary służyła do moralnego oczyszczenia narodu z wszelkich zarzutów. Przez dziesięciolecia blokowano rzetelną dyskusję o nazistowskiej przeszłości Austrii, jej antysemityzmie oraz rzeczywistym zaangażowaniu w zbrodnie.

Tymczasem fakty są jednoznaczne: Austria była współsprawcą. Austriacy w wielu obszarach stanowili wręcz fundament nazistowskiego aparatu terroru, od Gestapo przez SS po struktury obozów koncentracyjnych.

Dlatego dziś, gdy w Austrii pojawiają się głosy grożące Polsce w kontekście reparacji wojennych, należy przypomnieć fakty. A są one takie, że nie tylko Niemcy, lecz także Austria ma na sumieniu niespłacone rachunki. Zburzone polskie miasta, wymordowana inteligencja, zagłada żydowskich społeczności, miliony ofiar – za tym wszystkim stali również Austriacy. Dlatego jeśli mówimy o dziejowej sprawiedliwości, której ważną składową są reparacje, rachunek musi być wystawiony także Wiedniowi.

eprasa.pl 3d70f78a7e

Żywot awanturnika

Sergiusz Piasecki znów przekroczył polską granicę, ale tym razem legalnie. Tak jak kiedyś, odzyskał swą polskość i język, teraz powróci do ojczystej ziemi, z której – jak oczekiwał – przepędzono bolszewików. Z inicjatywy IPN i jego ówczesnego prezesa Karola Nawrockiego doczesne szczątki pisarza 29 września br. zostaną złożone na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach



MACIEJ WALASZCZYK

Jeszcze przed 1990 r. twórczość Sergiusza Piaseckiego była znana raczej nielicznym czytelnikom książek tzw. drugiego obiegu. Po upadku cenzury twórczość emigracyjnego pisarza pojawiła się już masowo, ale nie zdobył on tak wielkiej popularności, na jaką zasłużył. To, co pisał, pachnie, elektryzuje, wciąga jak mrok zimowej nocy, odurza niczym samogon. Mimo że jego przesycone najczystszym autentyzmem przeżyć i niewątpliwym talentem książki wciąż czyta się z zapartym tchem. Rozpalają wyobraźnię i przenoszą w nieznany nam świat – na prowincjonalne kresy II RP, do półświatka przemytników, oszustów, żydowskich handlarzy i prostytutek, a także w realia porewolucyjnej Rosji.

Napisał je bowiem człowiek, który „otarł się" o życie, a do tego dopiero przed trzydziestką nauczył się dobrze pisać po polsku. Jego życiorys nadaje się na scenariusz dobrego filmu. Takie zresztą próbowano tworzyć na początku lat 90. XX w., jak choćby trzyodcinkowy, ale niezbyt udany miniserial pt. „Żywot człowieka rozbrojonego" (1993) Krzysztofa Grubera. Tuż po stanie wojennym powstała nawet adaptacja „Kochanka Wielkiej Niedźwiedzicy", a więc film „Przemytnicy" z Januszem Gajosem. Natomiast na początku lat 70. we Włoszech nakręcono ekranizację tej powieści pod tytułem „L'amante dell'Orsa Maggiore", a sama książka została przełożona na włoski i kilka innych języków.

Gdyby nie komunizm, cenzura i peerelowskie porządki Sergiusz Piasecki z pewnością mógłby się stać np. wziętym scenarzystą. Choćby takim, jak Korsykanin José Giovanni vel Joseph Damiani, który swoje dwuznaczne przeżycia jako gangstera, także te z czasów okupacji (okazało się, że współpracował z rządem Vichy), zamieścił w wielu książkach wydawanych nawet przez Gallimarda, i scenariuszach filmowych, które odmieniły historię kina kryminalnego. Piaseckiego czekała jednak nędza emigracyjnej egzystencji, a scenariusze, które wysyłał do angielskich producentów, odsyłano mu, nie otwierając kopert.

ZAKONSPIROWANY I NIEDZISIEJSZY

Z inicjatywy Instytutu Pamięci Narodowej 29 września br. w porozumieniu z rodziną i z inicjatywy obecnego prezydenta Karola Nawrockiego, wcześniej prezesa IPN, doczesne szczątki pisarza zostaną złożone na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach. Jak wielu doświadczonych wojennymi losami emigrantów przez kilkadziesiąt lat spoczywały w Wielkiej Brytanii. Biuro Upamiętniania Walk i Męczeństwa IPN podjęło się ekshumacji jego zwłok i sprowadzenia ich do Warszawy. W ubiegłym roku obchodziliśmy bowiem 60. rocznicę jego śmierci. Z tej okazji IPN podjął się również organizacji bardzo wielu przedsięwzięć, m.in. po raz pierwszy publicznego wywiadu udzielił dr Władysław Tomaszewicz, syn pisarza, a rozmowę poprowadził ówczesny prezes Instytutu dr Karol Nawrocki. Między innymi w klasztorze na Świętym Krzyżu można było obejrzeć wystawę „Siedem twarzy Sergiusza Piaseckiego".

To nieprzypadkowe miejsce, ponieważ właśnie tam w okresie międzywojennym odbywał karę więzienia, a w konsekwencji fatalnych warunków zachorował na gruźlicę. Przeszedł wtedy głęboką przemianę duchową, zaczął regularne czytać Pismo Święte i dostępne wówczas „Wiadomości Literackie". Jak pisał Józef Mackiewicz, przemiana była potrójna, gdyż z przestępcy i prawosławnego Rosjanina stał się pisarzem, Polakiem i katolikiem. To w więzieniu narodził się Piasecki prozaik, którym zainteresował się Melchior Wańkowicz. Poznał się na nim również Witkacy, który spotkał go w Zakopanem, gdy ten w 1939 r. przebywał tam na kuracji przeciwgruźliczej. Z nieukrywanym entuzjazmem

eprasa.pl 3d70f78a7e

opowiadał o zawartej właśnie znajomości z prawdziwym człowiekiem, bratnią duszą, „pisarzem bandytą", tworząc barwny duet towarzyski.

AWANTURNIK ZBŁĄKANY W XX w.

Kto chce poznać życiorys pisarza, powinien na pewno sięgnąć po któryś z biograficznych szkiców, gdyż tylko znawcy, jak m.in. Krzysztof Polechoński, badający jego życiorys, są w stanie go uprawdopodobnić. Miał bowiem w swoim życiu wiele twarzy, zawodów, tożsamości, dokumentów, miejsc zamieszkania. Był żołnierzem, policjantem, wywiadowcą, przemytnikiem, fałszerzem, złodziejem, więźniem, pisarzem, malarzem, egzekutorem, robotnikiem. Charakteryzował swoich bohaterów jako „ludzi żyjących w ciągłej atmosferze ryzyka, na granicy utraty wolności i życia". Bo takie było jego własne życie, a dorastać przyszło mu w bardzo niespokojnych czasach.

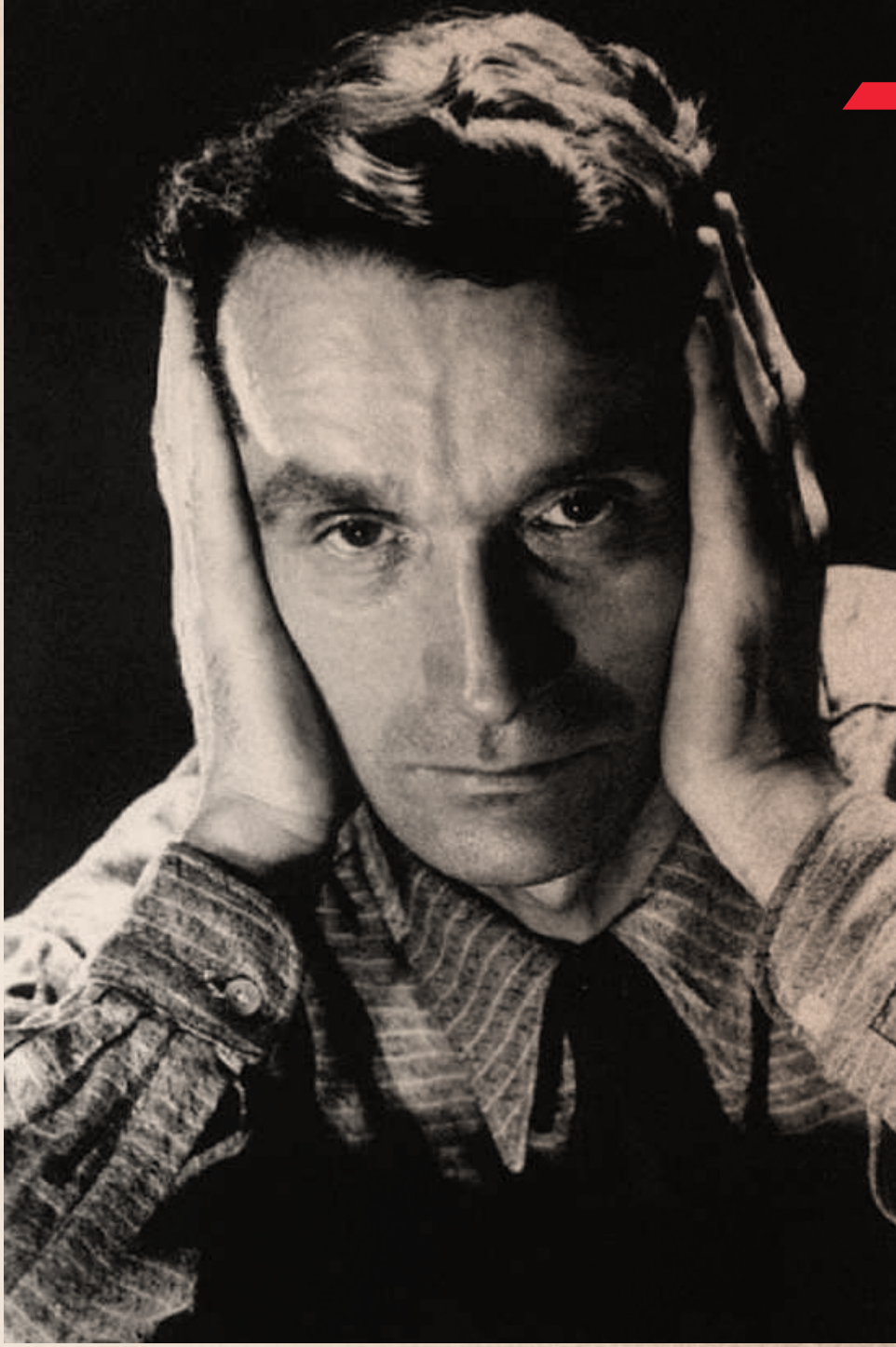
Okazuje się, że już od młodych lat Piasecki mistyfikował swoją przeszłość, zaciemniał lub podkolorowywał obraz. Zdaniem historyka Tomasza Balbusa jako uczestnik różnych konspiracji i podziemnych kręgów starał się zacierać ślady swojej działalności, kontaktów i miejsc pobytu. A konspiratorem nie przestał być do końca życia, niszcząc tuż przed śmiercią swoje osobiste zapiski. Jak celnie scharakteryzował go adwokat Adam Pragier, był kimś w typie XVII-wiecznego awanturnika, zabłąkanego w naszej współczesności. Na pograniczu tego, co legalne i nielegalne.

DZIECKO NIESPOKOJNEGO POGRANICZA

Przyszedł na świat najprawdopodobniej 19 maja 1899 r. w Lachowiczach koło Baranowicz, w rodzinie zrusyfikowanego Polaka. Dorastał w domu, w którym jednak nie mówiło się po polsku, a wychowywany jako nieślubne dziecko przez białoruską macochę doświadczył przemocy i odrzucenia. To traumatyczne dzieciństwo wyznaczyło wyboistą drogę jego życia i już jako nastolatek wkroczył w świat mińskich złodziei.

Podczas pobytu w Moskwie był świadkiem rewolucji bolszewickiej, a to, co wtedy zobaczył, odcisnęło na nim trwałe piętno. Miał potem walczyć m.in. w szeregach białoruskiej partyzantki, w Dywizji Litewsko-Białoruskiej gen. Bułak-Bałachowicza i w wojnie polsko-bolszewickiej. Na pewno po jej zakończeniu znalazł się po polskiej stronie granicy, a jego dawny świat został przecięty granicznym kordonem, którego strzegły uzbrojone patrole, a za jego przekroczenie groziła śmierć. Po demobilizacji tułał się więc po Wileńszczyźnie, zajmował się szulerką i oszustwami, a w końcu zaciągnął do policji, z której jednak musiał się zwolnić za niechęć do noszenia munduru. Wolał działania niejawne i w końcu zainteresował się nim wywiad – Oddział II Sztabu Generalnego Wojska Polskiego.

Taki werbunek był strzałem w dziesiątkę. Piasecki znał zasady konspiracji, półświatek zamieszkujący niebezpieczne pogranicze, a do tego mówił po białorusku i rosyjsku. Jako agent „Dwójki" parał się więc wywiadem i dywersją pozafrontową, a granicę przekraczał nielegalnie nawet 30 razy w miesiącu, pokonując pieszo setki



Fot. Domena publiczna

eprasa.pl 3d70f78a7e

kilometrów. Cały czas zajmował się też przemytem. Do Polski szło złoto, dolary i kosztowności, a w drugą stronę podstawowe artykuły niedostępne w zrujnowanych przez rewolucję Sowietach. Żył w napięciu, uzależniając się od również przemycanej kokainy.

Ponieważ przekazał najprawdopodobniej jakieś kompromitujące materiały dotyczące kogoś z najwyższych polskich sfer rządowych, po czterech latach pracy zwolniono go z wywiadu. Uzależniony, błąkający się z bronią po lasach Grodzieńszczyzny, napadał, rabował, zabijał ludzi. Zadenuncjowany wraz z kolegą w 1926 r., został skazany na karę śmierci. Na Kresach Wschodnich obowiązywał wówczas stan wyjątkowy, kary orzekały sądy doraźne, a za rabunki z bronią w ręku groziła szubienica.

PISARZ NARODZONY W WIĘZIENIU

„Dwójka" roztoczyła jednak nad nim dyskretną opiekę i ostatecznie prezydent Ignacy Mościcki ułaskawił go za wcześniejsze zasługi, zamieniając karę śmierci na 15 lat odsiadki. Spędzał ją w ciężkich więzieniach, m.in. w Lidzie, Rawiczu, Koronowie i na Świętym Krzyżu. To tam zaczął pisać swoje powieści.

Dwie pierwsze książki zatrzymała więzienna cenzura i dopiero „Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy", wydany drukiem z pomocą Melchiora Wańkowicza w 1937 r., trafił do czytelników, stając się bestsellerem i dał mu wolność. Niestety książka została poddana przeróbkom i skrótom, tracąc do pewnego stopnia sens i swój pierwotny, znakomity styl literacki. To z niej pochodzi słynny cytat: „Żyliśmy jak królowie. Wódkę piliśmy szklankami. Kochały nas ładne dziewczyny. Chodziliśmy po złotym dnie. Płaciliśmy złotem, srebrem i dolarami. Płaciliśmy za wszystko: za wódkę i za muzykę. Za miłość płaciliśmy miłością, nienawiścią za nienawiść". Streszcza on chyba wszystko, co potem znalazło się w innych książkach autora, takich jak „Bogom nocy równi" czy napisanej już po wojnie złodziejskiej trylogii: „Jabłuszko", „Spojrzę ja w okno", „Nikt nie da nam zbawienia".

WILEŃSKI EGZEKUTOR

W czasie okupacji przez pięć lat zaangażował się w konspiracyjną działalność w Okręgu Wileńskim AK. W tym czasie przybywał m.in. w majątku rodzinnym Jadwigi Waszkiewiczówny, przed wojną związanej nieszczęśliwą miłością z Czesławem Miłoszem. Kiedy jednak zaszła w ciążę, ten nie zamierzał wziąć z nią ślubu. Gdy więc poznała Piaseckiego, zafascynował ją tajemniczy przemytnik i konspirator. W 1942 r. nieformalnie się pobrali, a wkrótce potem na świat przyszedł ich syn Władysław. Jednak po wojnie Jadwiga nie zdecydowała się na emigrację, została w kraju i zamieszkała w Giżycku pod przybranym nazwiskiem Tomaszewicz. Do końca życia korespondowała z Miłoszem i nawet przebaczyła mu jego dawne grzechy. Tymczasem gdy ten zdecydował się na porzucenie służby dla – jak mówiono – rządu warszawskiego, to właśnie Piasecki na łamach londyńskich „Wiadomości" zaatakował poetę tekstem „Były poputczik Miłosz". Jego zdaniem – co również podtrzymywał były kierownik Referatu Wschód wojskowej „Dwójki" Jerzy Niezbrzycki – przemiana była fałszywa i groziła, że jako emigrant Miłosz będzie bardziej niebezpieczny, niż gdy był peerelowskim dyplomatą.

> Miał w swoim życiu wiele twarzy, zawodów, tożsamości, dokumentów, miejsc zamieszkania. Był żołnierzem, policjantem, wywiadowcą, przemytnikiem, fałszerzem, złodziejem, więźniem, pisarzem, malarzem, egzekutorem, robotnikiem

Barwnego obrazu pisarza dopełnia jeszcze inny wątek. W Wilnie Piasecki kierował Egzekutywą AK i z podległą mu grupą wykonywał wyroki na kolaborantach. Pracował na własnych zasadach i choć współpracował z podziemiem, nigdy nie złożył przysięgi, a nie zgadzając się z wyrokiem wydanym na Józefa Mackiewicza za rzekomą kolaborację z Niemcami i Litwinami, odmówił jego wykonania. Sprawa Mackiewicza była prowokacją i pomówieniem. Gdy odchodził, wyznał, że do konspiracji zraziła go „niechlujna, nieideowa praca, plotkarstwo, intrygi, brak koleżeństwa".

GORZKI LOS WYGNAŃCA

Ostatniego dnia kwietnia 1946 r. Piasecki znów nielegalnie przekroczył granicę. Do ucieczki wykorzystał kontakty akowskiego podziemia i przez Czechy oraz Niemcy przedostał się do Włoch, gdzie dotarł do 2. Korpusu. A potem znów dzięki Wańkowiczowi – już jako emigrant – do Wielkiej Brytanii, osiadając ostatecznie w angielskim Hastings.

Klepał biedę, mieszkając na bardzo skromnym poddaszu. Mimo kłopotów finansowych i językowych pisał, walczył o odzyskanie praw autorskich. Stronił od publicznych wystąpień i oficjalnych form życia towarzyskiego, choć jako zagorzały wróg komunizmu dawał temu wyraz w publikowanych tekstach. W „Siedmiu pigułkach Lucyfera", używając groteskowej konwencji, wyśmiał nowe porządki w kraju, a w satyrycznych „Zapiskach oficera Armii Czerwonej", często dziś wystawianych w teatralnych monodramach, przedstawił obraz psychologiczny oficera Armii Czerwonej. To z nich pochodzi słynny *passus*: „Noc była czarna jak sumienie faszysty".

Napisał też bardzo ciekawe powieści z kluczem, takie jak „Człowiek przemieniony w wilka" i „Dla honoru Organizacji", bardzo wiernie opisujące kulisy działalności komórki likwidacyjnej AK w Wilnie. Pisał też mniejsze formy, z których wyjątkowe jest na pewno opublikowane w 1960 r. opowiadanie „Wowa pierwszy", w sposób proroczy i komiczny zarazem przedstawiające obraz rozpadu Związku Sowieckiego.

Zmarł na raka 12 września 1964 r. Na jego grobie stanął pomnik z białego marmuru kararyjskiego z wyrzeźbioną nań konstelacją Wielkiej Niedźwiedzicy. Na mogile na Powązkach zostanie umieszczona jej dokładna replika.

eprasa.pl 3d70f78a7e

Pożegnanie z bronią

Wymyśliłem tę postać – mówi o „Brunonie” Brusickim, dodając: – Umówiliśmy się z Władkiem Pasikowskim, że to nasz ostatni film. „Zamach na papieża” walczył o Złote Lwy 50. FPFF. W poprzednich edycjach festiwalu Bogusław Linda zdobył pięć statuetek



Fot. Kino Świat

eprasa.pl 3d70f78a7e



JOLANTA GAJDA–ZADWORNA



Pierwszoplanowy macho polskiego kina wjechał na ekrany jubileuszowej edycji Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni niebieskim Mirafiori, ze snajperskim karabinem i piękną kobietą (Karoliną Gruszką) u boku. Niby wszystko zgodne z dawnym gwiazdorskim wizerunkiem, a jednak...

W GŁÓWNEJ ROLI

Bogusław Linda mówi, że wymyślił postać „Brunona", ale jej nie napisał. Jego też zaskoczyły niektóre dialogi i „psyche" Brusickiego. Dla widzów niespodzianką mogą być przebijające przez sceny wątpliwości i dylematy bohatera, a także jego stosunek do kobiet. Już nie takich złych.

Najnowszy film duetu Pasikowski–Linda oferuje odbiorcom wręcz nadmiar wątków i konceptów – na prowadzenie postaci, rozwój sytuacji oraz potencjalne finały. Jeżeli jest „pożegnaniem z bronią", to z tą, którą trudno byłoby wiarygodnie się posługiwać – nawet będącemu w najlepszej formie – 73-latkowi.

Podczas festiwalu aktor deklarował, że „Zamach na papieża" to ostatni film zrealizowany z Władysławem Pasikowskim. By zaraz dodać: „W którym zagram główną rolę". Jak się okazuje, obaj już się szykują do kolejnego wspólnego projektu. Tym razem serialu. – Prosiłem o kilka dni zdjęciowych, dostałem 30 – zdradził aktor.

PIĘĆ NA PIĘĆDZIESIĄT

Bogusław Linda to pięciokrotny laureat polskiego festiwalu filmowego, w latach 1974–2011 noszącego nazwę Festiwal Polskich Filmów Fabularnych (do 1986 r. odbywającego się w Gdańsku; organizowanego również pod nazwą Gdynia Film Festival w 2012 r. czy Gdynia – Festiwal Filmowy w latach 2013–2016). Dziś świętującego pięćdziesięciolecie pod nazwą Festiwal Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni.

I już w tym mieście – w 1987 r. – Linda odebrał pierwszą statuetkę. Doceniono go za dwa filmy: „Magnata" Filipa Bajona i „Przypadek" Krzysztofa Kieślowskiego. Rok później tytuł najlepszego aktora przyniosła mu „Kobieta samotna" Agnieszki Holland. Potem (w 1991 r.) była nagroda Jury za trzy role: w fabularnym debiucie Władysława Pasikowskiego „Kroll" (przez któregoś z krytyków nazwanym „pierwszym amerykańskim filmem produkcji polskiej") oraz obrazach „Kanalia" Tomasza Wiszniewskiego (akcja rozgrywała się w 1905 r.) i współczesnym „In flagranti" Wojciecha Biedronia. Kolejnymi statuetkami aktora nagradzano już za pojedyncze filmy: „Psy" Pasikowskiego (1992) oraz „Tato" Macieja Ślesickiego (1995).

W KINOWYM DUECIE

Podczas tegorocznej edycji festiwalu Bogusław Linda podsumowywał przede wszystkim swoją współpracę z Władysławem Pasikowskim: – Nie przeszkadzaliśmy sobie, dlatego – jak dobre małżeństwo – zrobiliśmy tyle filmów. „Zamach na papieża" jest ich dziewiątym wspólnym tytułem. Poprzedzają go „Kroll", „Psy", „Psy 2. Ostatnia krew", „Słodko gorzki", „Demony wojny według Goi", „Operacja Samum", „Reich", „Psy 3. W imię zasad".

– Bawiliśmy się świetnie. W filmach z Pasikowskim udawaliśmy kowbojów, Indian albo kogoś takiego. A przy okazji Władek ma nieprawdopodobny talent do pisania dialogów, w których zawsze można znaleźć prawdę. Można znaleźć prawdziwą miłość i prawdziwą nienawiść, więc ta zabawa nie ma końca – mówił Linda.

Wcześniej stwierdził, że po tylu latach pracy wszystko, co mieli sobie z Pasikowskim do powiedzenia, już dawno powiedzieli. – To jest tylko kwestia mojego zaufania do jego prowadzenia filmu i jego zaufania do mojej interpretacji postaci. W trakcie zdjęć do „Zamachu na papieża" w zasadzie nie schodziłem z planu. To były bardzo piękne miejsca, wspaniałe plenery, był upał, słońce i praca. Członkowie obsady to grupa fantastycznych aktorów, którzy stworzyli świat i śmieszny, i groźny, i przerażający.

JEGO KULTOWA WINA

Ireneusz Czop – jeden z przywołanych członków ekipy (w „Zamachu na papieża" gra płk. Ryszarda Szymurka), który współpracę z Pasikowskim zaczął od filmu „Słodko gorzki (1996) – ponoć kiedyś przyznał się Lindzie, że to właśnie „przez niego" został aktorem.

Wspomina: – Był 1988 r., skończyłem technikum, miałem indeks polonistyki

Fot. Kino Świat

eprasa.pl 3d70f78a7e



na KUL i nie wiedziałem, co z sobą zrobić. Poszedłem do kina „Diana" w Płocku i zobaczyłem film z Bogusiem Lindą, mówię: „Co to za gość? Jakaś kosmiczna historia!". Tak do mnie trafił, że zdecydowałem, że chcę robić to, co on. I teraz, jak siedzieliśmy w kamperze na planie „Zamachu na papieża", powiedziałem mu: „To przez ciebie jestem aktorem", a on na to: „I co? Mam cię za to przepraszać?".

Adam Woronowicz (brawurowy ekranowy Bolek Klimas) mówi: – Z Bogusławem los zetknął mnie w teatrze, w filmie, a nade wszystko w życiu jako takim. I Boguś jest jedną z tych osób, które (podobnie jak Władek) sprawiły, że moje życie, przynajmniej od czasu do czasu, nie jest właśnie „jako takie". Bywa niebanalne, kreatywne, dostarcza solidnej dawki adrenaliny i czegoś, co przytrafia się nie każdemu i nie co dzień, czyli tzw. kawał męskiej przygody.

Zbigniew Zamachowski (filmowy komendant w Górówce) stwierdza: – Filmy duetu Linda–Pasikowski są dla mojego pokolenia po prostu kultowe, a oni jako postacie to prawdziwe gwiazdy! My tylko odbijamy ich blask. Złożyło się tak, że akurat premiery ich filmów przypadły na czas, kiedy ja myślałem o swojej życiowej drodze. Był 1996 r., byłem w szkole teatralnej i pamiętam naszą fuksówkę i Janka Wieczorkowskiego, mojego kolegę z roku,



który prawie na pamięć znał całą listę dialogową z tych filmów. Produkcje duetu Linda–Pasikowski z tego okresu, jak „Psy" czy „Kroll", są absolutnie wspaniałe i wielkie, życzyłbym sobie przynajmniej raz zagrać taką wyrazistą rolę, jaką zagrał w nich Bogusław Linda.

LEPIEJ SIĘ W ŻYCIU BAWIĆ

Cóż powiedzieć po takich opiniach? Może warto wspomnieć, że urodzony w 1952 r. w Toruniu Bogusław Linda, absolwent krakowskiej PWST (1975), zaczynał przygodę z aktorstwem, grając m.in. Hamleta w Teatrze Polskim we Wrocławiu. I właśnie od Hamleta zaczęła się jego droga. Grał w filmach, które „cenzura chowała po szufladach, ale widzowie chowali w sercach": „Gorączka" (1980), „Przypadek", „Kobieta samotna", „Dreszcze" (1981), „Matka Królów" (1982).

Przełom nastąpił w 1987 r., wraz z filmem Jacka Bromskiego „Zabij mnie, glino". Polskie kino zyskało swojego antybohatera. A potem pojawił się Franz Maurer w „Psach", które – jak pisze jeden z fanów – były „nie tylko filmem, ale zapisem stanu duszy kraju". I właściwie na tej kultowej postaci – która stała się punktem odniesienia dla wszystkich późniejszych ekranowych gliniarzy – Linda mógłby poprzestać. A jednak nie dał się zaszufladkować, grając m.in. tytułowego „Tatę" (1995) u Ślesickiego, a także Jacka Soplicę w „Panu Tadeuszu" (1999) Wajdy czy Petroniusza w „Quo Vadis" (2001) Kawalerowicza. Spróbował też sił po drugiej stronie kamery.

Dziś deklaruje, że – m.in. z „Sezonem na leszcza" i „Jasnymi błękitnymi oknami" na koncie – nie planuje powrotu do reżyserii. Stwierdza, że to „za dużo stresu i za dużo odpowiedzi na trudne pytania". – Lepiej się w życiu bawić – mówi.

Fot. Kino Świat

eprasa.pl 3d70f78a7e





HITY i KITY ZAREMBY

„Teściowie 3", czyli Polska wciąż podzielona

To polska komedia, do której wyjątkowo ciężko się przyczepić. Mamy tu humor sytuacyjny, świetne dialogi, wyraziste postacie i ambicję powiedzenia czegoś o Polakach. No i cztery wspaniałe kreacje aktorskie

Na początku była sztuka „Wstyd" lekarza Marka Modzelewskiego, prywatnie partnera aktorki Izy Kuny. Wystawiona w warszawskim Teatrze Współczesnym zyskała popularność. To opowieść o dwóch małżeństwach – prowincjuszach i warszawskich inteligentach – którzy spotykają się w domu weselnym, mimo że ich dzieci w ostatniej chwili zerwały ślub w kościele. Autor wychwycił kontrasty społeczne między nimi, a także konflikty wewnątrz obu par. Pełno tu socjologicznych obserwacji, ale okrucieństwo konstatacji na temat ludzkiej natury wykracza poza doraźność czasu i miejsca.

Potem Modzelewski napisał scenariusz komedii „Teściowie", a Jakub Michalczuk nakręcił ją w 2021 r. W sztuce pojawiały się tylko cztery osoby, film operował masą postaci zebranych na niedoszłym, a jednak trwającym weselu z szaloną finezją. Scenarzysta zmienił zakończenie, nadając „Teściom" jeszcze więcej drapieżności.

Drugą część reżyserowała Kalina Alabrudzińska. Uznano ją za słabszą. A jednak i ona miała urok. Rodzice panny młodej i matka pana młodego spotykali się w nadmorskim kurorcie, gromadząc się na powtórce ze ślubu, ostatecznie znowu zerwanej, tym razem nie przez młodych. Mniej tu było satyry społecznej, więcej opowieści o niedobranych związkach, marzeniach i poczuciu samotności ludzi prezentujących różne style życia.

Trzecia część „Teściów" to powrót Michalczuka jako reżysera, a także Marcina Dorocińskiego jako nieobecnego w części drugiej Andrzeja, ojca wciąż niedoszłego pana młodego. Tym razem obecna jest cała czwórka. Gromadzi ich chrzest wnuka Frania. Wyniosła Małgosia, lekarka z Warszawy, potępia obrzęd jako „naruszenie praw obywatelskich". I nie może zaakceptować obecności męża Andrzeja, który ją porzucił. Fundamentalne napięcia dzielą też stadło „wieśniaków" – Wandy i Tadeusza.

Humor bywa tu obcesowy, brutalny, ale celny, nawet gdy najczęściej wybiera się gorsze motywacje bohaterów z pewną przesadą. Podziw budzi symetryczność tego pamfletu. W pewnych momentach inteligencja wypada nawet straszniej niż „lud", przede wszystkim za sprawą Małgosi, będącej istnym magazynem uprzedzeń i pretensji.

Trzeba przyznać, że przez trzy filmy zachowano ciągłość cech i przemian głównych bohaterów. Zapewne dzięki scenarzyście Modzelewskiemu, a także wspaniałym aktorom. Lekko zaciągający, trochę nieporadny Tadek Adama Woronowicza to postać zarysowana niebywale sugestywnie, podobnie jak prozaiczna, pazerna Wanda Izy Kuny. Aktorka – doceńmy to – w wersji scenicznej grała inteligentkę Małgosię. Filmowa Małgosia – Maja Ostaszewska – jest wręcz cudowna w roli uprzykrzonej strażniczki liberalnych kanonów, a przecież aktorka wyszydza po trosze własną stronę. Uwalniający się z okowów swojego cynizmu Andrzej Dorocińskiego dopełnia ten obraz.

Na tych kreacjach można by uczyć studentów precyzji w rysowaniu pośród słownych gagów jędrnych, skomplikowanych wizerunków psychologicznych. Warto docenić też role drugoplanowe. W pierwszych dwóch częściach był to popis nieodżałowanej Ewy Dałkowskiej jako matki Małgosi. Tu taką rolę odgrywa doskonały w swoim majestatycznym milczeniu Joachim Lamża w roli ojca Wandy.

Andrzej uwalnia się od cynizmu? W przypadku takich filmów zawsze mam wątpliwości wobec ocieplających bohaterów finałów. Czy nie za łatwo porzuca się drapieżność? Ale może taka lekcja empatii jest nam potrzebna?

Piotr Zaremba

„Świętoszek", czyli społeczno-polityczny plakat

„Świętoszek" Moliera przestrzega przed religijną obłudą, więc pasuje do liberalno-lewicowej agendy obecnej TVP. Taki jest sens nowej inscenizacji Tadeusza Kabicza w Teatrze Telewizji, przenoszącej tę historię we współczesne czasy

Owszem, Molier w krawatach albo sportowym obuwiu podkreśla nowoczesność świetnego tłumaczenia Jerzego Radziwiłowicza. Zarazem jest logicznym nonsensem – we współczesnych willach ojcowie nie wybierają córkom mężów. Ta maniera to wyraz niewiary w wyobraźnię współczesnego widza. Jeśli nie zobaczy znajomych ubrań i gadżetów, ma nie uznać tekstu za uniwersalny. W tym przypadku owa „aktualność" może na dokładkę służyć piętnowaniu nielubianych przez mainstream środowisk konserwatywnych.

Zarazem – i to mnie zaskoczyło – takie poprzebieranie bohaterów XVII-wiecznej sztuki w nowoczesność jeszcze bardziej uwypukla sztuczność dawnej fabuły. Komedie Moliera, takie jak „Don Juan" czy „Mizantrop", ujmują swoją niejednoznacznością, niuansowaniem. Za to „Tartuffe" to społeczno-polityczny plakat – efektowny, ale mało wiarygodny.

Ciężko uwierzyć w ówczesnego bogacza Orgona, który obdarza przybłędę własną córką i majątkiem tylko z powodu jego pobożności. Oczywiście można to potraktować jako metaforę. Ale jest ona namalowana tak grubymi krechami, że ciężko się nią przejąć. Warto zwrócić uwagę, że choć wrogiem jest tu klerykalizm, rzecz kończy się dworskim hymnem na cześć króla Ludwika XIV jako sprawiedliwego monarchy. To też pasuje do współczesnego teatru łopatologicznej publicystyki.

Kabicz nasycił tę pośpiesznie graną fabułę smaczkami mającymi nas przekonać, że dzieje się to teraz, a nie kiedyś. O ile dobrze zauważyłem, Walery, narzeczony córki Orgona, kłóci się z nią, ale równocześnie ją... zalicza. Zabawne? Powiedziałbym, że grube. Dlaczego pyskata służąca Doryna, grana z wdziękiem przez Dominikę Kluźniak, paraduje z teczką – tego nie wiem. Czy faktycznie pozyskuje się w ten sposób młodego widza?

Z woli Moliera postacie są tu jednowymiarowe. To bardziej symbole postaw niż żywi ludzie. Może wyjątkiem jest sam Orgon, karykaturalny w swoim szaleństwie, ale przynajmniej przechodzący jakąś zmianę. Jego rozedrganie świetnie zagrał Piotr Adamczyk. Bartosz Bielenia jest demonicznym Tartuffe'em, ale wystarczą mu do tego odpowiednia fizjonomia i konwencjonalne środki. Reszta wypada poprawnie.

Kilka lat temu młodzieżowy teatr Panopticum z Lublina zagrał moją sztukę „Horror licealny". Młodzież z katolickiego liceum szykowała w nim spektakl o Świętoszku, żeby zrobić na złość swojemu dyrektorowi. Chcieli wojować z religijną obłudą. I nie zauważali, że na nich samych czyhają nowe plagi wynikające z nowoczesności.

O SŁABYCH FACETACH

Sztuka Teatru Telewizji pod tytułem „Rodzice" to klasyczne dramaturgiczne skorzystanie z małego realizmu – jednego codziennego wydarzenia. Zaintrygowało mnie w nim dość bezwzględne potraktowanie postaci kobiecych

Autorzy tego spektaklu w TVP1 już ze sobą pracowali. Tomasz Walesiak jako scenarzysta i Michał Grzybowski jako reżyser stworzyli razem filmy „Biały potok" i „Sezony". Ten ostatni to próba sportretowania środowiska aktorów. Grzybowski sam jest z zawodu aktorem, ale tym razem postawił na ukazanie zwykłych szarych ludzi. Walesiak napisał mu sztukę.

Zuzanna Bernat i trudny do rozpoznania Tomasz Ziętek grają młode małżeństwo szykujące mieszkanie na pojawienie się dziecka. Ponieważ zajmują się hałaśliwymi pracami wieczorem, wywołują reakcje sąsiadów. Scysję eskaluje brat dziewczyny, wyrzucając za drzwi sąsiada. Potem pojawia się ich matka, mająca na pieńku i z córką, i z synem, więc awantura staje się piętrowa.



Ot, zwykłe sprawy, pokazywane w zasadzie realistycznie. Tylko miejscami ten realizm zmienia się w takie przerysowanie, które kazało mi podejrzewać, że mamy jednak do czynienia z realizmem cokolwiek magicznym. Akcja, w sumie jednak zwyczajna, mieści się w ramach jednego wieczoru.

Uderzyło mnie jedno. Faceci są w tej opowieści słabi, działają pod nieustającą presją. Dotyczy to także narwanego brata Muńka (świetny Dawid Ptak), a tym bardziej nieszczęsnego sąsiada Damiana, zakompleksionego, zdominowanego przez żonę (drażniący – ale zdaje się, że ma nas drażnić – Łukasz Simlat). Za to kobiety....

Mama jest elegancką, ale jednak manipulatorką, Monika Krzywkowska umie znakomicie budować takie role. Jej córka buntuje się przeciw jej władzy, lecz sama umie urządzić młodemu mężowi piekło. Nawet sąsiadka – w tej roli ulubiona aktorka duetu Walesiak–Grzybowski Agnieszka Dulęba-Kasza – próbuje zarazić nieszczęsnego Damiana swoją agresją wobec świata. Mam wrażenie, że przy całej przypadkowości tej sytuacji oddano jakąś charakterystyczną cechę współczesności.

Gdybym oznajmił, że to uderzenie w nową rolę kobiet, obaj autorzy na pewno by zaprzeczyli. Zresztą w ich obserwacjach nie ma nawet grama ideologii, mieliby więc prawo do niczego się nie przyznawać. Przyjmijmy, że ten obrazek wyszedł im przypadkiem. Choć niespecjalnie wierzę w takie przypadki...

3 MIŁOŚCI

AI tworzy nowe formy magii

Zachód, jaki znaliśmy, przestał istnieć. Rozpadł się konsensus społeczeństwa wielokulturowego, rzeczywistość sprowadziła kolejną utopię na ziemię. Nowy duch tchnie przez kontynenty. J.K. Rowling wyznała, że „nosi w swoim sercu pustkę w kształcie Boga", a „papież nowego ateizmu" Richard Dawkins ogłosił, że jest kulturowym chrześcijaninem, i że kultura Wielkiej Brytanii powinna taka pozostać. Nowa lewica, totalitarny demoliberalizm, neomarksizm dalej prowadzą swoje kampanie niszczące wspólnoty, choć rewolucja już przegrała.

W USA rozpoczęła się krwawa wojna domowa, fala demonicznej radości po zamordowaniu Charliego Kirka nie pozostawia żadnych wątpliwości: kulturowy mainstream przybiera kształt demonicznego kultu, radykalna lewicowa mniejszość sforsowała duchowe granice. Grzech przekroczył miarę.

Na proces demonizacji naszej cywilizacji składają się dwa równoległe zjawiska.

Po pierwsze, w obręb kultury i popkultury zostały wprowadzone zeświecczone politeistyczne kulty, odarte z *sacrum* techniki religii, takich jak buddyzm, sufizm czy hinduizm, szerzą się wierzenia New Age, okultyzm korzysta z nowych technologii, dzięki rozwojowi sztucznej inteligencji powstają nowe praktyki magiczne.

Po drugie, zatrute duchowe owoce zaczęły wydawać ideologie, takie jak liberalizm czy marksizm, o którego satanicznych korzeniach pisano już wielokrotnie.

Gdzie łączą się te dwa nurty? W walce z językiem Objawienia. A co się dzieje ze światem, który zapomina, że słowo „grzech" również jest kategorią poznawczą?

Uporczywe trwanie w grzechu ciężkim to jedno z trzech podstawowych źródeł opętań i dręczeń – oprócz przekleństwa i praktykowania okultyzmu oraz wchodzenia w obce chrześcijaństwu duchowości.

Każdy człowiek ma kontakt z szatanem. Bo każdy jest kuszony. Istnieją jednak formy nadzwyczajnego działania zła w życiu człowieka. Również nowe.

W trakcie zakończonego 20 września we włoskim Sacrofano XV Światowego Kongresu Międzynarodowego Stowarzyszenia Egzorcystów z udziałem ok. 300 kapłanów ze wszystkich kontynentów egzorcyści wskazali na nowe wyzwania, m.in. powiązania neookultyzmu z rozwojem sztucznej inteligencji i tworzeniem dzięki niej nowych form praktyk magicznych. Współczesne zagrożenia duchowe przybierają setki różnorodnych, czasami całkowicie – zdawałoby się – niewinnych postaci. Wiele osób wchodzi więc w nadzwyczajną relację ze złym duchem zupełnie nieświadomie. Korzystają z usług jasnowidzów, zakładają w domach „odpromienniki" mające chronić przed „promieniowaniem" nieistniejących żył wodnych. Piszą esemesy z prośbą o wróżby, korzystają z usług tarocistów, stawiają sobie tarota w internecie. Ćwiczą capoeirę, tai chi chuan, aikido. Chodzą do bioenergoterapeutów, myśląc, że jest to odmiana medycyny. Szukają pomocy.

Rola religii w społeczeństwach zachodnich spadła do zera. W to miejsce wcale nie pojawia się ateizm. Tam, gdzie nie ma już chrześcijaństwa, wzrasta zabobon. W duchowej próżni szerzą się praktyki spirytystyczne, magiczne i okultyzm



ROBERT TEKIELI

Przedstawiałem już tutaj historię Roberta, który został opętany w wyniku praktykowania medytacji prowadzonej przez modnego orientalnego „mistrza" Sadhguru, pisałem o demonicznym związaniu, któremu uległa Katarzyna w trakcie „medytacji z intencją" prowadzonej przez Klaudię Pingot na jej kanale YT, który dziś ma 439 tys. subskrybentów. Dziś kolejna wstrząsająca historia.

Elżbieta wspomina: „Zachorowałam na zapalenie mózgu, bardzo cierpiałam. Nie mogłam się ruszać i ktoś zaproponował mi masaż niekonwencjonalny. Już po dwóch sesjach poczułam się lepiej, nie musiałam iść do szpitala. Potem zachorował mój syn. Poszliśmy do bioenergoterapeuty, który powiedział, że ja i mój chory syn mamy tyle »energii«, że możemy sobie nawzajem pomóc. Zaczęłam uczyć się korzystać z wahadełka. Potem zaczęłam przekazywać »energię«. Brałam zdjęcie osoby, leki i »przekazywałam« moc choremu. Wahadełkiem sprawdzałam, czy ktoś jest zdrowy, czy chory. Na co choruje i »uzdrawiałam«. Ludziom znikały guzy. Mówili o niesamowitej poprawie samopoczucia. W czasie seansu czułam przepływ »energii« przez moje ciało. Ale któregoś razu był tak ogromny przepływ, że zorientowałam się, że nie ja trzymam to wahadełko. Poczułam, że ktoś mnie kontroluje, zaczęłam się bać i szukać pomocy.

eprasa.pl 3d70f78a7e

W domu trzymałam »odpromienniki«, sama je »naładowałam«, chciałam dobrze spać, nie chciałam, by dom był pod wpływem »żył wodnych«. Na początku dobrze się czułam, a potem zaczęłam źle sypiać, byłam wyrywana ze snu, podenerwowana, rodzina nie mogła mnie znieść. Nie mogłam się modlić.

Wiedziałam, że mam z tym skończyć, bo demon obiecał, że mnie zniszczy. Miałam straszną wizję, widziałam jego postać, nie miał twarzy, rwał Biblię na moich oczach, szalał przede mną.

Potem zachorowałam na ciężką chorobę, w ciągu miesiąca schudłam 25 kg. Zaczął się ciąg dramatycznych wydarzeń. Straciłam wtedy wszystko, zdrowie, męża. Moja rodzina została rozbita. Zostałam z dziećmi. Modliłam się i w czasie modlitwy chciałam popełnić samobójstwo. Wiedziałam, że mam skończyć z różdżkarstwem, wahadlarstwem. Miałam chore dłonie, zgnite do kości".

Elżbieta straszliwie cierpiała. A wcześniej przecież pragnęła pomagać ludziom. Nie miała pojęcia, że bioenergoterapia i radiestezja to dramatycznie niebezpieczne duchowości.

„Szukałam pomocy, trafiłam na egzorcystę" – wspominała. „Długo się spowiadałam. Nie mogłam tak od razu rzucić wahadełka, to było straszne uzależnienie, niczym nieróżniące się od uzależnienia od alkoholu i narkotyków. W czasie modlitwy nie mogłam wypowiedzieć słów: »Jezus jest moim Panem«. Upadałam na podłogę i miałam szczękościsk, moje usta nie mogły się otworzyć.

Ksiądz próbował mnie namaścić, pokropić święconą wodą. Dopiero modlitwa do Maryi – »Pod Twoją obronę« – pomogła mi te słowa wypowiedzieć...

Ksiądz powiedział, że powinnam dawać publiczne świadectwo tego, co przeżyłam. W czasie świadectw działy się ze mną dziwne rzeczy, traciłam władzę w nogach, mdlałam, trafiłam do szpitala, dostałam kroplówkę. Gdy chcę kogoś ostrzec, zawsze na chwilę tracę władze w nogach...

Po tym, jak rzuciłam wahadełko, miałam chore dłonie, zgnite do kości. Teraz wiem, że to demon się mną posługiwał. Chciał zniszczyć mnie i innych przeze mnie".

Rola religii w społeczeństwach zachodnich spadła do zera. W to miejsce wcale nie pojawia się ateizm. Tam, gdzie nie ma już chrześcijaństwa, wzrasta zabobon. W duchowej próżni szerzą się praktyki spirytystyczne, magiczne i okultyzm. Do tego dochodzi poszukiwanie na drodze jogi, zen, medytacji transcendentalnej. Do tego rozprzestrzenianie się różnych sekt, z których wiele nosi wyraźne cechy satanistyczne.

„Zły duch jest zwyczajnym oszustem. Przekazuje swoim gorącym zwolennikom pewne władze i »dary«. Nie od razu uświadamiają oni sobie, jakie jest źródło ich pochodzenia lub nie chcą tego zrozumieć, gdyż są nimi bardzo uradowani" – ostrzegał znany egzorcysta Gabriel Amorth.

Jaka jest prawdziwa natura tych nadzwyczajnych „zdolności"? Są one konsekwencją wejścia w głęboką relację z demonem. Człowiek jest wtedy rodzajem kanału, przez który zły duch może ingerować w rzeczywistość fizyczną i duchową. Człowiek staje się medium. Czyli pośrednikiem. Jakie są konsekwencje tego otwarcia na zło? Depresje niedające się leczyć nawet przy pomocy farmakologii. Totalny życiowy pech. Napadowe wahania nastroju nieadekwatne do bodźców. Nieoczekiwane problemy z modlitwą. Utrata wiary w zbawienie, całkowity brak radości duchowej.



J.K. Rowling wyznała, że „nosi w swoim sercu pustkę w kształcie Boga"

Fot. Fred Duval/Shutterstock.com

Ale pecha czy nagłego pojawienia się skłonności depresyjnych nikt nie kojarzy z wizytami u tarocisty czy bioenergoterapeuty ani z medytacją, wizualizacją w stanie alfa z intencją osiągnięcia życiowego celu, który na drodze racjonalnej jest mało prawdopodobny. Czy ktoś skojarzy izolowanie się dziecka od rodziców ze słuchaniem przez nie ciemnej muzyki?

Nagle pojawiające się problemy w relacjach, niedające się zdiagnozować depresje, wyjątkowy pech. Nagromadzenie takich objawów jest czasami sygnałem, że trzeba szukać pomocy. Gdy ktoś dostrzega w swoim życiu takie nadzwyczajne objawy, które pojawiły się po zaangażowaniu się we wróżbiarstwo, bioenergoterapię, radiestezję, jogę, pozytywne myślenie, niektóre praktyki oddechowe i wizualizacyjne, trzeba działać – zapraszam na kanał YouTube „Tekieli: Otwórz oczy".

Szatan istnieje. Mimo jasnego stanowiska Magisterium Kościoła są jednak teologowie, którzy kwestionują istnienie aniołów i diabłów, mimo że o ich istnieniu zaświadczają oficjalne dokumenty kościelne najwyższej wagi. Ks. Aleksander Posacki, demonolog: „Tyleż naiwne, co nieuczciwe bagatelizowanie istnienia i wpływu szatana przez niektórych katolików, nie wykluczając duchownych (zwłaszcza z kręgu »Tygodnika Powszechnego« i innych »katolickich« dodatków do »Gazety Wyborczej«), jest prywatną, i do tego arbitralną, opinią tych osób".

Ojciec Święty Paweł VI: „Zło nie jest już tylko brakiem, ale jest siłą, istotą żywą, istotą duchową, przewrotną i niszczycielską. Straszna to rzeczywistość, tajemnicza i wzbudzająca lęk. Kto zaprzecza istnieniu szatana wykracza przeciw nauce biblijnej i kościelnej".

Papież Leon XIV błogosławił spotykających się kilkanaście dni temu egzorcystów z całego świata. Dziś w kulturze i popkulturze demona jest coraz więcej. Odrzucenie tak istotnej kategorii poznawczej, jaką stanowi pojęcie grzechu, czyni człowieka ślepym. Bóg jednak docenia najdrobniejszy gest: módlmy się za J.K. Rowling.



Maciej Walaszczyk

Slawoński bećar

Trzy dni przed sylwestrem A.D. 2024 najsłynniejszy sławoński bećar przypomniał publiczności przekrojowy program całej swojej kariery muzycznej z ponad 40 pieśniami. Tego wieczoru takie szlagiery jak „Večeras je naša fešta" czy „Šumi, šumi, javore" w tamburicowych aranżacjach porwały kilka tysięcy Chorwatów do wspólnego śpiewu. Dla większości z nich Miroslav Škoro to przede wszystkim autor piosenki „Ne dirati mi ravnicu". W czasie jej wykonywania nastąpił chyba najbardziej wzruszający moment wieczoru, gdy zachwycona publiczność chóralnie odśpiewała pieśń, która zyskała wielką popularność w czasie wojny o niepodległość. Podobnie jak nostalgiczne „Sude mi" dedykowane generałom Antemu Gotovinie i Tihomirowi Blaškiciowi.

Škoro współpracował przy jej nagrywaniu z Marko Perkovićem „Thompsonem", był też zaangażowany politycznie, śpiewał na wiecach Tuđmanowskiej partii HDZ. Muzyk sprawował potem mandat posła z jej ramienia, a w 2019 r. startował nawet w wyborach na urząd prezydenta Chorwacji. Jest również biznesmenem i posiada doktorat z ekonomii, w którym opisał modele dystrybucji przychodów przemysłu muzycznego w warunkach cyfryzacji.

Na całkowicie wyprzedanym koncercie w Arenie w Zagrzebiu, teraz wydanym w kilku formatach, pieśniarz potwierdził, dlaczego wielu uważa go (obok Perkovicia) za symbol chorwackiego patriotyzmu muzycznego. Występowi przyświecało hasło „Szanuję wszystko, cieszę się swoim", doskonale opisując czasy, w których żyjemy także w Polsce. Bo mimo presji ideologicznej tolerancji nie wolno nam zapominać, kim jesteśmy, gdzie są nasze korzenie oraz jak bardzo powinniśmy kochać i chronić naszą tradycję. „Tylko w ten sposób możemy zapewnić przyszłość nam i naszym dzieciom" – mówił po koncercie wzruszony Škoro. Piosenki sławońskiego idola stanowią część zbiorowej tożsamości muzycznej Chorwacji, ale też w szczególny sposób mówią o jego ukochanej Slawonii, miłości, domu i prostych radościach życia. Płyta jest długa, radosna, wzruszająca i niezwykle żywiołowa. Jego przeboje, które – jak sam wyjawia – napisał dawno temu w letniej kuchni w swoim rodzinnym domu w Višnjevacu, spotkały się więc z entuzjastycznym przyjęciem publiczności. „Moja Juliška", „Mata", „Otvor ženo kapiju", „Milo moje", „Ne vjer srce pameti" czy najnowsza pt. „Baja" wypełniły trzygodzinny występ, wprawiając w rausz niczym wino z winnic piosenkarza. Bo i tym się zajmuje.



Miroslav Škoro, „Sve poštivam, svoje uživam ZG Arena 2024", Coratia Records 2025

Polityka według Kiepskich



„Arcana", nr 184, Kraków 2025

Krakowski dwumiesięcznik obchodzi 30-lecie i przez ten czas zawsze podejmował ważne problemy polityczne. Tak jest i tym razem.

Prof. Zbigniew Janowski w eseju „Od polityki do sztuki i z powrotem, czyli o polskiej cepelii politycznej" zwraca uwagę na wulgaryzację krajowej polityki. Chodzi o niepokojący stan, gdy permanentna walka o władzę prowadzona przez aparaty partyjne zrównuje wszystko w dół. Upadek dawnych elit inteligenckich i ziemiańskich oraz powstanie wywodzącej się z warstwy chłopskiej formy życia zbiorowego doby PRL symbolizuje Cepelia – dziś rozumiana przez prawicę jako odwołanie się do polskości i patriotyzmu. Filozof przestrzega jednak przed polityczną gloryfikacją klas niższych, ich pospolitości i wulgarności jako niebezpiecznej dla kondycji narodu. Jest zdania, że mieszkańców polskiej prowincji i wsi należy popierać i nie dać im się wchłonąć nowoczesności, by pozostało coś autentycznego z przeszłości, ale nie należy ich mylić z całą Polską, bo nie są oni wyznacznikiem tożsamości narodowej. Janowski apeluje więc o powrót do dobrej tradycji przywoływania politycznych wzorców ucieleśniających wysoki ideał, jak wybitni królowie i przywódcy, by wznosić życie prywatne i narodowe na poziom wyższy niż codzienność i przyziemność symbolizowaną przez tandetną ludowość.

Jego obawy, choć podzielane, spotkały się jednak z pewną polemiką. Szczególnie interesująca jest odpowiedź prof. Pawła Kłoczowskiego, który przyznaje, że choć wulgaryzacja życia politycznego stanowi realny problem, to odwoływanie się do nieistniejącej już arystokracji i ziemiaństwa jest nieskuteczne. Broni więc strategii polegającej na szukaniu poparcia na prowincji i omijaniu wielkich, liberalnych i proeuropejskich miast. Nie dostrzega jednak, że trawiący je dekadentyzm i głupota z pewnym opóźnieniem pochłania także polską prowincję. Bo ta, uzyskując nawet symboliczny awans, ulega pokusie kulturowego wyzwolenia i popełnienia wszystkich możliwych grzechów wielkomiejskiej elity. Polskiego ludu już dawno nie ma, a zaludniają go coraz częściej odrażające imitacje Ferdynanda Kiepskiego i Dody Rabczewskiej. Dlatego tak istotne jest postulowane przez prof. Janowskiego odwołanie do wyższego ideału społecznego, a więc odbudowania warstwy przywódczej, uosabianej przez polskiego inteligenta. Ten jest kimś więcej niż ludowym trybunem schlebiającym nastrojom mas.

Maciej Walaszczyk

eprasa.pl 3d70f78a7e



Nawłoć kanadyjska

Fot. Shutterstock

Inwazja roślin

To nie żart. Zagraża nam inwazja roślin mogąca bezpowrotnie zmienić świat, w którym żyjemy

Inwazyjność dotyczy wszystkich organizmów, nie tylko roślin. Tym razem skupię się na nich jako organizmach samożywnych, zdolnych do korzystania bezpośrednio z energii słonecznej i będących znakomitą formą zielonej, odnawialnej energii. Pięknie rosną, ale są zagrożeniem – z roku na rok coraz bardziej widocznym i zmierzającym ku zmianom zatrważającym oraz niezmiernie dotkliwym. W wariancie pesymistycznym, ale niewykluczonym – ku końcowi świata lub przynajmniej naszej cywilizacji. Bo cywilizacja nie przetrwa bez bioróżnorodności. A ona ginie, pochłaniana przez inwazje. To wojna inna niż ta, którą znamy.



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

eprasa.pl 3d70f78a7e

Na początku przedstawię prosty schemat. Kiedy mówi się o roślinach inwazyjnych, chodzi o te obcego pochodzenia, które różnymi drogami przedostają się do tej części świata, w której wcześniej nie występowały, a następnie rozprzestrzeniają się szybko i masowo, zagłuszając rośliny rodzime.

Posłużę się uproszczeniem, żeby zobrazować mechanizm i jego skutki. W przyrodzie funkcjonuje – w przybliżeniu – taka zasada: na 100 gatunków, które pojawią się w nowym dla siebie rejonie świata, przyjmie się 10, ale przynajmniej 1 z nich stanie się inwazyjnym. Przy dzisiejszych podróżach i masowości handlu do przemieszczeń dochodzi bardzo często. Czasem nowe gatunki sprowadza się celowo, myśląc, że to dobry pomysł, czasem nasiona przyjeżdżają z ładunkiem drewna, niekiedy rozsiewa się wyrzucona partia warzyw – możliwości jest mnóstwo, a takie zdarzenia są coraz częstsze.

Pojawia się zatem nowy gatunek rośliny i staje się inwazyjny. Jeżeli się go w porę nie powstrzyma, najpierw się rozrośnie i zagłuszy wszystko inne. Zginą rośliny miejscowe z całą swoją różnorodnością, a także padną żywiące się nimi zwierzęta. A później pojawi się coś, na co w nowym środowisku ta roślina nie była przygotowana, np. ostry mróz, i gatunek inwazyjny też zniknie. I zostanie pustka, nic się nie odrodzi, bo nie będzie miało z czego. To mechanizm przedstawiony w uproszczeniu, ale już zachodzi.

NA PRZYKŁAD NAWŁOĆ

Jakiś czas temu do Europy z Ameryki Północnej sprowadzono nawłoć kanadyjską i nawłoć późną (nie mylmy jej z nawłocią pospolitą, która m.in. w naszym kraju występowała od zawsze). Miały być roślinami ozdobnymi – rzeczywiście, kwitną ładnie i obficie żółtymi barwami złożonymi z drobnych kwiatów.

Minął jakiś czas i nawłoć wydostała się z ogródków i przedostała na łąki. Czy to źle? Roślina ta, nie napotykając naturalnych mechanizmów regulujących (nie smakowała gąsienicom ani sarnom, nie przypadła do gustu grzybom wywołującym choroby roślin), zajmowała coraz większe powierzchnie i porastała je coraz gęściej. Popatrzmy na łąki i nieużytki – są całe żółte. Coraz bardziej jednolicie żółte, bo w coraz większym stopniu porasta je tylko nawłoć kanadyjska i nawłoć późna.

Oba gatunki rosną szybko, wysoko – nawet na 2 m – i zabójczo gęsto. Wysysają wodę i substancje odżywcze, a pod nimi brakuje światła, żeby mogło wykiełkować cokolwiek innego. Znikają mniszki, które skubały zające. Znikają pokrzywy, na których żerowały gąsienice motyli rusałek i krwiściąg, którego potrzebowały gąsienice motyli modraszków. Znikają fiołki, których nasionami żywiły się mrówki.

> To inna wojna. Przypadkowo zasiane w ogródku czy na ogrodzeniu krzewy mogą pozbawić nas przyjemności życia, choć są atrakcyjne i pochodzą z dalekich, ciepłych krajów. Dlaczego? Bo zabiją rośliny hodowane przez nas od wielu lat

Wprawdzie pszczoły mają co zapylać, ale tylko kiedy kwitnie nawłoć. Nie mają kwiatów wczesnowiosennych, kiedy pierwszy raz wylecą z ula. Bowiem nawłoć – ale ona zaczyna kwitnąć późnym latem – przez wcześniejsze miesiące to zielone chabazie o twardych łodygach.

Ponadto jeżeli coś nagle wykończy nawłoć, pszczołom i trzmielom nie zostanie żaden inny kwiatek.

Wreszcie – kwitnienie nawłoci bywa zwodnicze. Nawłocie kwitną do jesieni. Tylko że później ich kwiaty, owszem, przyciągają, lecz nie oferują już niczego pożywnego. Pszczoły, zmamione żółtą masą, nie lecą nigdzie indziej, tylko latają od kwiatka do kwiatka i wracają zmęczone do ula z pustymi łapkami. Brak zapasów to śmierć roju. Albo nawet nie wracają, bo padają wyczerpane pomiędzy zwodniczymi żółtymi kwiatami, które nieodparcie przyciągają, nie dając pyłku ani nektaru.

TO DOPIERO POCZĄTEK

Rzecz jasna inwazje zachodzą w każdym kierunku. Czasem są zwodnicze, ale zawsze tak samo groźne. Czy roślina tak rzadka, że wymaga ochrony prawnej, może być jednocześnie inwazyjna? Oczywiście, jeżeli trafi do nowego ekosystemu. Np. wawrzynek wilczełyko, nasz europejski pięknie kwitnący krzew. Jest tak rzadki, że podlega ochronie prawnej. U nas, bo w Ameryce Północnej, gdzie został kiedyś nieopatrznie sprowadzony, stał się inwazyjny.

Na razie scenariusz totalnej zagłady jeszcze się nie spełnił. Pamiętajmy jednak, że zanikanie różnorodności gatunków, nawet jeżeli ma jeszcze charakter ograniczony, już zachodzi i stopniowo, lecz nieubłaganie, krok po kroku, przynosi kolejne straty.

Inwazje na wielką skalę zaczęły się dopiero niedawno, na ogół są kwestią ostatnich lat. Na razie się rozkręcają i dopiero się przekonamy, na co je stać. Wszystko dopiero przed nami.

Popatrzmy na zieleń wzdłuż rzek. Na dzikie chaszcze, a raczej „dzikie" chaszcze, bo w rzeczywistości coraz bardziej dominuje w nich żółta nawłoć kanadyjska, biało kwitnące pnącza kolczurki klapowanej (amerykańska) i rdestowce: ostrokończysty i sachaliński (wschodnia Azja). Czasem pośród nich przebijają różowe kwiaty niecierpka – gruczołowatego, czyli himalajskiego. I nic więcej, nawet nadrzeczne wierzby i olsze nie skiełkują w ich łanach. Tak jest na coraz większej liczbie brzegów.

LISTA JEST WAŻNA, ALE…

Obce gatunki inwazyjne są wymienione w przepisach, które muszą być nieustannie uaktualniane, bo ciągle pojawiają się nowe gatunki inwazyjne (jak wspomniałem, nie tylko roślin, lecz także wszystkich grup organizmów).

eprasa.pl 3d70f78a7e



Z gatunków wymienionych w unijnych przepisach, które atakują już w Polsce i jednocześnie są wymienione w naszym krajowym rozporządzeniu „w sprawie listy inwazyjnych gatunków obcych stwarzających zagrożenie dla Unii i listy inwazyjnych gatunków obcych stwarzających zagrożenie dla Polski, działań zaradczych oraz środków mających na celu przywrócenie naturalnego stanu ekosystemów" można wymienić następujące: kolczurka klapowana, niecierpek pomarańczowy, niecierpek gruczołowaty, rdestowce, bożodrzew grudzołowaty, barszcz Sosnowskiego i barszcz Mantegazziego (to, że parzą, stanowi najmniejszy problem – zagłuszanie innych roślin jest znacznie gorsze w skutkach).

Lista z przepisów, chociaż ważna i pomocna, to nie wszystko. Nie ma na niej zabójczo skutecznej nawłoci kanadyjskiej i nawłoci późnej. O tych roślinach można jednak znaleźć wiele informacji.

Przepisy, literatura naukowa, a nawet internet nie nadążają jednak za inwazją. Przykład pierwszy z brzegu, z którym sam borykam się w sąsiedztwie: pęcherznica kalinolistna. To krzew północnoamerykański. Sadzony od niedawna w Polsce – do niedawna powiedziałbym, że na co drugim osiedlu i wzdłuż co drugiej ulicy, ale teraz już chyba częściej. W dwóch wersjach: o liściach zielonych lub bordowych. Rośnie bujnie i bardzo sprawnie rozsiewa się po okolicy. Za parę lat z pewnością przeskoczy z poradników „jak szybko i tanio urządzić zieleń wokół bloków" na listę gatunków inwazyjnych. I wtedy, zamiast wydawać atrakcyjnie małe kwoty na efektowną zieleń, wydamy miliardy na zwalczanie pęcherznicy. I obyśmy nie wydali ich na daremno, bo jej zwalczanie będzie nieporównanie trudniejsze od sprowadzania.

Do perfidii inwazji dodajmy jeszcze jedno. Takie sadzone rośliny ozdobne to bardzo często identyczne genetycznie klony, powielane w szkółkach. Czyli dodatkowo zubażamy nie tylko liczbę gatunków, lecz także te inwazyjne, które sadzimy, nie kryją w sobie niczego. Są jak zalewające nas tandetne wyroby z plastiku: szkodzą, zanieczyszczają, zasypują nas i do tego są żałośnie monotonne.



Nawłoć późna

Fot. Shutterstock

A jeżeli ma się sprawdzić scenariusz, w którym po inwazji przychodzi zagłada gatunku inwazyjnego, po czym nastaje pustka, tej ostatecznej zagładzie tym łatwiej ulegną gatunki jednolite genetycznie – jeżeli w końcu trafi się coś, co je zabije, to definitywnie i do ostatniego, bo każdy osobnik zareaguje tak samo.

CO ROBIĆ?

Podstawą jest obserwacja, dokształcanie się w tym kierunku i świadomość, jak wiele jest dróg prowadzących do ograniczenia bioróżnorodności poprzez sprowadzanie gatunków, z których część na pewno stanie się bardzo groźna.

Kolejny przykład sprowadzania obcych roślin: jednym z ulubionych gatunków na polskie żywopłoty są amerykańskie żywotniki, czyli tuje i chińskie jałowce (widziałem już w Niemczech drzewostan złożony z żywotników – rosły bujnie i pięknie się obsiewały, wytwarzając nowe pokolenia zamiast jodeł i świerków).

Chętnie sadzone wokół domów są też cisy. Jednak nie rodzime cisy pospolite – trudno dostać je w szkółkach. Nikt nie zwraca na to uwagi, ale prawie wszystkie kupowane cisy to mieszańce cisa pospolitego i cisa japońskiego.

Trzeba więc myśleć, czytać i obserwować. Zmiany zachodzą i będą zachodzić w nieoczekiwanych kierunkach – kto by przewidział, że w alpejskich dolinach inwazyjne staną się palmy? Chodzi o chińską palmę szorstkowiec Fortunego. Coraz częściej sadzi się ją również w Polsce, bo jest odporna na zimno, a kto nie chciałby mieć palmy?

Kto lubi ruch na świeżym powietrzu, może połączyć przyjemne z pożytecznym i zamiast płacić za siłownię, kosić na łąkach nawłocie kosą. Zanim zakwitną albo na samym początku kwitnienia, bo dobrze je wtedy widać. I znowu jak trochę podrosną, tak by nie dopuścić do powstania nasion (nie kosić za późno, bo kwiaty mogą być już zapylone, a nasiona w zasadzie wykształcone i jeśli tak się je zostawi na łące, mogą się obsiać).

A jak już zakwitną, można zbierać je na bukiety – później je utylizując, żeby nie się obsiały, jak trafią na wysypisko.

Prawo zakazuje właścicielom terenów sadzenia roślin inwazyjnych i nakłada na nich obowiązek ich zwalczania. Dotyczy to każdego – zarówno prywatnych właścicieli, jak i gmin, instytucji oraz samego państwa. Ale podstawą powinny być kompleksowe programy wdrażane konsekwentnie i skutecznie. W sumie jednak nie patrzmy na to, co robi państwo i samorządy – myślmy i działajmy sami, bo najlepiej możemy zadbać o nasze otoczenie.

eprasa.pl 3d70f78a7e



Biznes płacze nad Niemcami

Kiedy Ameryka kichnie, cały świat ma katar. Czym dla Europy i Azji jest gospodarka Stanów Zjednoczonych, tym dla Polski są Niemcy. Kiedy oni mają katar, nasz biznes dostaje gorączki



STANISŁAW KOCZOT

Jeszcze w 2023 r. nic nie zapowiadało katastrofy: nasz eksport do Niemiec rósł w tempie kilku miliardów euro rocznie, handel kręcił się płynnie jak taśmy produkcyjne w Stuttgarcie-Zuffenhausen, gdzie powstają kultowe Porsche 911. W pewnym momencie coś się jednak zacięło: niemiecka machina przestała być chłonną gąbką, która wciągała każdy polski towar i każdą polską usługę. Niemieckich firm nagle przestało być stać na produkty wytwarzane przez naszych robotników, stolarzy i hutników, mimo że nadal były tanie.

Co się stało, że tak potężna gospodarka, największa w Europie i trzecia na świecie – po USA i Chinach – straciła swój urok? Wielkie hale produkcyjne, w których przez lata powstawały technologiczne cuda, zaczęły przypominać leciwe szafy pełne naftaliny.

„Stary model gospodarczy Niemiec opierał się na wykwalifikowanej sile roboczej, taniej energii, globalizacji i przodownictwie technologicznym. Wszystkie te czynniki, które tak silnie działały na korzyść Niemiec, znikły w ciągu kilku lat" – pisze Wolfgang Münchau w swoim bestsellerze „Kaput. Koniec niemieckiego cudu gospodarczego". Niemiecki model, zasilany tanią energią z Rosji, padł na dobre po wybuchu wojny na Ukrainie.

KULA U NOGI

Po rewelacyjnym 2023 r., kiedy Niemcy kupili od nas towary za 448,3 mld zł, przyszedł 2024 r. z eksportem sięgającym już tylko 409,2 mld zł. Szanse, że w tym roku będzie lepiej, są niewielkie, gdyż w pierwszym półroczu 2025 r. wartość naszego eksportu do zachodnich sąsiadów wyniosła 205,2 mld zł, o 1 proc. mniej niż w 2024 r.

Niemiecka zadyszka to dla nas problem, gdyż ich gospodarka wchłania aż 27 proc. polskiego eksportu. Berlin to prymus w naszym handlu zagranicznym. Pozostałych eksporterów dzielą od niego lata świetlne. Czesi i Francuzi ze swoimi skromnymi 6 proc. zajmują drugą i trzecią pozycję (notabene nasz eksport do Czech to prawie tak jak eksport do Niemiec, bo tam trafiają ich dobra finalne). Stany Zjednoczone są dopiero na ósmym miejscu, z udziałem wynoszącym zaledwie 3,3 proc.

Polski biznes postawił na Berlin i teraz ma kłopot. „Niemcy są dla Polski kulą u nogi" – tak zatytułowali analitycy Banku Pekao SA swój komentarz do „Raportu o inflacji" NBP opublikowanego w listopadzie ub.r. Dlaczego? Ponieważ Niemcy absorbują aż ponad 6 proc. wartości dodanej wytwarzanej przez polską gospodarkę, co stawia nas na europejskim podium (za Czechami, przed Węgrami). Wartość dodana to różnica pomiędzy wartością rynkową produktu a kosztami jego wytworzenia. Co czwarty złoty zarobiony przez pol-

Fot. Heide Pinkal/Shutterstock.com

eprasa.pl 3d70f78a7e

skie firmy na sprzedaży zagranicznej pochodzi od niemieckiego odbiorcy. „W czasach dynamicznego wzrostu nad Łabą taka zależność umożliwiała Polsce szybszy wzrost, ale obecnie – kiedy gospodarka niemiecka przeżywa kłopoty – staje się coraz większym obciążeniem" – twierdzą ekonomiści Pekao.

CORAZ GORSZE NASTROJE

Do Niemiec sprzedajemy części samochodowe, urządzenia elektryczne, mięso drobiowe, przetwory rybne, wyroby metalurgiczne, produkty chemiczne, meble, tworzywa sztuczne... Kiedy niemiecki rynek się kurczy, ich firmy kupują od nas rzadziej i mniej chętnie. W drugim kwartale tego roku produkt krajowy brutto naszego zachodniego sąsiada spadł o 0,3 proc. w porównaniu z pierwszym kwartałem, o 2,4 proc. zmniejszył się eksport – potężny silnik niemieckiej gospodarki. Mniejsze były inwestycje, skurczył się sektor budowlany.

Coraz gorsze są nastroje Niemców – tzw. wskaźnik klimatu konsumenckiego spada od trzech miesięcy, rośnie strach przed utratą pracy, mniejsza jest skłonność do zakupów. Humorów nie poprawił im kanclerz Friedrich Merz, który na zjeździe swojej partii CDU w Dolnej Saksonii mówił, że „państwo opiekuńcze, jakie mamy dzisiaj, nie może być już finansowane z tego, co produkujemy w gospodarce".

LEPIEJ TRZYMAĆ ZA NICH KCIUKI

Polskie firmy mają powody do niepokoju. – Niemiecki konsument nie kupuje już tak dużo m.in. polskich mebli, stolarki okiennej, czy RTV i AGD jak kilka lat temu. Stagnacja ekonomiczna i wolniej rosnące wynagrodzenia powodują, że niemiecki popyt na nasze produkty nie jest wysoki – mówi dr Piotr Arak, główny ekonomista VeloBanku, były dyrektor Polskiego Instytutu Ekonomicznego.

Problem jest na tyle poważny, że jeżeli wiatry szybko nie zmienią się na bardziej pomyślne, kłopoty Niemców uderzą w nas jeszcze mocniej. – Jeżeli niemiecka gospodarka nie będzie sobie radziła, nie będzie zamawiała naszych dóbr albo nawet zacznie ograniczać lub zamykać swoje inwestycje w naszym kraju, spowoduje duży strukturalny problem dla Polski: przyspieszenie procesu deindustrializacji naszej gospodarki – mówi Piotr Arak.

W ekonomii nikt nie jest samotną wyspą, dlatego – jak piszą ekonomiści Pekao SA – lepiej trzymać kciuki za gospodarcze wyniki naszych sąsiadów. Jak nieco żartobliwie mówi Piotr Arak, może warto by było wysłać za Odrę przedstawicieli zarządów naszych spółek, którzy mogliby nauczyć Niemców, jak restrukturyzować firmy, żeby stały się bardziej rentowne.

Na razie nie widać, by Niemcy byli skłonni do radykalnych kroków. Nadal rządzi tam model bazujący na eksporcie, pomocy publicznej dla firm, z zasiedziałym rynkiem konsumpcyjnym, relatywnie wysokim opodatkowaniem pracy w stosunku do opodatkowania kapitału. O sukcesie decydują nie tyle efekty pracy, ile zyski kapitałowe i dziedziczonego majątku. „Od czasów Republiki Weimarskiej nigdy nie było tak uprzywilejowanego traktowania aktywów przedsiębiorstw, jak ma to miejsce obecnie. Żyjemy w społeczeństwie dziedziczenia, a nie osiągnięć" – mówi portalowi Jacobin Martyna Berenika Linartas badająca nierówności w Niemczech.

MARZENIA O ROSJI

– Ich gospodarka nadal jest mniejsza niż w czwartym kwartale 2019 r., nie widać istotnych impulsów, które poprawiłyby perspektywy. Duże firmy niemieckie liczą na to, że w pewnym momencie znowu otworzy się handel z Rosją, ze Wschodu popłynie tani gaz, cena ropa na globalnych rynkach spadnie. To jednak myślenie życzeniowe, nie da się w ten sposób rozwiązać ich największych problemów gospodarczych – mówi Piotr Arak.

Czy Niemcom pomogą potężne inwestycje – publiczne i prywatne – szacowane na ponad 630 mld euro do 2028 r.? W marcu parlament poluzował tzw. hamulec zadłużenia, dzięki któremu rząd kanclerza Merza może zwiększać wydatki na obronność oraz inwestycje infrastrukturalne. Do tego ponad 60 największych, niemieckich firm zawarło pakt o nazwie „Made for Germany", który przeznaczy co najmniej 100 mld euro na nowe, innowacyjne projekty.

Gdyby karta w Niemczech się odmieniła, polska gospodarka przestałaby importować ich problemy. Wyniki naszego eksportu w drugim kwartale są już trochę lepsze, co jednak niekoniecznie zawdzięczamy Niemcom, lecz poprawiającej się koniunkturze w całej strefie euro.

Jak twierdzi Mariusz Zielonka, główny ekonomista Konfederacji Lewiatan, bilans dla polskiego przemysłu wynikający z bliskich relacji z Niemcami jest dla nas korzystny. Będziemy na plusie nawet wtedy, gdyby gospodarka naszych zachodnich sąsiadów ucierpiała z powodu ceł nałożonych na Unię Europejską przez Donalda Trumpa. – Niezależnie od tego jak sobie radzi niemiecka gospodarka, polski biznes i polski przedsiębiorca są w stanie dostosowywać się do warunków. Polski biznes nie patrzy wyłącznie na to, co dzieje się za naszą zachodnią granicą – mówi.

NASZE KŁOPOTY

Piotr Arak przyznaje, że słabość Niemiec nie jest naszym głównym problemem. – To problem numer dwa. Numerem jeden jest brak innowacyjności polskiej gospodarki – mówi.

A to znaczy, że nawet gdyby Berlin uleczył wszystkie swoje słabości, nasz biznes może z tego nie skorzystać. W Niemczech w drugim kwartale br. wzrosła produkcja samochodów, głównie na rynek wewnętrzny, u nas natomiast sektor motoryzacyjny – jedna z lokomotyw polskiego przemysłu – wpada w coraz większe kłopoty. W zeszłym roku produkcja aut osobowych w Polsce wyniosła 216,2 tys. sztuk, podczas gdy rok wcześniej było to prawie 300 tys. W pierwszym kwartale br. zmniejszyła się aż o 70 proc.

Branża nie widzi światła w tunelu, kolejne koncerny zamykają u nas swoje zakłady, przeprowadzane są zwolnienia grupowe. – W Niemczech produkcja samochodów zaczyna się odbudowywać, ale dokonuje się to w segmencie aut elektrycznych, które nie są wytwarzane w Polsce. Nasza gospodarka powoli traci niezwykle atrakcyjne miejsca pracy – mówi Piotr Arak.

Niemcy mają swoje kłopoty, ale nam też ich nie brakuje.

eprasa.pl 3d70f78a7e



JOANNA PACH-ŻBIKOWSKA AKTORKA

Nasze włoskie klimaty

W poprzednim wcieleniu chyba byłam Włoszką. Kocham brzmienie włoskiego języka, zaczęłam się go uczyć już w podstawówce. W dzieciństwie spisywałam fonetycznie włoskie piosenki – dziecięcego zespołu Piccolo Coro dell'Antoniano czy Al Bana i Rominy Power – i śpiewałam je. Uwielbiam Italię i jej mieszkańców. Ich radość, pasję życia oraz witalność. Kocham ten klimat i włoską kuchnię. Marzy mi się dom we Włoszech. Wiem, że gdzieś już tam na nas czeka.

Pierwszy raz pojechałam do Włoch w podstawówce. To była nagroda za wyniki w nauce. Miałyśmy z przyjaciółką szczęście, że znalazłyśmy się wśród wylosowanych uczniów. Dzięki temu mogłyśmy zwiedzić Wenecję. Potem jeździłam do Włoch z przyjaciółmi lub z bliskimi. Kocham Polskę, jednak gdybym mogła mieć drugie miejsce na Ziemi, wybrałabym Włochy.

Nasza rodzina przypomina trochę włoską familię. Lubimy być ze sobą. Razem śpiewać, żartować, spędzać czas i smacznie zjeść, podróżować i bawić się – bywa dynamicznie i kolorowo.

Jako Joanna Kalinowska – pielęgniarka, którą od 24 lat gram w serialu „Na dobre i na złe" – wspieram pacjentów w procesie zdrowienia, a w domu córki, także podczas rodzinnych eksperymentów w kuchni.

Kulinarną przygodę zaczęłyśmy chyba od świątecznych pierniczków i „paluchów wiedźmuchy" – maślanych ciasteczek, które wyglądają strasznie (nie bez powodu są szykowane na Halloween), ale wyśmienicie smakują. Teraz starsza córka staje się specjalistką od przeróżnych past (makaronów). Robi do nich znakomite mieszanki sosów – serowo-maślanych albo na bazie domowej passaty pomidorowej, modyfikując ich smak różnymi przyprawami. Młodsza wymyśla dania i robi lemoniady oraz owocowe koktajle (patrz przepis).

Urodziłam się w Oleśnicy koło Wrocławia. To „miasto wież i róż", kulinarnie kojarzy mi się ze świątecznymi potrawami. Z wigilijnym sosem grzybowym moich ukochanych dziadków i wspólnie lepionymi pierogami z babcią. Z sałatką jarzynową. Dodawało się do niej łyżkę musztardy i tak robimy do dzisiaj. Latem lepiło się pierogi z własnoręcznie zbieranymi jagodami i knedle ze śliwkami. Był domowy makaron i przetwory na zimę, zamykające w słoiku zapach lata na jesienno-zimowe wieczory. Pamiętam robienie z babcią i dziadkiem ogórków kiszonych. Do dzisiaj przygotowuję je według ich przepisu. Na koniec wkładam do słoików liść dębu, czarnej porzeczki lub wiśni.

Dziadkowie mieszkali w bloku, ale mieli działkę pracowniczą i rosło tam wszystko – od wspomnianych ogórków po śliwki. Były też maliny, agrest i porzeczki, w tym moje ulubione wtedy – białe. Pamiętam smak marchewki wyciąganej z ziemi, którą jadło się bez mycia. I zrywane prosto z krzaka pomidory, ogórki czy groszek... Wszystko było takie pyszne. To są moje cudowne, niezapomniane smaki z dzieciństwa.

A smaki moich córek, Tosi i Noemi? To m.in. smak domowej pizzy – każdy nakłada na swoją ulubione składniki, z sosem przygotowywanym przez nas, za każdym razem trochę innym, w zależności od dodanych ziół – albo domowy rosół. Gotowany przez kilka godzin naprawdę stawia na nogi. Nazywamy go rosołem mocy. Uwielbiamy też robić lody czy cukierki domowe – smak mojego dzieciństwa. Wspólnie pieczemy też ciasta.

Najważniejsze, by czerpać radość z gotowania. Ale przecież nie samym gotowaniem i jedzeniem człowiek żyje. Jest tyle różnych przyjemności. Jak mówi Ania z Zielonego Wzgórza, której przyjaciółkę Dianę gram w ukochanym Teatrze Kamienica w Warszawie: „Życie jest piękne!".

Notowała ***Jolanta Gajda-Zadworna***

Koktajl Noemi – idealny na gorące dni

Składniki: garść borówek, 2 plasterki arbuza, kilka czereśni bez pestek, 100-proc. woda kokosowa – naturalny elektrolit, kilka listków mięty i melisy oraz mały banan do zagęszczenia. Mniam!



Fot. Shutterstock, archiwum prywatne

eprasa.pl 3d70f78a7e



SŁODKO-SŁONY

Czas na dereń

ANNA MONICKA

Rodzinne spotkania u teściowej zawsze kojarzyły mi się ze smakołykami, jakich nie potrafił zrobić nikt inny. Potrafiła po mistrzowsku przyrządzić gęś, kaczkę, sałatkę z krewetek, gołąbki, genialny rosół, szarlotkę. Miała do tego rękę, była córką cukiernika. A także wiedziała, gdzie kupić najlepsze produkty. Znała sprzedawców pod Halą Mirowską – tych samych, sprawdzonych od lat.

Gdy nadchodzi jesień, zawsze próbujemy odtworzyć jej mistrzowską nalewkę dereniową. Odziedziczyła jakiś przedwojenny przepis, którego nam niestety nie zdradziła. Częstowała nas nią na zakończenie biesiad w kieliszkach niewiele większych od naparstka i z zadowoleniem patrzyła, jak poprawiają się nam humory. Napitek miał niezwykły rubinowy kolor i głęboki, lekko cierpki smak. Teściowa zawsze mówiła, że to królowa nalewek.

Po dereń wyprawiała się do pobliskiego Ogrodu Krasińskich – mieszkała na Muranowie, a przed wojną przy ul. Długiej, więc znała każde drzewo w okolicy. Zbierała odrobinę do koszyczka, bo nie sięgała zbyt wysoko, poza tym uważała, że ptaki też muszą coś jeść. Nie była zaborcza – ot, żeby wystarczyło na trochę nalewki (ale czasem zabierała zwinniejszego wnuczka). Lubiła ten dereń – zachwycała się nim wiosną, kiedy rozkwitał jako jeden z pierwszych i zwiastował jej kolejną wiosnę. Kiedy kilkanaście lat temu został wycięty, żałowała go jak przyjaciela, którego ktoś zamordował. Niedługo później, jesienią, sama odeszła.

Gdy robiliśmy porządki w jej maleńkiej kawalerce, w jednej z szafek znaleźliśmy karafkę z ulubioną nalewką. To wtedy mąż postanowił, że spróbuje zmierzyć się z tematem. Najpierw próbowaliśmy posadzić dereń jadalny, ale w naszym suchym i cienistym lasku nie chciał rosnąć. Owoców szukał więc głównie w starych warszawskich parkach – wreszcie znalazł i z dumą przyniósł do domu ok. 1,5 kg. Pracowicie ponakłuwał każdą małą czerwoną kuleczkę, zalał spirytusem, dopełnił wódką, żeby pokryć owoce, i odstawił na dwa miesiące na parapet. Słojem potrząsał codziennie, żeby uwolnić jak najwięcej soku. Potem zlał alkohol do butelek, a owoce zasypał cukrem. Po tygodniu porządnie odcisnął je na sicie i sok dolał do alkoholu. Sklarował przez dwa tygodnie i przecedził przez filtr do kawy. Odstawił flaszki do spiżarni na rok. Warto było czekać. W tym roku kolejny słój stoi już na parapecie. Zrobiłam też rozeznanie w terenie i znalazłam gospodarstwo, które sprzedaje ekologiczne owoce. Nie jest to tania nalewka, ale godna królów.

Fot. Shutterstock



WILCZYM OKIEM

Gwajak i olsza

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Gwajak, czyli gwajakowiec właściwy lub lekarski (*Guayacum officinale*), to gatunek drzewa występujący w Ameryce Południowej. Nie rośnie w słynnych lasach deszczowych, lecz w bardziej suchych formacjach. W wielu rejonach gwajakowce całkowicie wycięto – ich eksploatacja zaczęła się już wieki temu i obecnie ten rzadki gatunek podlega ochronie.

Oprócz zastosowania w medycynie substancji pozyskiwanych z gwajakowca, jego drewno też jest supersurowcem. Jest twarde i tak ciężkie, że tonie w wodzie. Gęstość i nasycenie żywicami sprawia, że pozostaje też całkowicie odporne na wodę. Nie psuje się i nie gnije pod wpływem wody, również morskiej. Jest tak odporne, że może być stosowane do wyrobu np. łożysk śrub okrętów i innych części narażonych na ekstremalne siły tarcia. Łożysko z gwajakowca również samo się smaruje i samo uszczelnia.

Drewno polskiej, na szczęście wcale nierzadkiej olszy czarnej (*Alnus glutinosa*), nie należy z kolei do najtwardszych. Pozostawione na powietrzu jest też nietrwałe: robi się intensywnie pomarańczowe, później blednie i schnąc, paczy się.

Zupełnie inaczej zachowuje się w wodzie. Wtedy pokazuje swoją naturę. Olsza czarna jest bowiem drzewem rosnącym na terenach bardzo wilgotnych, wręcz takich, na których woda regularnie na dłuższy czas zalewa teren. Wiele drzew nie wytrzymałoby tego i udusiłoby się. Jednak nie olsza. Rosnąc, formuje niewielkie wzniesienia, dzięki czemu nawet przy wysokiej wodzie część korzeni ma dostęp do powietrza. Kiedy woda opada, wyraźnie widać, że każde drzewo rośnie na niewielkiej kępce, co nadaje olszom bardzo oryginalny wygląd.

Marniejące na powietrzu drewno olchowe okazuje się bardzo trwałe w wodzie. Jest znakomite w budownictwie wodnym do tego stopnia, że stanowi fundament Wenecji. Najzupełniej dosłownie: miasto jest posadowione na kilkusetletnich olchowych palach, wbitych bardzo gęsto w celu utwardzenia grząskiego dna, na których następnie ułożono płyty z wapienia i wzniesiono budynki.

Olsza jako jedno z niewielu drzew potrafi też korzystać z azotu zawartego w powietrzu dzięki symbiotycznym bakteriom żyjącym w brodawkach na korzeniach. Wyróżnia się też wśród drzew liściastych szyszkami i wyraźnym jak u gatunków iglastych pniem. To zresztą tylko niektóre z olszowych osobliwości.

eprasa.pl 3d70f78a7e

OGNIEM NA WPROST

Zniecierpliwiony Trump



Andrzej Rafał Potocki

Jak myślicie, czemu Białoruś od czterech lat robi zadymę przy naszej granicy? Nudzi im się? No nie. Nie licząc budowy i konserwacji bariery technicznej, bez której kryzys miałby znacznie większą skalę, Polska tylko na zaangażowaniu wojska i dodatkowych sił Straży Granicznej zużywa 1 mln zł dziennie! Samo rozwiezienie żołnierzy po posterunkach ciężarówkami Jelcz dwa razy dziennie to koszt kilkuset złotych. W skali roku to są już setki tysięcy. Razy 13 zagrożonych odcinków i już mówimy o 2 mln zł. A gdzie pojazdy patrolowe? Gdzie zużycie paliwa na działania poszukiwawcze i pościgowe? Gdzie wykorzystanie śmigłowców? A koszty osobowe? Dwutygodniowe oddelegowanie funkcjonariusza Straży Granicznej to koszt ok. 1 tys. zł (w przypadku żołnierzy więcej). Według oficjalnych danych na zabezpieczenie granicy wschodniej idzie rocznie 2,5 mld zł. I teoretycznie są to pieniądze wyrzucone w błoto nadgranicznych bagien, ponieważ nie ma możliwości ich odzyskania, nie wspominając o zysku. Ale szczelność granicy to podstawa naszego bezpieczeństwa i dlatego Łukaszenka nie ustaje w staraniach, żeby rok w rok drenować nasz budżet.

Miała miejsce udana akcja ukraińskiego wywiadu wojskowego (HUR) na Zaporożu. 30 sierpnia 2025 r. zaatakowano ruski sztab 35. Armii Ogólnowojskowej. Tym razem nie użyto – jak w przeszłości – pocisków manewrujących, ale partyzanci po prostu sprytnie podpalili trawy. Wiatr przeniósł pożar na pozycje moskiewskie, odcinając drogę ucieczki oficerom znajdującym się w punkcie dowodzenia. Bojcy mieli zginąć od ognia i czadu. W sumie na łono Abrahama Tryzuby wysłały 18 oficerów, których udało się zidentyfikować z nazwisk, stopni oraz daty urodzenia – m.in. zastępcę szefa sztabu 35. armii ds. wojsk rakietowych i artylerii, zastępcę oddziału planowania i operacji, zastępcę szefa wywiadu armii. Według rozpiski w pożarze śmierć poniósł: jeden pułkownik, trzech podpułkowników, sześciu majorów, czterech kapitanów, dwóch starszych poruczników, jeden porucznik i jeden oficer nieznanej rangi. Akcja ta sparaliżowała działania pododdziałów 35. Armii na kierunku zaporoskim, albowiem sztab to „mózg" związku taktycznego. To tam podejmowane są decyzje i wydawane rozkazy konkretnym oddziałom w polu. Teraz do doktryny wojennej przejdzie termin „palenie traw jako środek napadu na przeciwnika".

Do prezydenta USA Donalda Trumpa powoli dociera, że Putin i jego banda na Kremlu robią go w bambuko. W Białym Domu od kilku dni zaczęli urzędować specjalny wysłannik ds. Ukrainy Keith Kellogg i nowy ambasador USA przy ONZ Mike Waltz. Obydwaj uchodzą za antyruskie jastrzębie, bowiem od dawna opowiadają się za silniejszym stanowiskiem USA dotyczącym wojny na Ukrainie. Rozmówcy poinformowali prezydenta o obecnych warunkach na polu bitwy i zaznaczyli, że postępy Kremla są nieznaczne – przekazują źródła zaznajomione z sytuacją. Trumpa poinformowano również o planowanej ukraińskiej ofensywie, która będzie wymagała amerykańskiego wsparcia wywiadowczego. W dodatku prezydent wyraził przekonanie, że Ukraina przy wsparciu UE jest w stanie walczyć i odzyskać całe swoje terytorium w pierwotnej formie, bo „Rosja jest już papierowym tygrysem". Do akcji wkroczył również wiceprezydent J.D. Vance mówiąc, że Moskwa musi być gotowa do rozmów pokojowych. „Prezydent USA staje się skrajnie niecierpliwy wobec Rosjan – przyznał. – Rosja będzie w bardzo złej sytuacji, jeśli odmówi negocjacji w dobrej wierze". Na reakcję Kremla nie trzeba było długo czekać. „Groźby wiceprezydenta USA dotyczące konfliktu ukraińskiego są nie na miejscu, roszczenia należy kierować nie do Rosji, ale do reżimu w Kijowie, który hamuje proces negocjacyjny" – mówił w RIA Novosti deputowany do Dumy Państwowej z regionu krymskiego Michaił Szeremet. „Po pierwsze, z Rosją nie należy rozmawiać językiem gróźb i szantażu. Droga ultimatum i nacisków na Rosję jest błędna i z góry skazana na porażkę. Po drugie, zarzuty Vance'a są skierowane do niewłaściwego adresata. Należy je kierować do reżimu w Kijowie" – grzmiał. Ale tu nie chodzi oczywiście o odpowiedź kremlowskiej bandy. Chodzi o to, że prezydent USA zmienia wyraźnie retorykę na wojenną. Na razie zasłania się Europą, ale jak z tego nic nie wyjdzie – co jest więcej niż prawdopodobne – sam ruszy z dostawami broni na Ukrainę. Może będzie to robił, jak zapowiedział, via NATO, ale najistotniejsze jest, żeby oręż dotarł na front wschodni.

Współpraca: ***„Skipper"***

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 3d70f78a7e

Michał Korsun prezentuje:
Awantura o prohibicję w Warszawie



Fot. Shutterstock

Wycinki z przeszłości



Jak rodzą się błyskawice

Badacze z Uniwersytetu w Waszyngtonie doszli do wniosku, że błyskawice bardzo często powstają za sprawą roślin, które wydzielają bezustannie do atmosfery lotne substancje organiczne, tzw. terpeny. Terpeny w odpowiednich warunkach rozpadają się na prostsze związki, uzyskując przy tym różnoimienne ładunki. Jednocześnie tworzą one pomiędzy chmurami i ziemią „kanały", którymi łatwiej przechodzą błyskawice. Tak więc nawet jeśli terpeny nie wywołują wyładowania atmosferycznego bezpośrednio, to służą jako katalizator.

Terpeny zawieszone w powietrzu mają własności chłodzące: działają jak ogniska kondensacji pary wodnej. Nawet w ciepłych okolicach, gdzie wilgotność powietrza jest zbyt mała by utworzyć mgłę, same terpeny mogą wywołać trwałe mgły wiszące nad suchą ziemią.

(NNT-PAP)

Każdy wie, jak dobroczynny wpływ na klimat mają rośliny. Okazuje się jednak, że potrafią być także groźne! W 1965 r. „Kurier Lubelski" donosił: „Badacze z Uniwersytetu w Waszyngtonie doszli do wniosku, że błyskawice bardzo często powstają za sprawą roślin, które wydzielają bezustannie do atmosfery lotne substancje organiczne, tzw. terpeny". Na szczęście późniejsze badania nie potwierdziły tej hipotezy.

(sp)



Z WOLEJA

Radość i złość



Ryszard Czarnecki

Radość, bo na siatkarskim mundialu Polacy idą jak burza (piszę te słowa przed półfinałem Biało-Czerwonych z Włochami). Mistrzostwa są na Filipinach i przy okazji służbowej wizyty obejrzałem poprzedni mecz Polaków z Kanadą (3:1 dla naszych).

Złość, bo znowu w pseudoplebiscycie Francuska Farsa, pardon, France Football Roberta Lewandowskiego potraktowali z buta tylko dlatego, że jest Polakiem, a nie Francuzem, Hiszpanem, Niemcem czy Anglikiem. W sezonie 2024/2025 strzelił najwięcej goli w FC Barcelonie i poprowadził ją do „potrójnej korony", czyli zdobycia mistrzostwa najsilniejszej ligi w Europie – La Liga, pucharu Hiszpanii oraz Superpucharu. A mimo to w lipnym plebiscycie FF wyżej od niego znalazło się dwóch piłkarzy jego klubu z mniejszą liczbą bramek! W tej dekadzie nasz rodak powinien dwa razy zdobyć tytuł najlepszego piłkarza świata, ale raz ów plebiscyt odwołano pod pretekstem pandemii – chociaż odbyły się rozgrywki ligowe i europejskie. Drugi raz zamiast „Lewego" nagrodę dostał Messi, choć miał sezon dużo gorszy od naszego rodaka.

Radość, bo nasza jedyna złota medalistka z igrzysk olimpijskich w Paryżu Mirosława Aleksander zdobyła tytuł mistrza globu, a w dodatku pobiła własny rekord świata, ustanowiony zresztą na francuskich IO Anno Domini 2024.

Złość, bo nasi lekkoatleci na mistrzostwach świata tej „królowej sportu" zdobyli raptem tylko jeden medal. A przecież kilka tygodni temu w drużynowych mistrzostwach Europy pokonali silne drużyny Niemiec, Francji i Wielkiej Brytanii. Tylko Italia miała wtedy więcej punktów od nich.

Radość, bo polski żużlowiec Bartosz Zmarzlik zdobył szósty tytuł mistrza świata w tej najpopularniejszej w naszym kraju dyscyplinie nieolimpijskiej. W ten sposób wyrównał rekord Nowozelandczyka Ivana Maugera i Szweda Tony'ego Rickardssona. Był faworytem, wytrzymał presję, a rywalizację trwającą od wiosny do przedostatniej soboty września wygrał zaledwie jednym punktem. Tak się porobiło w dyscyplinie zwanej na świecie speedway, że łatwiej jest zdobyć w niej tytuł mistrza świata niż... tytuł mistrza Polski!

Zmarzlik, sympatyczny, skromny chłopak z Gorzowa Wielkopolskiego – któremu jakoś nie przeszkadzały zdjęcia z prezydentem Andrzejem Dudą – w ostatnich czterech latach był najlepszy na globie, ale tytuł mistrza kraju przed rokiem i w tym roku zdobył Patryk Dudek. Ten z kolei pochodzi z Zielonej Góry, a więc dla Gorzowa miasta rywala w Ziemi Lubuskiej. W tym roku zdobył też pierwszy tytuł mistrza Europy dla Biało-Czerwonych (w nowej formule ME obejmującej już nie turniej jednodniowy, jak wcześniej, tylko cykl turniejów, jak w MŚ).

Żużel – podobnie jak siatkówka – od której zacząłem, to nasz sport eksportowy: gdy Polakom zdarzy się przegrać, wszyscy są w szoku...

eprasa.pl 3d70f78a7e



OD A DO ZYBERTOWICZ

Metafizycznie

By wierzyć w sens swoich wspólnot, ludzie potrzebują czegoś więcej niż prawo, administracja i ekonomia

Parę dni temu o poranku, gdy w Warszawie dzień się rozkręcał, dostałam od męża esemesa z Korei Południowej (tam panował środek dnia). Przysłał zdjęcie posągu, jak sądziłam – Buddy, z dopiskiem: „W muzeum zalecają, by siedzieć naprzeciw i medytować". Zareagowałam półżartem: „Sprytna forma dyscyplinowania ludzi – potem spokojne tłumy mogą zwiedzać".

Wkrótce dowiedziałam się, że to posąg Bodhisattwy w Chuncheon National Museum, „odnaleziony w świątyni, gdzie wiatr niesie się przez sosnowy las" i doczytałam w Wikipedii, że to „istota aspirująca do przebudzenia".

Ten obraz, choć pozornie prosty, uruchomił refleksję, którą zaraz podzieliłam się z mężem: czy kultura Dalekiego Wschodu nie opiera się właśnie na medytacji jako narzędziu porządkowania społecznego? Jak inaczej zarządzać tak ogromnymi, zróżnicowanymi społeczeństwami, jeśli nie poprzez duchową dyscyplinę?

UPROSZCZENIE?

Zaintrygowany nieco tą myślą mąż zapytał Copilota (sztuczną inteligencję), czy kultura Dalekiego Wschodu rzeczywiście bazuje na medytacji. I otrzymał odpowiedź: „Nie. Twierdzenie, że wszystkie kultury Dalekiego Wschodu bazują na porządku związanym z medytacją, to uproszczenie. Na przestrzeni wieków region obejmował setki państw i plemion o odmiennych tradycjach, religiach i systemach politycznych. Choć praktyki medytacyjne, zapożyczone głównie z buddyzmu i taoizmu, odegrały ważną rolę w kształtowaniu duchowo-kulturalnym, nie były uniwersalnym fundamentem całej organizacji społecznej i państwowej". Następnie chat pokazał na przykładach konkretnych państw – Chin, Japonii, Korei, Wietnamu – różnorodność kultur tego regionu. Różnorodność przejawiającą się w językach, systemach wartości, wzorcach organizowania społeczności.

W sumie odpowiedź była wyważona, historyczna, z odniesieniami do systemów politycznych i duchowych tradycji. A medytacja? Zdaniem Copilota „duchowe tradycje Dalekiego Wschodu z pewnością wpłynęły na kształtowanie postaw społecznych i artystycznych, jednak organy władzy sięgały po liczne inne mechanizmy – prawne, administracyjne i wojskowe – by zarządzać różnorodnymi ludami rozległego regionu".

GŁĘBIEJ

Nieusatysfakcjonowana zadałam sztucznej inteligencji (ChatowiGPT) podobne pytanie, prosząc jednak o ujęcie w duchu francuskiego socjologa Émile'a Durkheima. Odpowiedź zaczęła się tak: „Świetne pytanie – i bardzo ambitne, bo dotyczy związku między jednostkowymi praktykami duchowymi a szerokimi strukturami społecznymi w ujęciu socjologicznym. Spróbuję ująć to w duchu »metapoziomowego« myślenia Durkheima. […] Durkheim traktował religię i praktyki rytualne nie tylko jako prywatne przeżycia, lecz przede wszystkim jako fakty społeczne, które: podtrzymują zbiorową świadomość, nadają wspólnotom sens i spójność, wytwarzają normy i porządki regulujące życie codzienne".

W tej interpretacji medytacja została potraktowana jako „fakt społeczny". Jako rytuał, który nie tylko porządkuje życie jednostki, lecz także stabilizuje wspólnotę. ChatGPT, również odnosząc się do konkretnych przykładów, pokazał, że w buddyjskich klasztorach, praktykach zen czy etosie samurajskim medytacja pełniła funkcję regulacyjną, legitymizującą oraz cementującą wspólnotę. Nawet dziś, w świecie zsekularyzowanego Zachodu, *mindfulness*, czyli praktyka świadomego kierowaniu uwagi na tu i teraz, bywa w organizacji pracy – np. w korporacjach – wykorzystywana do porządkowania życia zbiorowego.

Zderzenie tych dwóch odpowiedzi – jednej bardziej analitycznej, drugiej filozoficznej – rodzi refleksję na temat potrzeby metafizycznego zakorzenienia człowieka, bez względu na kulturę, z której pochodzi. By wierzyć w sens swoich wspólnot, ludzie potrzebują czegoś więcej niż prawo, administracja i ekonomia.

Nie chodzi tu o wyższość jednej tradycji nad drugą. O to, że każda wspólnota, by trwać, musi mieć punkt odniesienia sięgający gdzieś dalej. Coś, co przekracza codzienność, co nadaje sens, co scala. Bodhisattwa w muzeum, Chrystus w kościele, cisza w klasztorze, modlitwa w domu. Wszystko wypływa z tej samej potrzeby: bycia częścią czegoś większego.

Katarzyna Zybertowicz

Autopromocja x2

eprasa.pl 3d70f78a7e

Czytaj nas w najlepszej cenie!



Teraz **tylko 7,35 zł** za jedno wydanie (w prenumeracie rocznej), podczas gdy cena w kiosku to **12,90 zł**.

Jak zamówić papierową prenumeratę tygodnika SIECI ?

1 Wybierz swoją prenumeratę

	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
cena prenumeraty	118 zł	207 zł	**375 zł** NAJLEPSZY WYBÓR
cena w kiosku	~~167,70 zł~~	~~322,50 zł~~	~~657,90 zł~~

Informacje o prenumeracie: tel. 22 616 36 00 (poniedziałek-piątek w godz. 14-16)

2 Zamów i opłać

- Zamów prenumeratę przez stronę **www.sieciprawdy.pl/prenumerata** i opłać przelewem ze swojego konta
- **Jeśli nie korzystasz z internetu**, opłać prenumeratę na poczcie, podając dane do wpłaty w okienku

Wytnij karteczkę-niezbędnik na pocztę

Dane do opłacenia prenumeraty Sieci na poczcie:

Nazwa odbiorcy: Fratria sp. z o.o.

Nr konta: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

Tytuł wpłaty: .....

.....

(tu wpisz adres dostawy prenumeraty – to warunek otrzymania prenumeraty)

Kwota: .....

(tu wpisz cenę wybranej prenumeraty, np. 375 zł)



eprasa.pl-3d76f78a7e

wPolsce24

W świecie pełnym kłamstwa – mówimy prawdę.
W świecie manipulacji – wybieramy uczciwość.
W świecie propagandy – stoimy po stronie dziennikarskiej wolności.
Wspierając TV wPolsce24 – bronicie Polski.





WESPRZYJ patriotyczne media

numer konta:

69 1020 4900 0000 8202 3036 2577

tytuł wpłaty: **DAROWIZNA**



Twoje dane osobowe będą przetwarzane zgodnie z polityką RODO

eprasa.pl 3d70f78a7e